



PAWEŁ ŁĘCZUK
JAKUB JABŁONKA

ANDRZEJ
GRABOWSKI
*JESTEM
JAK MOTYL*

PAWEŁ ŁĘCZUK
JAKUB JABŁONKA

**ANDRZEJ
GRABOWSKI**

*JESTEM
JAK MOTYL*

Redakcja: Ewa Zientarska

Korekta: Jacek Bławdziewicz

Zdjęcia: Jakub Włodek/Agencja Gazeta – okładka; **Agencja Forum:** Alina Gajdamowicz/Studio69 s. 73; **Archiwum TVP** s. 261; Bartek Sadowski s. 265, 267, 271; Radosław Nawrocki s. 287. **Agencja Gazeta:** Krzysztof Karolczyk s. 15, 215; Sławomir Mielnik s. 101; Adrianna Bochenek s. 216. **Archiwum Akademii Sztuk Teatralnych im. S. Wyspiańskiego w Krakowie:** s. 81, 87, 92. **Archiwum prywatne:** s. 17, 18, 22, 29, 34, 47, 165, 255, 262. **BE&W:** Filip Grzegorzczak s. 66; Tomasz Żukowski s. 282. **East News:** Jerzy Stałęga s. 70; Ryszard Lenczewski/TVP s. 132; Tomasz Urbanek s. 231; Tomasz Żukowski s. 285. **Karolina Głowa/filmcay.com:** s. 195. **Gallo Images:** Wojciech Szarliński s. 11; Krzysztof Wellman s. 38, 174; Maciej Gillert s. 232. **Kino Świat:** Jacek Drygała s. 63. Czesław Knapik: s. 121. **Ryszard Kornecki:** s. 160. **Materiały prasowe:** Jerzy Stałęga s. 77. **Marek Mietelski:** s. 155. **Monolith Films:** s. 236. **PAP:** Ryszard Lenczewski/TVP s. 137; Joanna Reńska/TVP s. 298. **Paweł Penarski:** s. 192, 290. **Wojciech Plewiński:** s. 117, 200, 203, 209, 249, 252. **Reporter:** Tadeusz Koniarz s. 141; Piotr Gamdzyk s. 180; Adam Jankowski s. 243; Michał Hetmanek s. 305. **Michał Szlaga:** s. 108. **WFDiF:** s. 8.

Fotoedycja: Katarzyna Stańczuk

Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Iwański

Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska

Redaktor prowadzący: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © Agora SA, 2020

Copyright © Andrzej Grabowski, Jakub Jabłonka, Paweł Łęczuk, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2020

ISBN: 978-83-268-3404-2



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

WSTĘP

BOŻE SKRAWKI [MAKING OF]

NIENAPISANY SCENARIUSZ

DZIEŃ ŚWIRA [MAKING OF]

POKÓJ Z KOZĄ

BRAT PRZYJACIEL

ZASŁUŻONY CABAN

ALKOHOL MA DOBRE, ALE TEŻ ZŁE STRONY

DUBLERZY [MAKING OF]

BANALNIE

STOJĘ PRZY MIKROFONIE, NIECH MNIE KTÓRY PRZEGONI!

STRAJK [MAKING OF]

CUDOWNE LATA

GWAŁT NA TRADYCJI

SCHAEFFERIADA

19. POŁUDNIK [MAKING OF]

JESTEM JAK MOTYL

THEATRUM MUNDI

SPOWIEDŹ AKTORA

ACH ŚPIJ, KOCHANIE [MAKING OF]

TAŃCZĄCA LOKOMOTYWA

WYRZUCONY Z TEATRU

MIKOŁAJ

CZASAMI CIEPŁO POMYŚLĘ O TYCH MOICH ZIELONYCH
DRESACH

POSPRZĄTAĆ PO SOBIE I ZNIKNAĆ

PITBULL [MAKING OF]

WYGRAĆ ŻYCIE

Moim Widzom

WSTĘP

Zapraszam Cię, Czytelniku, na włóczęgę po miejscach, które zapisały się w moim sercu. Skąpany w słońcu rynek Alwerni lat 50. podczas odpustu, krakowski akademik Szkoły Teatralnej, w którym stawałem się mężczyzną, zadymione prowincjonalne knajpy, gdzie do rana sączyliśmy z ust do ust poezję i pieśni, gorące garderoby i kulisy teatrów oraz setki, jeśli nie tysiące scen i planów filmowych. W każdym z tych miejsc na świecie zostawiłem kawałek siebie. Dziś mienią się w mej pamięci kolorami wspomnień o ludziach, z którymi miałem szczęście grać, śmiać się, czubić też, ale przede wszystkim być. Wielu z nich już nie ma. „Na tym świecie jam tylko przechodzień” – napisał kiedyś mój ukochany poeta Siergiej Aleksandrowicz Jesienin. Ta refleksja każdego ranka otwiera mój świat, o którym opowiedziałem w tej książce. Czasami banalnie, czasami sentymentalnie, z pewnością szczerze.

ANDRZEJ GRABOWSKI



Boże skrawki – kadr z filmu. Rok 2001

BOŻE SKRAWKI

MAKING OF

W 2000 roku, kiedy byłem już nieźle rozpędzony w serialu *Świat według Kiepskich*, dostałem zaproszenie na casting do Warszawy. Zadzwoniła do mnie świętej pamięci Ewa Andrzejewska, specjalistka od wyszukiwania obsady do filmów dla wielu reżyserów. Powiedziała mi, że chodzi o nowy film Jurka Bogajewicza, który będzie koprodukcją polsko-amerykańską, ale żebym nie liczył na rolę, bo tak naprawdę szukają młodszego ode mnie faceta. Mówiła, że jednak warto przyjechać choćby po to, żeby poznać Jurka. Ten argument do mnie przemówił, bo o Jurku Bogajewiczu, czy też Yurku Bogayeviczu – aktorze, scenarzyste, reżyserze i producencie filmowym – w branży krążyło wiele ciekawych opowieści. W 1975 roku wyemigrował na Zachód. Wielu w Polsce zazdrościło mu późniejszej kariery w Hollywood i pracy z wielkimi gwiazdami, jak: Demi Moore, Jeff Bridges, William Baldwin, Mickey Rourke, a nawet Madonna.

Spotkanie z nim na castingu było bardzo profesjonalne – był świetnie przygotowany i wiedział, czego chce. Przy okazji dowiedziałem się, że jedną z głównych ról w przygotowywanym filmie ma zagrać Willem Dafoe. Fajnie, pomyślałem. Wracając do Krakowa, nie dotarłem nawet do Radomia, kiedy znów usłyszałem Ewę w słuchawce: „Masz tę rolę, Andrzej! Gratuluję! A może odpowiedniej będzie: congratulations!?”

Film *Boże skrawki* to przejmująca, wojenna historia żydowskiego chłopca, który zostaje uratowany z krakowskiego getta. Ukrywa się na polskiej wsi i razem z innymi dziećmi chodzi do szkoły czy na lekcje religii. Bogajewicz włożył w nią całe serce. Powiedział mi, że inspiracją scenariusza były autentyczne wspomnienia i odnalezione gdzieś dziecięce pamiątki z tamtego trudnego czasu. Główną rolę zagrał dwunastoletni wówczas Haley Joel Osment, który już wtedy miał na koncie kilkanaście ról filmowych i sukcesy w USA. Bardzo ważną rolę księdza Jurek powierzył Willemowi Dafoe. Z polskiej obsady trzeba wymienić Małgosię Foremniak i Olafa Lubaszenkę, przybranych rodziców głównego bohatera, oraz Olę Frycz, która w wieku piętnastu lat wspaniale zagrała w anglojęzycznym filmie. Mnie przypadła rola paskudnego wiejskiego chłopca, szmalcownika Kluby.

Bardzo się cieszyłem na pracę w hollywoodzkiej produkcji i z wielką ciekawością podchodziłem do Willema Defoe. Trochę się stresowałem, czy poradzę sobie z angielskim na planie, ale okazało się, że zatrudniono też instruktorów, którzy z jednej strony pomagali nam, polskim aktorom, odpowiednio wymawiać swoje kwestie po angielsku, z drugiej – uczyli Amerykanów mówić z polskim akcentem, żeby wyrównać poziom werbalny całego filmu.



Na planie filmu *Boże skrawki*. Rok 2001. Drugi od prawej Haley Joel Osment

Mieszkaliśmy w Krynicy w ekskluzywnym hotelu z basenem, jednak większość scen kręciliśmy w urokliwej wsi Zbyszycy położonej nad Jeziorem Rożnowskim. Do dziś stoi tam zabytkowy kościół św. Bartłomieja, w którym kręcono zbiorową scenę z udziałem statystów. W przerwie poszliśmy z Willemem na papierosa – wtedy jeszcze paliłem. Zachwyceni krajobrazem łąk i finezyjnie rozlanym jeziorem rozmawialiśmy o słynnych polskich filmach i reżyserach. Nagle na horyzoncie pojawił się nadciągający w naszą stronę spory tłumek statystów. Sytuacja dla mnie oczywista – jak można nie wziąć autografu od prawdziwego Willema Dafoe, oscarowego aktora, który właśnie stoi tu i teraz!? A potem pokazywać znajomym do końca życia scenę, w której co

prawda było się tylko statystą, ale przy ołtarzu stał ten znany aktor! Odszedłem kilka kroków w bok, żeby grupka z karteczkami i notesami spokojnie mogła okrążyć Willema. Oni jednak mijają gwiazdę kina i podchodzą do mnie, prosząc o pamiątkowe autografy od Ferdynanda Kiepskiego. Trwało to kilka minut. Willem, czekając na mnie, zapalił jeszcze jednego papierosa, a kiedy wszyscy odeszli, rozpromieniał swoim wielkim amerykańskim uśmiechem.

– Musisz być tu sławny!

– Gram od roku w serialu, który leci chyba już codziennie. Tak się porobiło.

Potem wytłumaczyłem mu, na którym kanale może obejrzeć *Kiepskich* i że to troszkę taki *Al Bundy*, tylko w polskiej wersji. Następnego dnia Dafoe dosiadł się do mnie podczas śniadania. – Oglądałem! Nic nie rozumiałem, ale to było bardzo śmieszne. Podobało mi się. Szkoda, że nie mam w Nowym Jorku telewizora, ale póki jestem w Polsce, to będę podpatrywał.

Do końca dni zdjęciowych co jakiś czas tłumaczyłem Willemowi Dafoe, o co chodziło w odcinku *Kiepskich*, który oglądał. Ubaw mieliśmy po pachy.

Film nie doczekał się wielkiej oglądalności w Polsce, jednak został doceniony na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Jurek został uhonorowany Złotym Lwem za najlepszy scenariusz. Pamiętam pewną historię z festiwalowej konferencji prasowej, która z jednej strony była nieprzyjemna, a z drugiej bardzo dla mnie miła. Siedzimy polskim składem aktorskim z Jurkiem Bogajewiczem przed dziennikarzami, odpowiadamy na pytania i nagle słyszymy: – Jak można było w takim pięknym, wzruszającym, historycznym dziele filmowym obsadzić w jednej z

ról człowieka, który gra głupka i pijaka w kretyńskim serialu *Świat według Kiepskich*?

Zatkało mnie. Trudno na coś takiego w ogóle odpowiedzieć. Jurek też się wzburzył, ale odpowiedział spokojnie i pięknie: – Proszę pani, to, co pani prezentuje, to jest właśnie Polska. Gdyby pan Grabowski w Stanach Zjednoczonych był tak popularny i rozpoznawalny, jak jest w Polsce, latałby na plan własnym odrzutowcem albo helikopterem. Grałby tylko w najlepszych produkcjach. Tylko tu, w Polsce, może się zdarzyć to, że przez udział w serialu *Świat według Kiepskich* jest eliminowany z innych produkcji.

Od tamtego czasu nie jeżdżę na festiwal do Gdyni. I żebym został dobrze zrozumiany – nie latam na niego również prywatnym odrzutowcem.

NIENAPISANY SCENARIUSZ

Tylko dziecko ma świeże i szczerze spojrzenie na świat. Zrozumienie tego jest bardzo pomocne w moim zawodzie. Dlatego robię wszystko, aby tego dzieciaka w sobie nigdy nie stracić.

Lata 50. XX wieku. Miasteczko Alwernia. Rynek. Kapliczka. Studnia. Nad konarami drzew wieża klasztorna podtrzymuje niebo. Obok droga wysadzana kocimi łbami, wzdłuż niej płynie rynsztok. Małe boisko do nogi z jedną bramką, ale szczeniaki grają w dwa ognie, bo piłka nożna jest uważana za szkodliwą dla dzieci. Wśród nich oczywiście ja.

– Jadą! – krzyczy ktoś nagle z całych sił.

Dzieciaki natychmiast zapominają o piłce i biegną na Bahrowiznę, porośniętą trawą i krzakami działkę mojego dziadka Gustawa Bahra. Jest położona na południowej stronie wzgórza i przy dobrej pogodzie widać z niej szczyty Tatr. Teraz kamera powoli zmienia kąt i chwyta szeroki plan. Daleko, u podnóża, w tumanie kurzu wolniutko przesuwa się terkoczący samochód z przyczepą. Jesteśmy szczęśliwi i podekscytowani, bo jedzie albo karuzela, albo strzelnica. Zaczyna się fiesta!



Widok na klasztor w Alwerni

Według mnie tak powinien się zacząć ten film. Historie ludzi z prowincjonalnego miasteczka ukazujące Alwernię sprzed lat. Federico Fellini opowiedział o swoim rodzinnym Rimini lat 30. w filmie *Amarcord*, który notabene jest dla mnie perełką kinematografii. A mnie i mojemu bratu Mikołajowi marzy się film o naszej Alwerni. Kiedy się spotykamy, zawsze spieramy się o ten początek. On wymyślił to sobie inaczej.

Pani Walczyńska, czyli Antosiowa, i pan Antoni Walczyński idą do kościoła. Ona – postawna, z obfitym biustem, elegancka z niedzielną torebką – finezyjnym kokiem kroczy dwa metry przed mężem. On, ponieważ miał kłopot z prostatą, drepta na szeroko rozstawionych nóżkach, lekko odchylony do tyłu, żeby przeciwważyć spory bęben. Ten zabawny obraz Walczyńskich obaj mamy w pamięci do dziś. Może to byłby lepszy początek filmu?

I tak sobie gadamy z Mikołajem od dwudziestu paru lat i pewnie ani nie napiszemy tego scenariusza, ani nigdy nie zrobimy filmu. No i co! Mówić przecież można, a kłócić się o to, jak by się miał zacząć, to czysta frajda.

A może jednak inaczej? Rynek. Stoją ludzie dookoła czegoś. Widać, że zebrali się z ważnego powodu. Pomiedzy nimi biegają niemogące ustać dzieciaki.

- Człowiek w dół! – słychać ze środka zgromadzenia.
- Pompa w dół! Człowiek do góry! – znowu ktoś pokrzykuje.
- Za dużo! Za mało!



Andrzej Grabowski, lat sześć



Przed domem w Alwerni. Ciozia Zosia Przybyłowska i wujek Franek Zaręba oraz kuzynki Hania i Małgosia

W centrum rynku było „serce” miasteczka, czyli studnia. Bardzo głęboka, bo Alwernia, jak twierdzą niektórzy, jest wygasłym wulkanem. Ja w to nie bardzo wierzę, ale brzmi ładnie. Miejscowość faktycznie jest położona na takim kopczyku i żeby z rynku dokopać się do wody, trzeba było naprawdę głęboko wiercić. 70 metrów pod powierzchnią ziemi pracowała pompa. Dla porównania Hejnalica, czyli wyższa wieża kościoła Mariackiego w Krakowie, ma 82 metry wysokości.

Ta pompa napędzająca wodę do wodociągu wiecznie się psuła. Dlatego musieliśmy chodzić po wodę albo do klasztoru, gdzie była studnia z pompą napędzaną ręcznie, albo do jakiejś studni, która była wykopana trochę niżej. Zasuwałem pół kilometra z wiadrami w rękach, nie ma lepszego ćwiczenia na bicepsy. Ci, którzy nie byli połączeni wodociągiem, mieli specjalne nosidła – drewniany pałak na plecy ze zwisającymi po bokach wiadrami. Moja rodzina jednak brała wodę z wodociągu, dzięki czemu mieliśmy łazienkę, jedyną przez pewien czas w Alwerni. To były luksusy. Pamiętam, że ciągle o tej studni była mowa. Wymiana pompy była wydarzeniem gromadzącym całe miasteczko. Najpierw trzeba było ją zamówić, potem ktoś musiał zjechać na dół i ją wymienić. Musiał się na tym znać, wiedzieć, jak odkręcić i zainstalować nową. Wybrano do tego pana Władysława Bozowskiego. Nie wiem, czy się znał na pompach, ale pracował w zakładach mięsnych w Chrzanowie przy przepompowniach, cokolwiek to znaczy, więc uznano, że ma najwyższe kompetencje do zjazdu pod ziemię i wymiany maszyny.

Nad dziurą w ziemi stało rusztowanie z obrotowym wałkiem. Obok kilometry różnej grubości powrozów. Panu Władkowi zrobiono specjalne siedzisko, po czym kilku silnych mężczyzn w białych podkoszulkach spuszczało go wolniutko na linie w jednoosobową otchłań. Miał za zadanie odkręcić zepsutą pompę,

przywiązać porządnie do drugiej liny, żeby wyciągnięto ją na wierzch, i potem przykręcić nowe urządzenie. Operacja trwała ładnych parę godzin. Pan Władek często charkał, tak śmiesznie, przez ramię. Kiedy było słychać to jego spluwanie ze studni, ludzie kiwali porozumiewawczo głowami, bo to był znak, że żyje. A ja sobie myślałem z obrzydzeniem: „Jak my tę wodę będziemy teraz pili?”

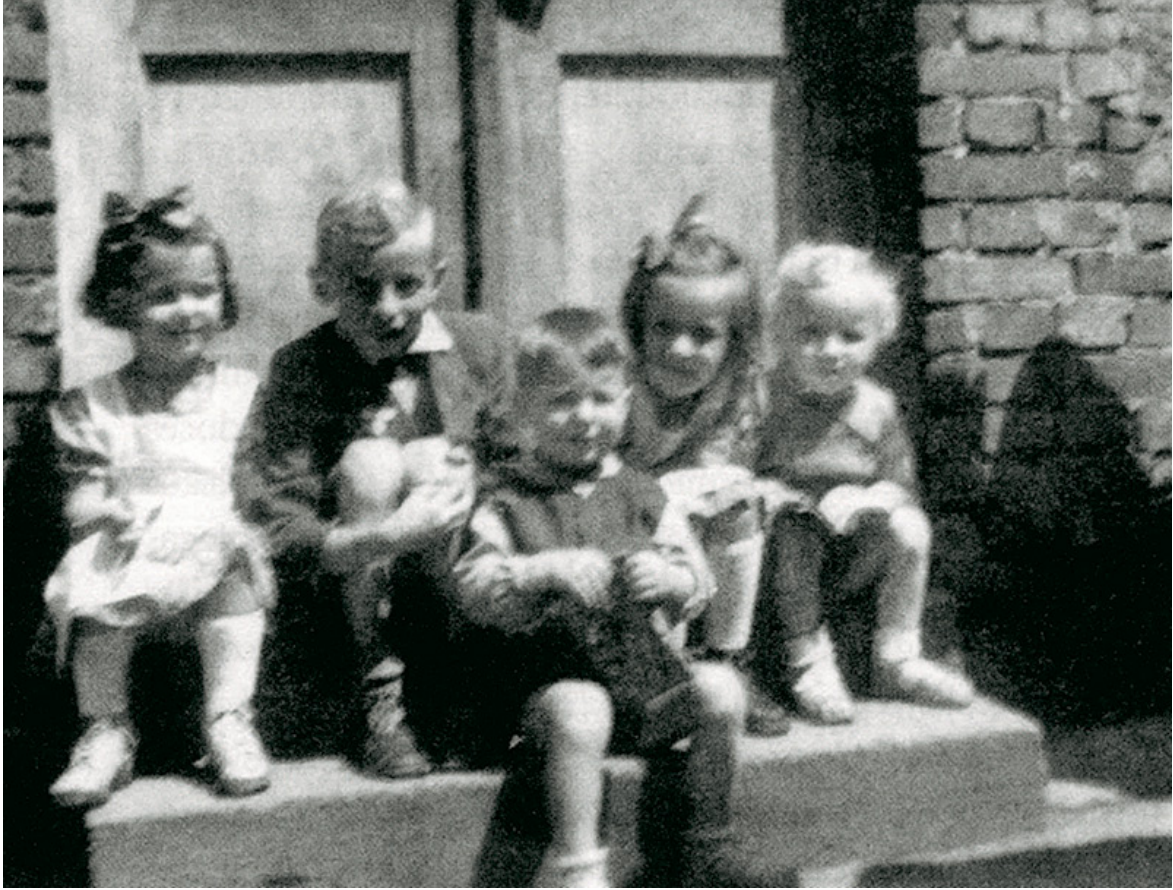
Po godzinie, dwóch ludziska już się trochę nudziły, więc Jasiek Krawczyk przyniósł swoje wino i zgromadzenie zamieniło się w wielki bankiet. Na górze pili, a na dole Władek walczył z materia. Kiedy po paru godzinach wyciągnęli chłopca, zmordowanego przecież okropnie, położył się na trawie i oddychał tak, jakby go kto dusił. Dopiero po latach mój brat Wiktor, geolog, wytłumaczył mi, że na dnie studni nigdy nie jest tyle samo tlenu co na powierzchni, i Władek musiał być bardzo niedotleniony. W dodatku mógł tam być metan, ale wówczas nikt tego nie badał. Wielkie szczęście, że Władek wyszedł z tego żywy. Dobrze, że chłop nie palił papierosów.

Na rynku był też zbiornik przeciwpożarowy. Strażacy dwa razy do roku sprawdzali sprzęt i musieli uruchamiać motopompę. Zajmowało im to chyba godzinę, bo stara niemiecka franca nigdy nie chciała zapalić. Ale gdy już ją odpalili i sikali sikawkami, to uciecha alwerniańskich dzieci nie znała granic. Każdy chciał wszystkiego dotknąć albo wdrapać się na starego bedforda, brytyjską półciężarówkę Ochotniczej Straży Pożarnej. W pewnym okresie nikt w Alwerni nie miał prawa jazdy prócz mojego ojca, więc kluczyki do bedforda były u nas w domu i tata jeździł do każdego pożaru. Byłem z niego dumny. Uwielbiałem pożary i tę wyjąca na całą okolicę syrenę, którą nagle ktoś włączał. Strażaki się zbiegały, też zadowoleni, bo wreszcie coś się dzieje. Kiedy

byłem już wystarczająco duży, zapisałem się do młodzieżowej straży pożarnej i dwa razy zabrali mnie do pożaru. Nie gasiłem go jednak. Przypadł mi obowiązek ochrony, więc stałem i odpierałem naciski gapiów, pokrzykując: „Nie podchodzić! Nie pchać się! Odsunąć się, proszę!” Miałem hełm strażacki, toporek i odpowiedni wzrost do tego arcyważnego zajęcia. Dziś jestem honorowym członkiem straży pożarnej. No jak mieli mnie nie zrobić honorowym, skoro mówiłem „odsunąć się, proszę”? Po ugaszeniu ognia pogorzelnicy mieli w obowiązku postawić wódkę panom strażakom, co chyba dodatkowo mobilizowało chłopów do zasilania szeregów straży. Mój tata, kierowca, jako jedyny podczas całej akcji musiał być trzeźwy. Nie miał z tym problemu, bo szczęśliwie alkohol nie stał się jego sposobem na życie. Ojca widywałem może dwa razy w roku troszkę podpitego. Stawał się wtedy bardzo zadowolony – gdy wchodził do domu, już od wejścia było słychać ochy i achy.

– Całuję rączki, Łucusiu, całuję rączki – powtarzał z nadgorliwą uprzejmością.

– O! Bolek się chyba napił – kwitowała mama.



Przed domem na schodach, z kuzynostwem. Od prawej: Andrzej, Małgosia, Wojtek, Mikołaj, Hania

Kiedy grali w brydża z panią doktorową i jej mężem, mama wypisywała mi karteczkę i posyłała do gospody. Pani z baru odczytywała jej treść na głos: „Proszę sprzedać mojemu synowi Andrzejowi Grabowskiemu ćwiartkę wódki”. Goście dwuznacznie spoglądali po sobie, ale nikt z tego nie robił problemu. Mama przyrządzała potem ajerkoniak ku uciechu rozgrywających kolejnego roberka. Siedzieli na drewnianych krzesłach, które dziś mam w swoim domu, pod piękną mosiężną, dużą lampą. Ta lampa znowuż ozdobi salon w domu Mikołaja. Już kilka rekwizytów do naszego filmu mamy.

Czasami do brydżowego grona dołączała przyjaciółka domu, pani Janina Rogalska. Mówiłem do niej „ciociu”. W budynku, w

którym mieszkaliśmy, prowadziła bibliotekę, zresztą obok siedziby Milicji Obywatelskiej, która miała swój posterunek na piętrze obok. Uwielbiałem zapach książek oprawionych w szary papier, z numerkami na grzbietach, i szelest pióra, którym pani Janka skrupulatnie uzupełniała kartę biblioteczną. Coś pięknego. Malutka była nasza biblioteka, ale książek było od cholery. Teraz w Alwerni jest duża biblioteka, ale nie wiem, ilu mieszkańców z niej korzysta. Czy ludzie jeszcze czytają książki? Ja cały czas coś czytam, bo taki mam zawód, ale na książki wciąż brakuje mi czasu. Bywa, że nagrywam audiobooki, dzięki temu wczoraj skończyłem czytać książkę z opowiadaniem Wawrzyńca Siedleckiego. Przeczytałem ją na głos w dwa dni po osiem godzin. W 2010 roku miałem istny maraton czytania. Prowadziłem z Agnieszką Wolny-Hamkało telewizyjny program *Hurtownia książek*. Trzy książki tygodniowo to było minimum. Czytanie do czwartej rano, kilka godzin snu i na plan. Wiele książek mnie kompletnie nie interesowało, ale musiałem się z nimi zapoznać. W końcu stałem się w oczach widzów „krytykiem literackim”. W duchu się śmiałem, bo do tego miana nie aspirowałem nigdy. Mogłem co najwyżej powiedzieć o sobie „prezenter książek”, który w rzeczywistości chce pokazać, że nie jest tylko Ferdkiem z zaklętą żółtą puszką. Nie ma jednak tego złego, co na dobre nie wyjdzie, i dzięki tej pracy poznałem kilku fantastycznych autorów, jak na przykład Węgier Sándor Márai czy Philip Roth. Niedawno przyszedł do mnie Krzysiek Skiba i mówi: „Masz tu moją książkę, poczytaj”. No, fajnie, Krzysiu, tylko dlaczego ona taka gruba? Jak mnie poproszą o nagranie audiobooka, to chętnie przeczytam.

Pani Janka prócz tego, że była bibliotekarką, pracowała też jako nauczycielka w naszej szkole podstawowej. Zakręcała swoje pióro, zamykała drzwi i przechodziła na drugą stronę rynku. Kiedy tak

przechodziła przez plac, ja szedłem w przeciwną stronę, ze szkoły do domu na drugie śniadanie, które podczas długiej przerwy przyrządzała mi ciocia Zosia.

Podstawówka składała się z czterech izb, bo to była przedwojenna czteroklasowa szkoła i taka pozostała. Teraz musiała pomieścić aż siedem klas, dlatego zajęcia odbywały się o dziwnych porach. Lubiłem WF, wtedy w dwie połączone klasy szliśmy ćwiczyć na polankę, ale gdy już byłem starszy, bardziej mnie interesowały ławeczki, na których można było pościskać się z dziewczynami w kusych sportowych strojach.

Kierownikiem szkoły był Franciszek Stolarczyk. Kostyczny i łysawy starszy pan o suchych rękach, zwany przez nas „Pstrywkiem”. „Pstrywek” to nazwa gołębia ozdobnego, ale co pan Stolarczyk miał z nim wspólnego, nie wiem. Tak mówiliśmy i już. Mieszkał w budynku szkolnym i kiedy wracał po długiej przerwie na zajęcia, wyczuwaliśmy go z daleka. Charakterystyczny zapach kawy zbożowej unosił się za nim na korytarzu. Mieliśmy z nim lekcje śpiewu. Przychodził ze skrzypcami, zaczynał rzępolić, a my nie byliśmy w stanie zachować poważnych min. Stolarczyk miał na to swoje metody, proste i skuteczne – napierniczał nas smyczkiem. Zdarzało się, kiedy śpiew był na ostatniej lekcji, że on już o siódmej rano na całej tablicy, zresztą bardzo ładnym pismem, zapisywał słowa piosenki.

*Żółty wiślany piach
Wioski słomiany dach
Płynie, płynie Oka
Jak Wisła szeroka
Jak Wisła głęboka*

Fragment piosenki *Oka*

Słowa: Leon Pasternak

I żaden nauczyciel nie mógł tego zmasać, więc tablica pozostawała bezużyteczna przez cały dzień. Kierownik to kierownik, najważniejszy. Raz w miesiącu było święto. Do szkoły przyjeżdżał facet i puszczał filmy, dziś powiedzielibyśmy: edukacyjne. Przyrodnicze lub historyczne dla wyższych klas oraz bajki dla pierwszej i drugiej klasy. Pamiętam filmy Włodzimierza Puchalskiego – słynnego fotografa przyrody. Mimo iż czarno-białe, robiły na nas ogromne wrażenie, choć to, że baobaby są grubsze od naszych alwerniańskich dębów, było dla nas sprawą bardzo podejrzaną. Wszyscy jednak pchali się najbardziej na bajki, nawet najstarsze roczniki. Bajki nie były takie jak teraz, gdzie są brzydki i groźni ludzie. Zwykle były tam królewny, bardzo ładne. Zając to był zając, a nie cholera wie co.

A może ten film o Alwerni zacząć inaczej? Opustoszały rynek. Zza winkla niepozornie wychodzi baba w chustce i niesie krzesło. Z innej strony nadciąga elegancki pan z panią. Niosą taborety, każdy po jednym. Za moment biegnie listonosz z krzesłem. Potem aptekarz, piekarz. Coraz więcej ludzi przez rynek przechodzi, każdy z czymś do siedzenia. Wreszcie biegnie zgraja pętałów w obdartych ubraniach. Ale oni już bez krzesła, ponieważ film zapowiadano z dopiskiem na plakacie: „Dozwolony od lat 16”. Taka scena na alwerniańskim rynku miała miejsce raz w tygodniu. To był dla nas sygnał, że przyjechało kino objazdowe. Sylwek Kapcia z Regulic, sąsiedniej wsi, przywoził furmanką ogromny projektor i wyświetlał nam marzenia. Zainteresowanie było tak duże, że krzesła w świetlicy nie wystarczało dla wszystkich. Razem z kolegami usadowialiśmy się z tyłu budynku, ktoś nam zawsze odślaniał lekko koc zakrywający okno i kilka par oczu przez szparę podglądało film. Był raz taki pod tytułem *Kradzione nie tuczy*.

Chłopak ukradł nasiona kapusty i bardzo tego potem pożałował. Zobaczcie, jak głęboko to we mnie zapadło, że pamiętam. Wtedy w repertuarze dominowały filmy z bloku socjalistycznego. Gdy na plakacie informowano, że będzie wyświetlany film amerykański, to trudno było zmieścić się w świetlicy nawet z własnym taboretym. Czasami Sylwkowi myliły się kopie, które zabierał z sobą, i wtedy było jak w tym dowcipie. Rzecz dzieje się w wojsku. Przychodzi kapitan do żołnierzy i mówi: „Towarzysze żołnierze! Zaszła pomyłka. Film będzie, ale nie szwedzki, tylko radziecki, nie pornograficzny, tylko panoramiczny, i nie baba na żołnierzu, tylko ballada o żołnierzu”

Jednak film, którego wspomnienie ciągnie się przez całe moje życie, to *Rzymskie wakacje*. Ta piękna Audrey Hepburn, ten fantastycznie przystojny Gregory Peck, no i Wieczne Miasto. Na ekranie Rzym, a tu Alwernia. Gapiłem się jak zaczarowany na ten inny świat. Z pięknymi ludźmi, z cudowną muzyką, imponującą architekturą. Coś niebywałego. Silnie ten film przeżyłem. Te emocje – jeszcze wzmocnione – powróciły w 1997 roku. Grałem jedną z głównych ról we włoskim filmie *La ballata dei lavavetri*. W Polsce wyświetlano go pod tytułem *Ballada o czyścicielach szyb*. Na czas zdjęć zamieszkałem w Rzymie. Jedną z finałowych scen zaplanowano przy murach Zamku Świętego Anioła. Znałem to miejsce doskonale, bo wielokrotnie tam bywałem. Spacerując Mostem św. Anioła były nieodłącznym elementem moich własnych rzymskich wakacji. Scena, którą kręciliśmy, była dość szczególna, gdyż szedłem w stroju Adama, a ze mną świnia, od której usiłowałem się opędzić. Pomyślałem wtedy: „I co z tego, że nie wyglądam jak Gregory Peck? I co z tego, że moją partnerką nie jest Audrey Hepburn, tylko świnia? Ale ja jestem w tym samym miejscu. Stają tu te same platany, które stały, a ja mogę się o nie

oprzeć. A to, że szczury wychodzą spod mostu, w ogóle nie szkodzi”. Kręciliśmy to w Wielki Piątek. Z Koloseum dobiegał głos naszego papieża Jana Pawła II, który prowadził drogę krzyżową. Absolutnie magiczne miejsce i magiczny czas dla mnie. Byłem już dorosłym człowiekiem, jednak wciąż silnie związanym z wiarą chrześcijańską.

Ministranturę po łacinie potrafię recytować do dziś: *Confiteor Deo omnipotenti, beatae Mariae semper Virgini, beato Michaeli Archangelo, beato Ioanni Baptistae, sanctis Apostolis Petro et Paulo, omnibus Sanctis et tibi, Pater, quia peccavi nimis cogitatione, verbo, et opere*. Nie da się z pamięci wymazać słów powtarzanych w dzieciństwie codziennie jak mantra. W latach 50. każdego dnia w Alwerni były trzy msze rano. Ja służyłem do tej o siódmej. Później z innymi ministrantami szliśmy do kuchni klasztornej i tam ojcowie bernardyni podejmowali nas śniadaniem. Obowiązkowo była zaparzana zbożowa kawa z mlekiem, mocno posłodzona, i chleb ze smalcem. Ale jak to smakowało! Boże drogi! Listonosz przynosił korespondencję do klasztoru w pierwszej kolejności, bo wtedy mógł się załapać na te śniadania. Siadał z nami, nie żałował sobie smalcu i wcinał pajdy z uśmiechem. Wspomnienie tego miejsca wywołuje we mnie bardzo dużo ciepła. Poza tym był tam Pan Bóg, dlatego klasztor w Alwerni mocno kierunkował moje plany życiowe.



Odprowadzamy wujka Franka na stację kolejową w Regulicach. Wiktor (z lewej) taszczy jego walizkę

Długoletnim guardianem klasztoru był sławny ojciec Leoncjusz Cyronik. Dużo dobrego uczynił dla miasteczka i lud alwerniański po prostu go uwielbiał. Kobiety go kochały, bo był bardzo przystojnym facetem. Mężczyźni go cenili, bo znał się na koniach i bardzo o nie dbał. Jak Leoncjusz wyjeżdżał bryczką i jechał przez Alwernię, to aż miło było popatrzeć na pięknie wyczesane wierzchowce stukające kopytami o kamienie na drodze. Konie okolicznej ludności były zazwyczaj niedożywionymi szkapami. Wszyscy wiedzieliśmy, że Leoncjusz, owszem, wybrał życie zakonnika, ale był kiedyś w ułanach. Marszałek Piłsudski zwrócił na niego uwagę jako na wybitnego jeźdźca. Ponoć podczas jakiejś defilady zaproponował mu, żeby poszedł do wyższej szkoły oficerskiej, ale on odmówił i powiedział, że chce zostać

zakonnikiem. No i rzeczywiście został. Nie miał łatwego życia w nowym ustroju. Wielokrotnie za działalność antypaństwową miał go aresztować Poldek, miejscowy posterunkowy MO. Ale jak? Gwardiana będzie aresztował? Przecież ludzie by go zjedli. To tak udawał trochę, że chce go aresztować. Kiedy Poldek otrzymywał polecenie na Leoncjusza, to Leoncjusz już o tym wiedział i siadywał na wieży kościelnej. Tam milicjanci wejścia nie mieli. Wieczorem sobie schodził i wychodził na zewnątrz, żeby trochę pospacerować. Raz nam opowiadał:

– Przyszedł do mnie wieczorem Poldek i powiada, że mnie zaaresztować musi.

– I co ojciec zrobił? – dopytywaliśmy o szczegóły.

– Jak to co? Przypierdoliłem mu i wróciłem do klasztoru.

No i jak było go nie kochać? Klasztor i kościół były wówczas ostoją wolności, łączyły ludzi. Bardzo bym chciał, aby dzisiaj też tak było.

Lubię rozmawiać z księżmi i zawsze chwalę się swoją łaciną. Oni wtedy robią oczy jak pięć złotych. Niby uczą się łaciny, ale sami jej nie znają, bo nie praktykują. Zwykle na początek opowiadam im dowcipy. Na przykład: wchodzi Trzej Królowie do stajenki i widzą, że Matka Boska płacze, Józef też płacze, a dziecko wrzeszczy. Kacper mówi: „Co wy, Żydzi, tak płaczecie? Takie macie ładne i zdrowe dziecko”. Na co Maryja odpowiada: „Bo myśmy chcieli dziewczynkę”. A ostatnio taki mi się spodobał: katecheta wezwał matkę dziecka i mówi: „Pani syn jest kretyn totalny, on nawet nie wie, że Jezus Chrystus nie żyje”. Na co kobita odpowiada: „Proszę księdza, u nas taka bida w domu, my nie mamy telewizora, gazetów nie kupujemy, bo drogie, radio nam się zepsuło, także my w ogóle nie wiedzieli, że on chorował”.

Dystans księży do takich żartów dużo o nich mówi. To nie jest tak, że kiedyś księża byli inni. Różni byli, ale ta moja wiara była inna. Zazdroszczę tym, którzy dziś wierzą, bardzo bym chciał być tak wierzącym, jak byłem jako dziecko. To w życiu bardzo pomaga. Można zrzucić pewną odpowiedzialność, wszystko usprawiedliwić, że jest tak, bo Pan Bóg tak chciał. Człowiek ma wytłumaczenie, nie ma pretensji, no bo jak mieć pretensje do Pana Boga, którego się na dodatek kocha? Kiedyś było to wszystko jakoś prostsze. Myślę, że wykorzystywanie Boga jako straszaka zabrnęło za daleko. Opieranie wiary na lęku przyniosło odwrotny skutek. Pamiętam taką scenę. Dzień zaduszny po Wszystkich Świętych. Rynek w Alwerni. Stara, wzniesiona z kamienia kaplica z ołtarzem w środku. Jest cholernie zimno. Deszcz zacina. Zmoknięci ludzie cisną się w środku. Ja, w cienkiej i mokrej komży, służę do mszy. Odprawia ją zakonnik, ojciec Bonifacy, z którym na co dzień nie szło się dogadać, ponieważ się jąkał i przez to miał odebrane prawo do spowiadania. Nie jąkał się tylko wtedy, gdy krzyczał. Stoi więc Bonifacy na krześle, bo trzeba było na podwyższeniu, i pohukuje na parafian: „Wiszą już dzwony, które będą dzwonić na waszych pogrzebach!” I nagle grzmot z nieba! A on wskazuje taki dzwonek przybity do dębu, którym się dzwoniło na mszę. Jak ja się tego przestraszyłem! Mogłem mieć osiem, dziesięć lat, a on mi mówi o moim pogrzebie. Przez długi czas nie mogłem dojść do siebie.

Pomieszczenia gospodarcze klasztoru, ukryte przed słońcem, miały również swój zgoła odmienny urok. Za sprawą pewnej korpulentnej kobiety pracującej przy krowach niejeden chłopak wchodzący w wiek dojrzewania mógł zaznać przyjemności w praktyce. Ona była bardzo dobra i uczynna w tych sprawach i nikomu nie odmawiała. Nawet jednemu, który stracił rękę i miał

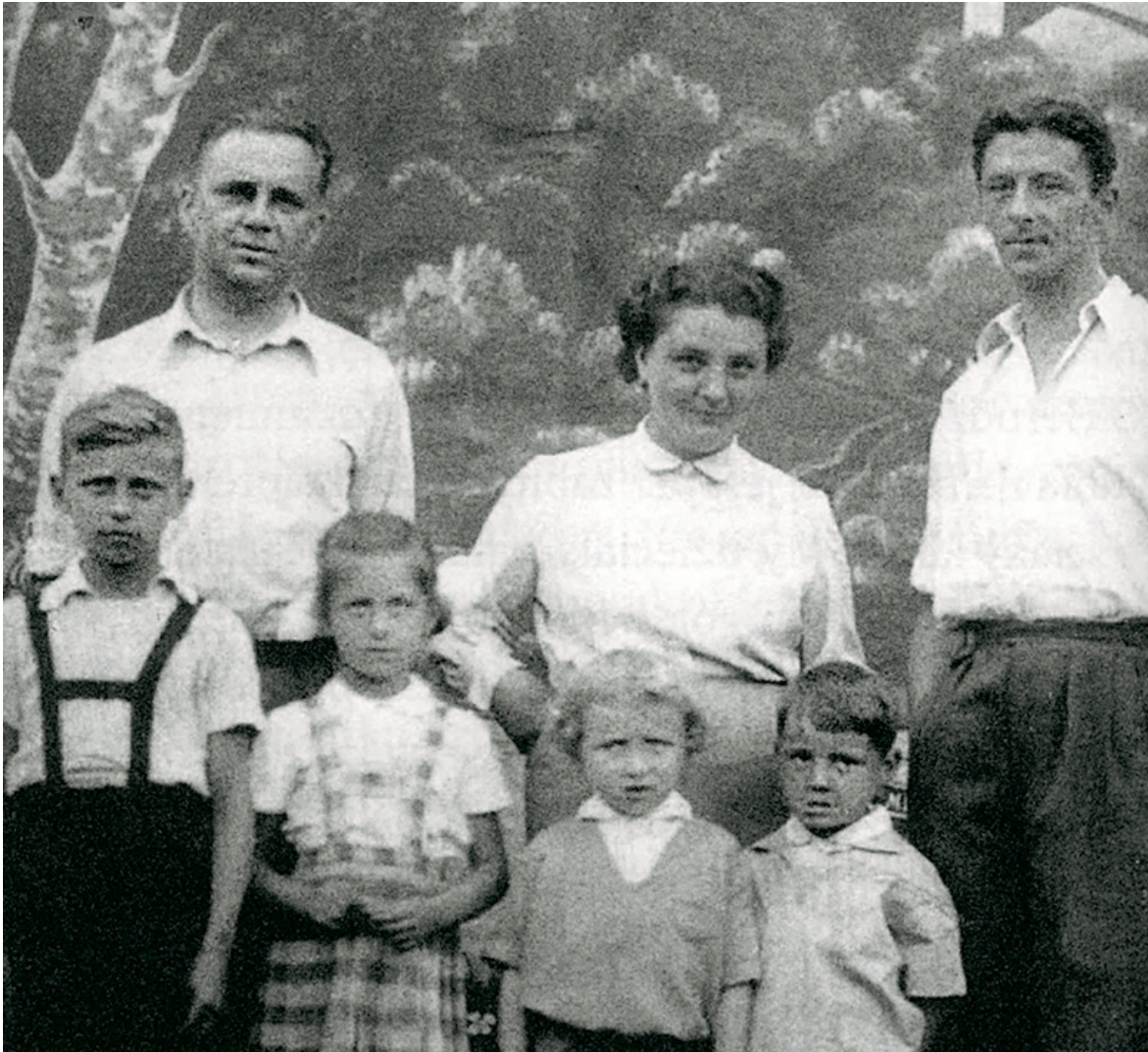
tylko taki kikut od łokcia, gdy wigoru nie starczało, pozwalała popracować tym, co mu z ręki pozostało. I to też byłoby w filmie.

W stawaniu się mężczyzną pomagał nam też Wacek Warzecha, weteran wojenny, który miał w domu swój portret. Bardzo mi się wtedy ten jego obraz podobał, choć jak dziś go wspominam, to był bohomas okropny. Wacek był na nim w mundurze z czterema gwiazdkami na pagonach, w związku z czym lubił, kiedy zwracaliśmy się do niego per panie kapitanie. Gdy poił nas winem ryżowym własnej produkcji, przyznawał się, że te gwiazdki to sam sobie namalował. Ale wino było tak pyszne, że po odpowiedniej dawce gwiazdki naprawdę nie miały żadnego znaczenia. Kiedy przychodziliśmy do Wacka, pytaliśmy go: „Panie Wacku, a jak było podczas wojny?” A on tylko ziewał, machał ręką i odpowiadał: „Przenajrozmaiciej było”. A jak się rozgadał, to częstował nas takimi historiami: „Śpie se, nagle bomba dżyz! Pierdziu! Pół chałupy ni ma. A ja pierdziu na drugi bok i śpie se dalej”. I to był superbohater! Na miarę tamtych czasów!

Tęsknię czasami za tą beztroską, za naturalnym przemijaniem dnia za dniem. Żyliśmy bez pośpiechu, zgodnie z porami roku. Byle do maja, do chrabąszczy, byle do Bożego Ciała, bo wtedy już tylko dni nas dzieliły do momentu, kiedy ten samochód z początku filmu wjeżdżał na rynek naszej Alwerni. Byliśmy szczęśliwi i podekscytowani, bo jechała albo karuzela, albo strzelnica, a od jutra miała się rozpocząć fiesta!

Raz do roku Alwernia zamieniała się w kolorowe miasto. Odpust nazywano „strzelanką”. Określenie to było używane jeszcze przed zaborami i wzięło się z tego, że podczas odpustów z góry Alwerni na całą okolicę było słychać salwy moździerzowe. Już tydzień wcześniej zjeżdżały się karuzele, strzelnice i kramy. Samych karuzeli było ze trzy. Każdy zostawiał na miejscu swojego

człowieka stróża, żeby mu nie podpieprzyli koników albo krzeselek. Ci karuzelnicy, którzy przez tydzień mieszkali w brezentowych namiotach z pryzkami na ziemi, to dla nas byli światowi ludzie. My ze wsi, a oni ciągle w drodze. Zaprzyjaźnienie się z takim było ogromnym szczęściem, a za pomoc w pchaniu karuzeli można było się przewieźć za darmo na koniku. Bo nie wszystkie karuzele wówczas były motorowe. Większość trzeba było normalnie pchać. Wchodziło kilku chłopca i dzieci po drabince na taki mostek i kręcili, ile sił. Na dole ludzie śmieją się na konikach, a w górze marynarze wyciągający kotwicę. To piękne ujęcie do filmu.



Zdjęcie ze „strzelanki” w Alwerni. Dorośli, od lewej: wujek Kola, ciocia Tita (żona wujka Franka), wujek Franek. Dzieci, od lewej: Mikołaj, kuzynka Małgosia, Andrzej, kuzyn Wojtek

Noc przed odpustem nie mogłem spać z podniecenia. Zwykle o siódmej rano było już gorąco. Budził mnie zapach smakołyków i gwar kramarzy, jak otwierali i rozwieszali swoje błyskotki. Słysząc było już pojedyncze strzały z korkowca – były takie amerykańskie bombki z ołowiu, czyli małe bomby, do których wkładało się kapiszona i uderzało nimi o ziemię, żeby był trzask. Mama mi kupowała różańce z dziwnego ciasta, jakby obwarzanki. Nie wiedziałem, czy je jeść, czy się na nich modlić, dlatego wolałem misie z andrutów przełożone kremem. Zresztą do dzisiaj je kupuję, jeśli gdzieś zobaczę. Ostatnio dostałem takie w Krakowie. Pojechałem tam 1 listopada na groby dziadka Gustawa, babci Wiktorii Bahr i rodziny mamy – czyli Bahrów i Zarębów. Zobaczyłem kramy pod cmentarzem i odruchowo podszedłem, żeby zapytać, czy jest trupi miodek. Był i były też te misie, a w głowie mimochodem zadźwięczała mi melodia piosenki, którą grał i śpiewał Janusz Laskowski – *Kolorowe jarmarki*. Uważam, że bardzo pięknie ją Maryla zaśpiewała, ale zrobiła z niej zbyt wielki show o niczym. Bo jak Laskowski śpiewa, czasami na YouTube sobie go puszcza, „co wyliczę, to wyliczę, ale zawsze wtedy powiem, że najbardziej mi brak” – to mi się płakać chce. Bo ja pamiętam te kolorowe jarmarki, te blaszane zegarki, te koguciki na druciku, to wszystko.

Kiedy przyjezdni po odpuscie wyjechali, całą czeredą przegrzebywaliśmy śmieci, od których rynek dosłownie tonął. Czasami można było znaleźć dwa złote – jeszcze papierowe wtedy – i postawić na karecie lub fulla w Żuku. Graliśmy w pokera z takim facetem, który przywoził rano pocztę z Chrzanowa, samochodem marki Żuk właśnie. Później czekał do godziny piętnastej pod

pocztą i nie miał co robić, no to myśmy się z nim zaprzyjaźnili. Jak go prosiliśmy, to czasami nas przewoził do Regulic nad rzekę Regulkę. Ale zazwyczaj po prostu na pace żeśmy ciupali w te karty.

Alwernia była pełna młodzieży, teraz tam są już tylko starzy ludzie, którzy co jakiś czas odchodzą. Byliśmy strasznie zżyci – szczególnie ci z rynku, bo ci z rynku byli lepsi od tych nie z rynku, wiadomo. Całe wakacje spędzaliśmy na miejscu, no bo gdzie indziej? A bo źle nam tam było? Czytałem kiedyś *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren. Wszystkie ich zabawy, te budy, te szałas, żniwa, to wszystko i ja przeżyłem w Alwerni. Jak powiem, że moje wczesne lata były wspaniałe, to nie będę specjalnie oryginalny, bo zwykle wspomnienia z dzieciństwa się cukruje. Nawet jak było biednie. Tam był raj dzieciństwa. Tam choinka, po którą z kwitkiem od leśniczego trzeba było pójść do lasu i ściąć, pachniała inaczej. Myślę o tym każdego dnia, gdy patrzę na niedużą akwarelę z panoramą Alwerni. Widać tam rynek i nasz rodzinny dom. I kiedy mówię „Alwernia”, to mam na myśli „serce”, bo moje serce właśnie tam zostało.

Dzieciaki z Alwerni

*Mogło być mi lepiej i mogło być gorzej
Lecz do dzisiaj słyszę tę ciszę w klasztorze
Na ryneczku domki krzywe, pachnie bzem i piwem
Miód się lepki lepi, fotografia w sepii*

*Na niej dzieci skubią czerwone porzeczki
A wokół miasteczka marszczą się góreczki
Proste lata młode, jak dym na pogodę
Dziś, nie wiedzieć czemu, są Alpy problemów*

*Dobry Panie Boże! W świecie pełnym świństwa
Zwróć nam, jeśli możesz, kromeczkę dzieciństwa
Niech zapachnie jesień czeremchą i wiosną
Albo nam przynajmniej nie pozwól dorosnąć*

*W tle była kukułka – ten listonosz losu
Który nam wykukał łaskawość niebiosów
Gdy szczęściem był piernik w malutkiej Alwerni
Kiedy to się stało, że nam wciąż za mało*

*Czasem nas przyzywa skądś pamięci trąbka
Próbujemy skleić czas we wspomnień rąbkach
Prawdę, co zachwyca jasna jak pszenica
Jak ten niepojęty oleodruk święty*

*Dobry Panie Boże! W świecie pełnym świństwa
Zwróć nam, jeśli możesz, kromeczkę dzieciństwa
Niech zapachnie jesień czeremchą i wiosną
Albo nam przynajmniej nie pozwól dorosnąć*

*I nikniemy w mroku, spokojni i bierni
My – te niegdysiejsze dzieciaki z Alwerni
A nad nami w górze Aniołowie Stróże
Szczęśliwi anieli, żeśmy nie zgłupieli*

*Dobry Panie Boże! W świecie pełnym świństwa
Zwróć nam, jeśli możesz, kromeczkę dzieciństwa
Niech zapachnie jesień czeremchą i wiosną
Albo nam przynajmniej nie pozwól dorosnąć
Amen*

Tekst: Jan Wołek

Piosenka pochodzi z płyty Andrzeja Grabowskiego *Cudne jest nudne*



Dzień świra – kadr z filmu. Rok 2002

DZIEŃ ŚWIRA

MAKING OF

Nienawidzę się spóźniać, ale ponieważ nie znałem stolicy, kołowałem po warszawskim placu Unii Lubelskiej chyba z pięć razy, nie wiedząc, w którą ulicę skręcić. W ogóle źle wymierzyłem czas dojazdu z Krakowa. Do tego korki, korki, korki. Wszystko jakby obróciło się przeciw mnie, żeby tylko nie dojechać na Chełmską na czas. Prawdziwy dzień świra! Dzwonię do Ewy Jędrzejewskiej, która organizowała casting, i szczerze ją przepraszam. Uspokaja mnie. Mówi, że czekają. W końcu wpadam spocony z nerwów do Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. W małym pokoiku, całkiem spokojnie, popijając kolejną kawę, siedzi dwóch Marków – Koterski i Kondrat. Witamy się. Z Koterskim jeszcze jesteśmy per pan. Zaczynamy przesłuchanie.

– Patrz pan, co te żółtki! Jacy perfidni potrafią być! Zalewają nasz rynek swoimi skarpetkami z gumką!

– Panie Andrzeju. Zmienił pan tekst – zatrzymuje mnie Marek Koterski.

– No tak, wiem, ale sens jest ten sam, prawda?

– Szkopuł w czym innym. Pan nie zauważył, że tekst jest napisany trzynastozgłoskowcem.

O cholera! Faktycznie, nie uchwyciłem tego. Liczę pierwszy wers, drugi... No dobra. Zaczynam jeszcze raz.

– Patrz pan, co te żółtki. Patrz pan, jaka perfidia.
Zalewają nasz rynek skarpetkami z gumką!

– No i teraz jest pięknie. Ma pan tę rolę – z uśmiechem oświadczył Marek Koterski i pokiwał głową.

Kiedy wyszliśmy z Kondratem na papierosa, Marek powiedział, że mój udział w tym spotkaniu był tylko formalnością, bo Koterski był już zdecydowany obsadzić mnie w *Dniu świra*. Spytałem wtedy Marka, jak on będzie to grał. Przecież tam są sceny, w których onanizujesz się do gazety, podcierasz się siedem razy na sedesie albo załatwiasz się pod drzewem – jak pies! A Mareczek w dobrym nastroju, beztrosko odpowiedział: „No co ty, Andrzej? To tylko scenariusz jest”.

W końcu zacząłem jeździć na plan. Miałem do zagrania ledwie kilka scen w drugoplanowej roli, która była ważna dla Koterskiego. Przez jego upór – nie pozwalał zmienić nawet zdania i wszystko musiało być kropka w kropkę tak, jak to napisał w scenariuszu – granie bywało męczące i bardzo nieprzyjemne. Z każdym spotkaniem widziałem, że Marek Kondrat był coraz smutniejszy i nawet zaczął siwieć.

Słynną scenę na plaży kręciliśmy dwa dni, bo pierwszego lał deszcz, był sztorm i nic nie dało się zrobić. Marek powiedział mi wtedy, że ma już dość tego filmu. Nie może słuchać, co mówi, i patrzeć na to, jak gra: „Andrzej, jestem zmęczony jak Adaś Miauczyński. Muszę odpocząć”.

Na skrócenie kolejnej sceny jechaliśmy bussem i w pewnym momencie Kondrat zwraca się do Koterskiego.

– Słuchaj, Marek. Skoro przewaliliśmy już cały budżet filmu, a zdjęcia kręcimy już o kilka dni dłużej, mam pomysł!

– Słucham cię, Mareczku. O co chodzi?

- Wypierdolmy scenę, gdzie w odwecie załatwiam się pod oknem Bożenki Dykiel!
- Co ty mówisz, Mareczku?
- No mówię – wywalmy tę scenę, gdzie sram jak pies na trawniku pod oknem.
- Główną scenę z filmu chcesz wypierdolić?!

POKÓJ Z KOZĄ

Były pewnie lata 20. ubiegłego stulecia. Ona – biedna, lecz śliczna dziewczyna z Alwerni, on – przystojny inżynier górnik z Krakowa. Zakochali się w sobie po uszy. Wkrótce Zofia Namysłowska wyszła za Kazimierza Przybyłowskiego, mimo niezadowolenia obu rodzin. Ten klasyczny mezalians można było zneutralizować tylko w jeden sposób – wyjechać, i to jak najdalej. Młodzi osiedlili się w Janowej Dolinie na Wołyniu. Kazimierz dostał posadę dyrektora w pobliskiej kopalni bazaltu, a Zosia zajęła się domem. Po kilku latach Kazimierz nieszczęśliwie zakaził się tężcem i wkrótce zmarł. Zosia została sama, bez środków do życia. Ponieważ potrafiła znakomicie gotować, postanowiła, że założy jadłodajnię dla robotników i spróbuje sama dać sobie radę. Czy to z powodów kulinarnych, czy może na skutek uroku osobistego Zosia cieszyła się wielką sympatią wśród ukraińskich górników. Do tego stopnia, że w kwietniu 1943 roku, tuż przed atakiem oddziałów UPA na Polaków, kilku Ukraińców zapukało do jej mieszkania z ostrzeżeniem: „Musisz natychmiast uciekać! Inaczej zginiesz!”. Opowiadała, że wybiegła tak, jak stała. W popłochu, i znów jak najdalej. Po kilku tygodniach, zupełnie wyczerpana, dotarła do Alwerni. Był to podobno przerażający widok. Stała w obdartym ubraniu wpatrzona w pustą przestrzeń, która kiedyś była jej domem. Zlitowali się nad nią moi młodzi wtedy rodzice. Przygarnęli do siebie, dali pokój i od tego momentu stała się cicią Zosią. Gotowała pyszne obiady i pomagała moim zapracowanym rodzicom w wychowywaniu trzech urwipiółców.

To był najbardziej zadymiony pokój w naszym domu. Prócz cioci zajmowały go dwa koty o pięknych imionach: Nocek i Mruczek, oraz dwa psy. Jeden z nich miał się wabić Atos, ale ponieważ okazał się suczką, został Atoską. Drugi pies, Żuczek, był jej jedynym potomkiem. Przy porodzie ułamał mu się ogonek i pozostał z nami jako dziwoląg cudowny do przytulania. Zosia bardzo kochała zwierzęta. To dzięki niej trzymaliśmy kury, których nie pozwalała zabijać na rosół.

W kącie pokoju stał piec typu koza, w którym paliło się „patykami”. Pomimo prawie osiemdziesięciu lat codziennie od wiosny do jesieni, gdy tylko nie padało, ciocia chodziła po te „patyki” do lasu. A ja razem z nią. Przysiadywała na pniaczku, śpiewała i opowiadała tajemnicze historie. Ponieważ głęboko wierzyła w swoje opowieści, wyznaczała mi granice poruszania się po Alwerni. I tak przy krzyżu musiałem uważać, bo tam „złodzieje podolscy” porywali dzieci. Z kolei do kamieniołomu w Regulicach najlepiej było się nie zbliżać, bo tam mieszkał „ditko”, czyli ukraiński diabeł. Zupełnie tego nie rozumiałem. Tak jak słuchając jej śpiewu, dla mnie zawodzenia staruszki, nie mogłem uwierzyć, że w młodości miała piękny głos, co rodzice często podkreślali.

Ciocia cały czas paliła sporty. Gdy miałem sześć lat, po raz pierwszy poszedłem zapalić z nią papieroska. Pozwoliła mi, bo uważała, że papierosy nikomu nie szkodzą. To oczywiście nie było palenie z zaciąganiem się, tylko trochę sobie podmuchałem i już, ale kiedy w liceum zacząłem palić naprawdę, chętnie zachodziłem do jej pokoju i kurzyliśmy na całego.

Niestety, Zosia z biegiem lat marniała w oczach. Kiedy zemdlała w sklepie u pani Borowskiej, przyznała się, że „coś jej rośnie na klatce piersiowej”. Opowiadała przy tym, że w dzieciństwie śniło jej się, że „coś na nią skacze i wczepia się w piersi”. I teraz właśnie

w tym miejscu to „coś” rośnie. Po śmierci Zosi jej pokoik zajęła ciotka Janka, młodsza siostra mojej mamy. Była singielką, na co dzień mieszkała w Sosnowcu. Uczyła tam rysunku i malarstwa w technikum odzieżowym. Ponieważ nie miała nikogo na utrzymaniu, a jako profesorka zarabiała całkiem niezłe pieniądze, często pod koniec miesiąca pożyczala rodzicom nawet parę setek, co przy trudach utrzymania trzech synów miało dla nich ogromne znaczenie. Przyjeżdżała do nas w soboty. Wtedy podróż z Sosnowca trwała z półtorej godziny pociągiem z dwiema przesiadkami, a dziś samochodem jedzie się 40 minut. Uwielbiałem, gdy przyjeżdżała. Kładliśmy się wtedy z Mikołajem w jej pokoju, a ona godzinami opowiadała nam o książkach, które przeczytała, albo o filmach, które obejrzała. Moja wyobraźnia pracowała na podwójnych, a nawet poczwórnych obrotach. Wchłaniałem wszystko, co mówi. Kiedy zmarła ciotka Janka, w pokoiku po Zosi nie było już psów ani kotów, ani nawet patyków i dymu ze sportów. Została tylko zimna koza.

BRAT PRZYJACIEL

17 maja 2019 roku byłem mocno zajęty na planie *Tańca z gwiazdami*. Emocje sięgały zenitu, bo kręciliśmy finałowy odcinek, w którym kryształową kulę za moment miała zdobyć Joanna Mazur. W krótkiej przerwie zadzwonił telefon i zobaczyłem na wyświetlaczu „Agata Kalińska”. To córka mojego najstarszego brata Wiktora. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że pewnie ogląda finał i chce podpytać, kto wygra. W słuchawce usłyszałem jednak zapłakany głos i bardzo smutne: „Wujku, tata nie żyje”. Umarł nagle, w wieku 78 lat, podczas wakacji w Turcji, które spędzał z rodziną. Poczułem taki ból, jakby mi ktoś calaka wbił w plecy. Ale nawet nie mogłem z nią dłużej porozmawiać, pomilczeć, musiałem wracać do jurorskiego stołu. Po kilku minutach studio rozbłysnęło fajerwerkami, a radość zwycięzców, prowadzących i widowni nie znała granic. Ja też biłem zasłużone brawa dla Joasi i Janka, ale myślami byłem już zupełnie gdzie indziej.



Bracia: Wiktor, Mikołaj i Andrzej (na rękach)

Trzy lata wcześniej zmarła żona Wiktora – Joanna, a jego sąsiadce Annie, mieszkającej w Pszczynie na tej samej ulicy, zmarł mąż. Ania i Wiktor, odwiedzając groby swoich małżonków, położone prawie jeden przy drugim, zbliżyli się do siebie. Wkrótce wzięli ślub. Cały Wiktor, nie mógł żyć bez ludzi, a ludzie nie mogli żyć bez niego. Kiedy przeszedł na emeryturę – jako górnik miał do tego prawo, gdy skończył 55 lat – namówiliśmy go z Mikołajem, żeby założył agencję artystyczną i sprzedawał nasze spektakle. Zrobił to bez wahania. Domyślcie się, jaką nazwę miała ta firma? Agencja Impresaryjna Alwernia! Bo jak inaczej? Po jakimś czasie nasz brat reprezentował już nie tylko mnie i Mikołaja, ale też Janka Englerta, Andrzeja Sikorowskiego i wielu innych artystów. Wiktor uwielbiał tę pracę, kochał z nami wyjeżdżać. Zawsze mówił: „Ustawiłem robotę, jedziemy na wycieczkę!” I trochę tak

było – my do pracy, a Wiktor na przejażdżkę. Czas z nim pięknie mijał, w hotelach, na trasie, zawsze wesoło i śpiewająco.

Po studiach na krakowskiej AGH został specjalistą od budowy kopalń. I nawet jedną wybudował – kopalnię Czeczott. Wiadomo, nie sam, ale był dyrektorem inwestycji, więc cokolwiek by mówić, pełnił poważną i odpowiedzialną funkcję. Mam wrażenie, że jednak niespecjalnie kochał swój zawód. Oczywiście bardzo cenił sobie pracę górniczą, co wielokrotnie podkreślał. Kiedy przyjeżdżał na nasze benefisy do Krakowa, zawsze był w czarnym galowym mundurze górniczym, a na głowie pięknie mu leżało czako z pióropuszem, które każdy chciał przymierzać. Wkładając je na głowę, stawałem na baczność przed lustrem i ogłaszałem: „Ja żem chop z Mruczka ino w Murckach! I mom dla wos przepyszno przepalanke!”. Wszyscy śmialiśmy się do rozpuku, bo Wiktor naprawdę mieszkał wtedy w Murckach na ulicy Mruczka. Później osiedlił się w Pszczynie, którą pokochał. Zaś o przepalance, specjalności Wiktora, pięknie zaśpiewał Andrzej Sikorowski na moim benefisie w Teatrze STU.

*To się zdarzyło rzeczywiście
Na świadka swą małżonkę proszę
Przyrzekłem kiedyś uroczyście
Być abstynentem i jaroszem*

*Do dziś bym chwałę trawy głosił
Żył higienicznie oraz zdrowo
Gdyby mnie Graboś nie zaprosił
Do swego domu na Sosnową*

*Stół zastawiony był rzetelnie
Posiłek, można rzec, królewski*

*Bo jeśli chodzi o patelnię
To Jędrək wcale nie jest kiepski
Były kotlety i karkówka
Na tłustym boczku zapiekanka
I legendarna cytrynowka
I od Wiktora przepalanka*

*Tu wtrącę, że najstarszy z klanu
Choć się teatrem nie podniecił
Wódeczkę robi przepaloną
Że sam podnosi się berecik*

*A gdy już poszła nam do głowy
I błogo stało się jak w raju
Daliśmy, wierzcie, premierowy
Najnowszy opis obyczajów
Dobrze wiedziałem, co się święci
Ale po siedemnastej bani
Pomimo krystalicznych chęci
Szlag trafił mój wegetarianizm*

*Więc niech i blade anorektyk
Na zawsze sobie zapamięta
Jeśli odzyskać chcę apetyt
Musi zaprosić nas na święta*

Mnie i Jędrusia Grabowskiego

Słowa: Andrzej Sikorowski

Szkoda, że Wiktor nie został aktorem. On miał doprawdy duszę artysty. Może nie nadawał się na role dramatyczne, chociaż kto

wie? Jednak na lwa estrady z pewnością. Kiedy go wspominam, mam przed oczami uśmiechniętego i szczęśliwego faceta, przywódcę stada. Podczas imprez rodzinnych Wiktor był duszą towarzystwa, śpiewał, czasami recytował swoje teksty satyryczne. Wszyscy go oczekiwali również dlatego, że nigdy nie było wiadomo, co tym razem udało mu się dostać. Umyślnie użyłem słowa „dostać”, bo za komuny nie można było nic kupić normalnie, tylko można było dostać, wykorzystując różne sposobności. Na początku lat 80. pojawiły się na Śląsku specjalne sklepy tylko dla górników, tak zwane gieweksy. Posiadacze książeczek „G” mogli w nich „dostać” towary, jakich normalnie nie było w sklepach. Na przykład buty, narty albo kurtki. Niesamowite, ale naprawdę to były takie czasy. Nasz brat, z racji pracy „na kopalni” – tak mówiliśmy – był ogromnym wsparciem dla całej rodziny w tych ponurych czasach.

Wiktor był starszy ode mnie o 11 lat. Kiedy wyjechał do liceum w Wadowicach, miałem trzy lata, dlatego nie za bardzo pamiętam go z rodzinnego domu w Alwerni. Mam w pamięci, że mama kazała mu chodzić w takich przezabawnych spodniach pumpach – szerokich, zawijanych pod kolanem i wciskanych do wysokich podkolanówek. Nie znosił ich, ale mama nalegała i nie było żadnego zmiłuj. Ja zacząłem za nim tęsknić dopiero wtedy, kiedy wyjechał na studia do Krakowa. Za jego przyjazdami do Alwerni, kiedy przywoził kolegów, koleżanki, aż w końcu przywiózł swoją późniejszą żonę Joasię, która przepisywała mi zeszyt do religii, bo miała piękne pismo, a ja bazgrałem jak kura pazurem. Zresztą do dzisiaj tak mam, że jak coś notuję, to używam wyłącznie wielkich liter. Kiedy próbuję kaligrafować, wygląda to tak, jakbym wciąż chodził do drugiej klasy podstawówki. Wiktor traktował mnie jak dziecko, jego instynkt macierzyński w stosunku do mnie objawiał

się bardzo długo. Nawet kiedy kończyłem studia, czułem jego opiekuńczość. Po latach z roli ojca wszedł w rolę brata przyjaciela, z którym mogłem porozmawiać dosłownie o wszystkim. Zwierzałem mu się nawet z moich sercowych sekretów. Był mi bardzo bliski.

Zmarł ponad rok temu, a ja do dziś nie wykasowałem jego numeru telefonu. Nie potrafię. To tak, jakbym miał skasować pamięć o nim. Ciągle nie mogę pogodzić się z tym, że go nie ma. Ale się godzę, no bo cóż robić?

ZASŁUŻONY CABAN

Mam 13 lat, gdy moja edukacja w ciepłarnianych warunkach Alwerni dobiega końca. Do najbliższego liceum w Chrzanowie dojeżdżam pociągiem. Zima nie zima, deszcz nie deszcz, wstaję codziennie o piątej piętnaście i przed szóstą schodzę – nie raz i nie dwa zjeżdżam na dupie – przez las do stacji kolejowej w Regulicach.

Najgorsze były zimy – wtedy po ciemku w śniegu po pas wydeptywałem dróżki w lesie. Po całej okolicy rozchodził się świst parowozu, a drewniane wagony, jakby żywcem wyjęte z kowbojskich filmów, były tak zatłoczone, że o miejscu siedzącym mogłem jedynie pomarzyć. W dodatku było tam niemiłosiernie zimno, bo wszyscy kurzyli papierosy, więc o zamknięciu okna nie było mowy. Większość pasażerów to robotnicy dojeżdżający do Fabloku w Chrzanowie, zakładu produkującego lokomotywy i tabor kolejowy. Wśród nich ja z białymi lokami na głowie.

Ponieważ do Chrzanowa przyjeżdżałem o siódmej dziesiątej, a lekcje zaczynały się dopiero o ósmej, musiałem sobie jakoś ten czas zagospodarować. Zazwyczaj odpisywałem od koleżanek zadania z matematyki. Kolegów nie miałem. W tym wieku chłopaki trzymają się razem i chcą pokazać siłę, a ja byłem jedyny z Alwerni, w dodatku najmłodszy i najmniejszy. Mówiąc oględnie, miałem przerąbane. Do dziś pamiętam, jak kiedyś od mojego najstarszego brata dostałem piękny prostokątny zegarek i zauważyłem, że bardzo podobny ma jeden kolega z Chrzanowa, syn lekarza, zdaje się. Chciałem mu się trochę podlizać. Podszedłem

i mówię: „Zobacz, mamy takie same zegarki!” A on na to: „Tylko taka jest różnica, że ty jesteś głupi, a ja nie!” Prosta i bezpośrednia reakcja! Myślałem, że się rozpłaczę. Nie dość, że najmłodszy, najmniejszy, to jeszcze najgłupszy! Tragicznie wspominam te pierwsze lata licealne.

Szkoła to był barak z blachy falistej i gdzieś tam dykty. W jednym kącie stał piec kaflowy, w drugim metalowa koza. Rano było tak gorąco, że nie dawało się tam siedzieć. A na ostatniej lekcji był już mróz.

Z klasy w Alwerni, gdzie było szesnastu uczniów, wpadłem nagle do klasy liczącej pięćdziesiąt osób, a to za sprawą wyżu demograficznego po wojnie – z początkiem lat 50. rodziło się nas na potęgę. Warunki były koszmarnie. Lekcje kończyłem o 12.30, a pociąg powrotny do Regulic miałem dopiero o 14.30. Wiecie, co to jest dla takiego małego szczyła chodzić samemu po tym Chrzanowie i nie wiadomo co z sobą robić? Nieraz podchodziły do mnie grupki wyrostków, rzucając wymownym tekstem: „Wyskocz z piątki!” Okropne to było. Te dwie godziny pomiędzy cabanami, zupełnie sam. Później jeszcze przejazd pociągiem. Latem mogłem wyglądać przez okno. Z parowozu buchał dym, czasem iskra, a czasem jakieś fragmenty węgla i pyły – jak coś takiego wpadło do oka, to przez dwie godziny człowiek nie mógł otworzyć powieki. Do domu docierałem przed czwartą po południu, czyli zimą zupełna ciemnica. Siadałem do nauki i zadań domowych. Codziennie o wpół do ósmej chodziłem z bańką po mleko do pani Noculowej, która w tym czasie doiła krowy. Wracałem i przed dziewiątą byłem już w łóżku, żeby o tej piątej piętnaście wstać. Wszystko jak w zegarku.

Te doświadczenia mnie bardzo zahartowały. Może dzięki nim nie mam dużych wymagań od życia? Kto powiedział, że ja

powinienem mieć to czy tamto – nic nie powinienem mieć. Mam tylko tyle, ile sam wypracowałem minami i głosem przez czterdzieści pięć lat. Radzę sobie czasami tak, jak u profesora Mazarakiego, który uczył nas biologii w liceum. Miał bzika na punkcie geologii, czego konsekwencją było to, że prowadził Muzeum Ziemi Chrzanowskiej. Raz w ruinach na zamku w Tęczynku znalazłem gliniany cybuch od fajki. Jak mu go przyniosłem i powiedziałem, że z Tęczynka, to mogłem już w ogóle się nie uczyć. Ale najbliższą mi osobą była pani Wanda Budek, która uczyła nas chemii. Piękna kobieta z cudownym biustem. Można chyba powiedzieć: dziewczyna, bo była świeżo po studiach. Pół klasy się w niej kochało. Ona chyba zdawała sobie z tego sprawę, zawsze była uśmiechnięta, a może nawet zalotna. Miałem wrażenie, że mnie bardzo lubi. Wiedziała, że z chemii jestem totalna noga, więc dawała mi znać, kiedy będę pytany. Jak nic nie napisałem na kartkówce, to stawiała mi trzy na szynach. Ale raz dostałem dwóję. Bez uprzedzenia wezwała mnie do odpowiedzi, a ja w szoku nie mogłem z siebie niczego wydusić. I taki zde gustowany, nierozumiejący, co się stało, podszedłem do niej po lekcji, gdy wychodziła z klasy, i mówię: „Pani profesor, czemu dziś byłem pytany?” Na co ona odpowiedziała: „Bo masz brudne buty!” Uśmiechnęła się i poszła. Nasza znajomość trwała jeszcze wiele lat po skończeniu liceum i z czasem przerodziła się w przyjaźń. Telefonowaliśmy do siebie, mówiliśmy sobie per ty, pomagałem jej w trudnych sytuacjach. Niestety, dwa lata temu zmarła w domu opieki w Krakowie.

Wanda była wyjątkiem, bo zdecydowaną większość nauczycieli chrzanowskiego liceum stanowili przedwojenni profesorowie. Jednym z nich był pan Mitera – zwany Hefajstosem, bo był kulawy – który uczył nas śpiewu. Wyobraźcie sobie, że w 1966

roku, kiedy w Polsce u władzy był słynny towarzysz „Wiesław”,
uczylimy się takiej oto pieśni:

*Witaj, majowa jutrzeńko
Świeć naszej polskiej krainie
Uczymy ciebie piosenką
Która w całej Polsce słynie
Witaj maj, trzeci maj
U Polaków błogi raj*

Fragment pieśni *Witaj, majowa jutrzeńko*
Tekst: Rajnold Suchodolski

Temat Konstytucji 3 maja był wtedy absolutnie zakazany. Mitera mógł za to pójść do więzienia. Ale nie bał się i przemycał nam na lekcjach wiele takich pozasystemowych atrakcji, a myśmy to chłonęli jak gąbka.

Z polskiego pamiętam profesora Kazimierza Wirę. Widać było, że jest stworzony do wyższych rzeczy niż bycie nauczycielem w Chrzanowie. Gdy tylko mógł, wyjeżdżał na weekendy do Krakowa i w poniedziałki wyglądał bardzo marnie. Wszyscyśmy mówili: „O! Kaziu ma kaca”. Chętnie opowiadał, że był w teatrze, potem w restauracji, kogo widział itd. To nam strasznie imponowało. Dyrektorem szkoły był Juliusz Cora, który uczył nas geografii i astronomii. Wszyscy wiedzieli, że musiał dobrze żyć z władzami, ale był to człowiek wielkiej klasy, bardzo porządny i życzliwy dla uczniów. Bez problemu zwalniał z odpowiedzi każdego, kto przyszedł przed lekcją i się wytłumaczył. Powody były bardzo różne, bo wielu moich kolegów tak jak ja dojeżdżało z okolicznych miasteczek i wiosek. Jednemu uciekła krowa, innemu wyłączyli światło – było to bez znaczenia, usprawiedliwiał wszystkich. Geografia zazwyczaj wypadła jako ostatnia w planie i koledzy z

Libiąża, całkiem pokaźna grupa, spieszyli się na pociąg, bo następny mieli dopiero kilka godzin później – profesor Cora nie miał z tym żadnego problemu i puszczał ich wcześniej, żeby nie wracali do domu po nocy. I zostawała nas tam garstka.

Życie towarzyskie było wtedy nędzne, ale też nie miałem na nie czasu. Jednak w okolicach dziesiątej klasy zdecydowanie podrośłem, więc koledzy zaczęli zwracać na mnie uwagę. Szczególnie po tym, jak pokazałem im zdjęcia Mikołaja, który na juwenaliach siedział na koniu w jakimś przebraniu, i powiedziałem, że ja też będę aktorem, tak jak mój brat. W oczach kolegów stałem się wreszcie pełnoprawnym uczniem. Gdy niektórzy zaczęli chadzać po lekcjach na piwo, czasami z nimi szedłem tylko dlatego, żeby nie wyjść na palanta, który nie lubi piwa. Nie smakowało mi jednak i do dziś nie jestem jego amatorem.

Ze dwa razy może byłem na wagarach. Raz pojechałem do Mikołaja do szkoły teatralnej, a innym razem w kilka osób poszliśmy do mieszkania koleżanki i słuchaliśmy płyt, głównie Beatlesów z piosenką *Ob-La-Di, Ob-La-Da*. Zrobiliśmy potem własną przeróbkę tej pieśni. Mieliśmy w klasie kolegę Janka Wocha, który był bardzo duży i silny. Nie przeszkadzało nam to, żeby na przerwach biegać za nim całą grupą i śpiewać: „Od lady do lady chodzi Wochu blady” – na melodię Beatlesów rzecz jasna. Było to głupie i pewnie przykre dla Janka, bo ani razu nie przyjechał na nasze spotkania klasowe.

W liceum nauczyłem się też metaloplastyki, bardzo „praktycznego” zajęcia. Raz w roku na zajęciach technicznych robiliśmy popielniczki. Najpierw wycinało się okrąg z blachy, a potem napażowało w niego kulą stalową, aż pojawiło się wgłębienie. Jeszcze kilka fikuśnych wygięć blachy i popielniczka

była gotowa. Sprawdzaliśmy potem w ukryciu, szpanując przed dziewczynami, jej zastosowanie. Pamiętam też zwariowaną wycieczkę do Warszawy. Całą klasą jechaliśmy nocnym pociągiem i w pewnym momencie ktoś wymyślił zawody w jak najdłuższym całowaniu. Bardzo chętnie obcałowywałem swoje koleżanki, aż drętwiały nam wargi! Cała ta Warszawa nie była wtedy tak ważna jak dotykanie koleżanek, przytulanie, całowanie, trzymanie za rękę. Wspaniałe chwile. Ale i tak w żadnej koleżance z liceum się nie zakochałem, bardziej mnie interesowały dziewczyny z Alwerni.

Pod koniec liceum zaprzyjaźniłem się z Antkiem Liszką, który chodził do równoległej klasy. Dzięki niemu zostałem harcerzem i razem jeździliśmy na obozy. To była dla nas fantastyczna przygoda, ale też nie lada wyzwanie. Jechaliśmy specjalnie wynajętym pociągiem na Mazury do miejscowości Stare Kiejkuty, czyli tam, gdzie jakiś czas temu rzekomo przebywali talibowie. Nad jeziorem, gdzie nie było kompletnie żadnej infrastruktury wypoczynkowej, stawialiśmy obóz od podstaw. Na początek braliśmy się za dziesięcioosobowe namioty, które trzeba było rozłożyć, okopać, a później budowaliśmy prowizoryczne łóżka. Braliśmy kołki z lasu, obijaliśmy deskami, przeplataliśmy sznurkiem i stelaż gotowy. O materacach nikt z nas wtedy nie słyszał, więc żeby nie spać na gołej glebie, braliśmy słomę od chłopów, robiliśmy sienniki, na nie kładliśmy koce i mieliśmy łóżko jak marzenie! Bardzo mnie wzruszały gawędy przy ognisku, śpiewy i chwila, gdy wszyscy, lekko już zmęczeni, ustawiali się w krąg i śpiewali: „Ogniska już dogasa blask”. Czuło się w tym ducha wspólnoty. To jedna z tych sytuacji, do których tęskni się przez całe dorosłe życie.

Antek był zawsze bardzo zaangażowanym działaczem, został też radnym w Chrzanowie. Przez długie lata organizowaliśmy wspólnie wigilie dla bezdomnych. On załatwiał wszystko z

restauratorami, a ja przyjeżdżałem jako gość honorowy i starałem się umilać ludziom czas. I znowu duch wspólnoty unosił się w powietrzu – jak dawniej.

Antek już, niestety, nie żyje. Kto jeszcze kurde żyje? Ja żyję. Antkowi zawdzięczam też zegarek z napisem „Zasłużony dla ziemi chrzanowskiej”. I kiedy się zastanawiam, za co jestem taki zasłużony, to myślę, że chyba najbardziej za to, że się tam urodziłem 15 marca 1952 roku. Chociaż murów tego szpitala, w którym przyszedłem na świat, już dawno nie ma.

ALKOHOL MA DOBRE, ALE TEŻ ZŁE STRONY

Jerzy (Robert Więckiewicz): Przyszło mi do głowy, żeby nie pić.

Doktor Granada (Andrzej Grabowski): Tak? A jak długo? Miesiąc? Rok?

Jerzy (Robert Więckiewicz): Przyszło mi do głowy, żeby nie pić w ogóle.

Doktor Granada (Andrzej Grabowski): Nie muszę panu mówić, gdzie pan skończy, bo pan już tam jest.

Dialog z filmu *Pod Mocnym Aniołem* Wojtka Smarzowskiego

Niezwykłe inteligentny i dowcipny, szybko zwrócił moją uwagę. Miał w sobie jakiś magnes, dzięki któremu chciało się z nim przebywać – bez względu na to, czy było się kobietą, czy mężczyzną. Każdy łaknął słuchać jego opowieści. Nigdy nie było wiadomo, czy to projekcja wyobraźni, wstęp do książki, czy autentyczna historia wzięta z jego barwnego życia. Jeszcze na studiach poznał nas ze sobą wspólny przyjaciel Rudek Zioło, który podobnie jak on studiował w Krakowie polonistykę. W dużym mieszkaniu Rudka często spotykali się fajni ludzie. Mieliśmy z Jerzym Pilchem wspólne zainteresowania, jak papierosy i kobiety, tudzież wódeczkę, a nawet sztukę. Szybko się polubiliśmy. Kraków ma to do siebie, że wystarczy przejść przez Rynek i zawsze się na kogoś wpadnie. I tak potykaliśmy się o siebie z wielką serdecznością.

Zadzwonił do mnie po wydaniu książki *Spis cudzołożnic*: „Andrzej, robisz monodramy. Może byś na podstawie mojej książki zrobił?”. Zakupiłem więc to, co należało zakupić przed wizytą u Jurka – bo przecież przez telefon nie ma co gadać o takiej sprawie – i wpadłem do niego. Jurek pokazał mi książkę, ale od razu odłożył ją na bok, tłumacząc, że jak przyjdzie Bronek Maj, to wszystko nam opowie. Bronek przyszedł, ale czy Jurek przedstawił jakąś koncepcję, tego już nie pamiętam. Następnego dnia obudziłem się na jakiejś otomance, a Jurek głęboko chrapał w pokoju obok. Książki dla mnie nie było, bo zabrał ją Bronek i sobie poszedł. Monodram ostatecznie nie powstał, ale temat nie umarł. Jurek Stuhr, mój kolega ze studiów, zrobił na jej podstawie genialny film.

Z czasem moja znajomość z Pilchem przerodziła się w przyjaźń, ale po przeprowadzce do Warszawy rzadko się spotykaliśmy. Kiedy widziałem więc połączenie na ekranie telefonu „Jurek Pilch”, robiło mi się po ludzku przyjemnie.

Miałem 48 lat, gdy ukazała się powieść *Pod Mocnym Aniołem*. Przeczytałem ją jednym tchem. Jak ostrzeżenie. Wiele wątków było mi bliskich, chociaż wolałbym, żeby pozostały dalekie. Znalazłem w niej też szereg drobiazgów z mojego życia, które Jurek potrafił zapamiętać, a następnie przesznuł do książki. Na przykład taki: gdy nasza koleżanka w stanie wojennym nie mogła dostać paszportu, a bardzo chciała pojechać do męża w Szwecji, poradziłem jej, żeby oznajmiła esbekom, że „jak nie wyjedzie, to się tutaj skurwi”. W książce do Jurusia przychodzi dwóch facetów z młodą poetką Albertą Lulaj. Żądają, by opublikował w „Tygodniku Powszechnym” wiersze poetki, żeby mógł je przeczytać papież. Jeśli tego nie zrobi, Alberta Lulaj „w poczuciu krzywdzącego niespełnienia gotowa popaść w kurestwo”. Szantaż

idealny! Choć jego archetyp, zaczerpnięty z naszych rozmów, był tylko żartem.



Pod Mocnym Aniołem – zdjęcie z planu. Rok 2013

Książka Jurka nie dawała mi spokoju. Mimo że to nie fabuła, przeciwnie – jest pełna refleksji, dygresji, filozofii – chodził mi po głowie pomysł na film. Pewnego wieczoru spotkałem się z przyjacielem, producentem filmowym Jackiem Rzehakiem. W moim mieszkaniu przy ulicy Łuckiej w Warszawie, w iście krakowskiej atmosferze, jedząc placki ziemniaczane, zwierzyłem się ze swojego pomysłu. Jacek zareagował błyskawicznie: „Dzwoń do Jurka i zapytaj, czy da nam prawa. A może scenariusz napisze?” Zadzwoniłem. Okazało się, że Pilch już sprzedał prawa do ekranizacji, ale nic w tej sprawie się nie dzieje, a termin umowy upłynie za kilka miesięcy. „Jeśli w tym czasie nic się nie wydarzy,

to już ci mówię, że prawa ode mnie dostaniecie, zwłaszcza że ty, Andrzej, maczasz w tym swoje palce” – podsumował Jurek. No więc zaczęliśmy z Jackiem knuć. Wziąłem kartkę i na stole w kuchni powstawała pierwsza obsada filmu. Akcja miała mieć miejsce w Krakowie, bo wiadomo, Jurek, knajpa, odwyk w Kobierzynie itd. „Zaangażowaliśmy” pół Krakowa, rozmawiając w sumie o futrze, które jeszcze lśniło na niedźwiedziu. W roli głównego bohatera obsadziliśmy mnie – wtedy mogłem jeszcze unieść tę rolę ze względu na wiek. Co do scenariusza, Jurek odmówił pisania kategorycznie. Powiedział, że nie wiedziałby, co wyrzucić, bo dla niego wszystko w tej książce jest jednakowo ważne. I tak, na zastanawianiu się nad twórcą scenariusza i reżyserem, sprawa stanęła w miejscu na dobre kilka lat. Ja byłem ciągle zajęty, więc wszystkim zajmował się Jacek. W międzyczasie nagrałem audiobooka *Pod Mocnym Aniołem*. Pilch odsłuchał go, po czym zadzwonił i powiedział: „Andrzej, to już nie jest moja powieść. Teraz to twoja powieść!”

Dobre wieści przyszły w końcu od Jacka Rzehaka. Zadzwonił z informacją, że Wojtek Smarzowski jest zainteresowany ekranizacją. Odparłem, że to fantastycznie, bo z jego pozycją jako reżysera łatwiej będzie zdobyć pieniądze na film. Wojtka jeszcze wtedy nie znałem, nie mieliśmy dotąd okazji razem pracować. Często reżyserzy kina autorskiego skupiają wokół siebie grupę „swoich” aktorów. A wiedząc o tym, że gram od wielu lat w *Kiepskich* i robię kabarety, z automatu mnie skreślają. Smarzowski najpierw zaproponował mi minirólkę, pijanego postać w *Drogówce*. Rola bluzgana, ale fajna, dzięki niej mogliśmy się poznać.

Wkrótce rozpoczęły się zdjęcia do *Pod Mocnym Aniołem*. Żeby pokazać problem alkoholizmu, Smarzowski wymyślił koncepcję filmu, który składa się z trzech części. W pierwszej widz się lekko

uśmiecha – bo kto by się nie śmiał z pijaczka? – w drugiej czuje zażenowanie, a ostatnia część już naprawdę przeraża i dobija. W związku z tym, że od pomysłu na film do realizacji minęło kilkanaście lat, główna rola przypadła „Więcolowi”, który zagrał genialnie. Ja zagrałem dwie postaci. Doktora Swobodzickę z Wisły – lekarza z reminiscencji Jurusia – oraz doktora Granadę, lekarza z oddziału delirycznego, który wysłuchał w swoim życiu tysiące opowieści alkoholików.

Pilch tak ujął jego znajomość życia w rozmowie z Jurusiem:

„Oni choć teraz wierzą, że nie będą więcej pić, są święcie przekonani, że nie wypiją już w życiu ani jednego kieliszka, obiecują to sobie uczciwie. Nie sprostają, rzecz jasna, szpony nałogu prędzej czy później zacisną się wokół spragnionych gardeł, teraz, po odtruciu, są abstynentami, powiedzmy quasi-abstynentami, wiedzą niezbcie, że dobrze jest nie pić, i jak uchławszy się na nowo, nie umrą za pierwszym razem, to przynajmniej będą czas jakiś wspominać tę szpitalną czy nawet krótko poszpitalną trzeźwość. Będą się szamotać, będą się daremnie szamotać pomiędzy pić a niepić, ale przynajmniej ta ich daremna szamotanina będzie znakiem jakiegś przegranej, bo przegranej, ale walki, znakiem jakiegoś ruchu. Dostaną baty, ale wyjdą na boisko, a pan, panie J..., już nie wychodzi na boisko. Pan jest nieruchomy, pan zastygł w butelce jak owad w bursztynie. Pan jest całkowicie wewnętrznie wypalony. Zgliszcza są w panu i są to lodowate zgliszcza. Pożar doszczętnie zgaszony przez ulewne deszcze. Niby pan tu siedzi w moim gabinecie, niby pan coś mówi, można by nawet chwilami odnieść mylne wrażenie, że mówi pan do rzeczy, ma pan jeszcze na sobie szpitalną piżamę, ale pana tak naprawdę już tu nie ma, pan już elegancko odziany w wyjściowe ubranie siedzi na wysokim stołku, pan już pije, panie J. Pod koniec

tygodnia wyjdzie pan stąd w świetnej formie, napompowany witaminami, z jako tako uzupełnionym niedoborem magnezu, pokrzepiony substancjami krzepiącymi i ukojony środkami kojącymi, wyjdzie pan stąd na własnych nogach, bo postawiliśmy pana, już nie pamiętam który raz, na nogi, i gdzież pan skieruje swoje nieomyślne kroki? Czyż muszę pytać? Czyż muszę mój głos trudzić pytającą intonacją? Uda się pan czem prędzej do najbliższej gospody albo do najbliższego sklepu monopolowego.



Premiera filmu *Pod Mocnym Aniołem*. Multikino Złote Tarasy, Warszawa. Rok 2014. Od lewej: Julia Kijowska, Sławomir Zapala, Bartłomiej Topa, Wojtek Smarzowski, Robert Wabich, Henryk Gołębiowski, Andrzej Grabowski, Iza Kuna

Doktor Granada miał absolutną rację. Zawsze po wyjściu z oddziału deliryków kierowałem swe kroki do najbliższej gospody

albo do najbliższego sklepu monopolowego”

Aby absolutnie na trzeźwo zmierzyć się z tym trudnym tematem, przez cały czas kręcenia filmu Wojtek nie wypił grama alkoholu. Na to samo zdecydowała się też nasza ekipa. Jedynym wyjątkiem była scena, w której gram doktora Swobodzickę. Przed jej kręceniem Wojtek poprosił mnie, abym wypił ze dwie, trzy sety, dla wzmocnienia efektu. I rzeczywiście wyglądałam tam jak stary obleśny opój, który ciągle pali i nie odmawia kolejnego kieliszka w trakcie badania dziecka.

„Smarzol” pokazał, że proces leczenia z nałogu to „rozstania i powroty”, jak śpiewała kiedyś Kora. „Więcół” podczas kręcenia, żeby wejść w rolę, mówił o słabości i wrażliwości, o tym, że są ludzie, którzy nie zgadzają się na ten świat, a ponieważ nie potrafią sobie poradzić ze swoją niezgodą, ulegają i uciekają. Uważam, że to jeden z najlepszych filmów Wojtka. Na pewno jest taki dzięki prozie Jurka Pilcha, który odważnie odstąpił się przed czytelnikami. Nie przyszedł, niestety, na premierę, ale obejrzał film i napisał list do widzów. Na jego życzenie przeczytałem przed wyświetleniem obrazu.

Bracia i Siostry!

Z całego serca żałuję, że nie jestem z Wami. Gdybym był i oświadczył, że drzę, że dosłownie trzęsę się ze wzruszenia – brzmiałoby to prawdopodobnie, tym prawdopodobniej, że byłaby to prawda.

Lata całe utrzymywałem, iż fakt, że jakieś moje teksty są przysposabiane do filmu czy teatru, dowodzi, w jak tragicznym położeniu są film i teatr polski. Trwałem w tej nonszalancji do chwili, gdy przyszła groźna wiadomość: nadchodzi „Smarzol”. Ach, oczywiście дума – należę do wyznawców i wielbicieli tego

reżysera, mam o jego dziełach zdanie jak najwyższe. Duma, ale i strach. Strach, iż ten wielce przenikliwy artysta zdemaskuje mnie i usunie z literatury. Strach, iż wydobędzie na wierzch wszystkie felery mojej książki. Strach, iż jako pierwowzór upadłego pod względem fizjologicznym głównego bohatera wypadnę – powiedzmy – mało romantycznie. Obejrzałem film i poczułem natychmiastową ulgę, ciepło rozchodzące się po członkach, strachy pierzchły, ich miejsce zajęła brawura i poczucie wszechmocy. Zdumiewająco wierny istocie tekstu obraz jest wizją tak osobną, tak konsekwentną, tak dramatyczną, tak aluzyjną, iż powiedzieć, że jest to rzecz wybitna, to nic nie powiedzieć. Powiem tak: moja książka spokojnie sobie leży, a nawet stoi na półce z literaturą deliryczną. W kontekście wizji Wojtka Smarzewskiego klasyczne alkoholowe perły, z działu „deliryka” przeniesione zostały do działu „drapieżne komedyjki”.

Bracia i Siostry! Zdrowie Wojtka i jego ludzi! Z dumą wstępuję w te szeregi – tak jest, jestem człowiekiem Reżysera – moje przeto również, Bracia i Siostry, zdrowie!

Pozdrawiam Was z całego serca!

Warszawa, styczeń 2014

Jerzy Pilch

Im jestem starszy, tym bardziej przeraża mnie to, co alkohol zrobił z wieloma moimi przyjaciółmi. Dobrze, że ten film powstał.

Doktor Granada (Andrzej Grabowski): *Pan jest nieuleczalny.*

Jerzy (Robert Więckiewicz): *Nikt nie jest uleczalny, zwłaszcza zdrowi są nieuleczalni.*

Doktor Granada (Andrzej Grabowski): *Doceniam dowcip i inteligencję, ale pan, panie Jerzy, nie rokuje, nie ma w panu woli poprawy.*

Dialog z filmu *Pod Mocnym Aniołem* Wojtki Smarzowskiej



Dublerzy – kadr z filmu

DUBLERZY

MAKING OF

W 2003 roku w skromnym składzie aktorskim z Teatru Słowackiego przyjechaliśmy do Warszawy na tak zwane gastroli – gościnne występy. W Teatrze Małym wystawialiśmy kameralną sztukę *Na zachód od Shannon* irlandzkiego dramaturga Martina McDonagha. Po spektaklu na parkingu podszedł do mnie obcy mężczyzna i poprosił o chwilę uwagi. Był to Jacek Wielgopolan, który przedstawił się jako producent filmowy. Powiedział, że niebawem będzie kręcił komedię kryminalną i widziałby mnie w jednej z głównych ról. Żeby omówić szczegóły, zaprasza mnie na kolację pod Warszawą. Pomyślałem, że dobra kolacja po spektaklu, którą w dodatku ktoś poda, to świetny pomysł. Na moje pytanie o adres restauracji poprosił, żebym pojechał za nim.

40 kilometrów za Warszawą, jadąc wciąż za światłami czarnego BMW, zacząłem się niepokoić. Postanowiłem czytać na głos i zapamiętywać nazwy miejscowości, przez które przejeżdżamy. Kiedy wjechaliśmy w ciemny jak diabli wąwóz, lekko spanikowany zadzwoniłem do żony. Wyjaśniłem szybko, co się ze mną dzieje, podałem tych kilka nazw i na wszelki wypadek czule się pożegnałem. W końcu dojechaliśmy do pięknie oświetlonego pałacu we wsi Drwalew. Przy bramie pozdrowili nas ochroniarze. Wreszcie wysiadamy. Wchodzimy prosto na jakiś bankiet i szybko orientuję się, że wszyscy mówią po rosyjsku. „Nie wiem, czy

wyjadę stąd żywy – myślę sobie – ale kolację powinienem raczej zjeść”

Jacek przedstawia mnie różnym ludziom, najczęściej z cygarami w zębach. Wszyscy mnie znają, ja nie kojarzę nikogo. Zagadują o przyszłą produkcję Jacka, ale więcej uwagi poświęcają dobrej zabawie, w której niewątpliwie uczestniczą. Postanawiam, że zniknę po angielsku, wcześniej jednak racząc się naprawdę smaczными potrawami. Do hotelu w Warszawie przyjechałem z bardzo dziwnym uczuciem i poszedłem spać.

Po trzech dniach zadzwonił do mnie Jacek Wielgopolan z pytaniem, czy miałem udany wieczór, oraz informacją, że scenariusz i wszystkie warunki mojego udziału w jego produkcji mam już na mailu. „Mam nadzieję – do zobaczenia na planie filmu” – zakończył.



Plan filmu *Dublerzy*. Od lewej: Andrzej Grabowski, Zbigniew Zamachowski, Yacek Wielgopolan (producent), Marcin Ziębiński (reżyser), Robert Gonera. Rok

Film pod tytułem *Dublerzy* opowiada zabawną historię dwóch Polaków: Leona, którego gram ja, i Maxa – kreuje go Robert Gonera. Przypadek sprawia, że obaj pojawiajemy się na sycylijskim weselu, gdzie para młoda – w roli panny uroczą Kayah – ma połączyć dwie mafijne rodziny. Uroczystość kończy się jednak wielką strzelaniną zwaśnionych rodów, z której Leon i Max ledwo uchodzą z życiem. Później akcja przenosi się do warszawskiego hotelu, w którym pojawia się dwóch płatnych zabójców bardzo podobnych do Leona i Maxa – gramy ich również ja i Robert. Gangsterzy z pokoju hotelowego, w którym wykonują zlecenie, robią dosłownie ser szwajcarski, ale w końcu giną od policyjnych kul. Okazuje się, że byli oni bardzo cenni dla CBS, więc Leon i Max z racji podobieństwa do pary zastrzelonych kryminalistów zostają zaangażowani przez służby specjalne. Stają się dublerami płatnych morderców, a ich zadaniem jest zwabienie w pułapkę poszukiwanego przez służby włoskiego mafiosa.

Robiąc ze mnie gangstera, charakteryzatorka dokonała autentycznego cudu. Dokleiła mi na głowę wielką łyskę, dzięki której wyglądałem na totalnego łysola. Nos miałem zniekształcony przez specjalną nakładkę. Do tego czarna broda i wypchane wacikami policzki – wyglądałem jak rasowy morderca. Gdy przeglądałem się w lustrze, nie mogąc wyjść z podziwu dla tej przemiany, zobaczyłem w holu hotelowym Tadeusza Lampkę – producenta filmowego, z którym świetnie się znałem. Poprosiłem jednego z kolegów, żeby podszedł ze mną do Tadeusza i przedstawił mnie jako niemieckiego aktora. Lampka kulturalnie się przywitał i podał rękę. Nie poznał mnie! Później wkręciłem mojego brata Mikołaja. Pokazując mu swoje zdjęcie z planu *Dublerów*, powiedziałem: „Ten facet, jak się dowiedział, że jesteś

moim bratem, poprosił, żeby cię serdecznie pozdrowić. Podobno grał w sztuce, którą reżyserowałeś w Hamburgu”. Mikołaj ostrożnie podziękował i odrzekł, że nie kojarzy człowieka. Był pod wrażeniem, kiedy przyznałem się, że to byłem ja.

Ostatnie zdjęcia do filmu kręciliśmy na Sycylii. Zaraz po wylądowaniu producent zafundował wszystkim powitalny bankiet. Pracę mieliśmy zacząć o ósmej rano, więc kolacja zakończyła się bez większych szaleństw. O piątej rano zbudził mnie ktoś z ekipy filmowej, mówiąc, że jest zmiana w harmonogramie i zdjęcia rozpoczynamy wcześniej. Umyłem się szybko i popędziłem na plan. Lekko zaspany, zapatrzyłem się na dwie Włoszki w recepcji. Już miałem im odpowiedzieć *buongiorno*, kiedy nagle zauważyłem ich wystraszone miny oraz ręce uniesione w górę, po czym w mgnieniu oka runęła na mnie ogromna szyba! Były to drzwi hotelowe, które staranowałem z impetem. Huk! Tafla szkła, niestety, niehartowanego, rozbiła się i posypała na mnie niczym sto tasaków do mięsa. Cofnąłem się w szoku. Krew zaczęła tryskać, a ja zastanawiałem się tylko, co i z czego za moment mi odpadnie wskutek przecięcia. Pogotowie zawiozło mnie do miejscowego szpitala prosto na stół operacyjny. Zaczęło się zszywanie ręki w okolicach łokcia i nogi na udzie. Miałem też dużą ranę pomiędzy palcami dłoni. Twarz była poharatana i obłożona niewielkimi opatrunkami. Całe szczęście nos i uszy pozostały na swoich miejscach. Kiedy wychodziłem ze szpitala, zobaczyłem przez szybę, jak producent siedzi i płacze. W końcu podchodzi do mnie i pyta nieśmiało, czy dam radę zagrać. „Pewnie, że dam” – no bo co miałem odpowiedzieć?

Jeszcze tego samego dnia z ręką usztywnioną na temblaku, żeby nie zerwać szwów, przyszedłem na plan. Żeby ją zakryć, ubrano mnie w długi skórzany płaszcz. Dostałem też czapkę pilotkę oraz

stylowe okulary, by poukrywać zadrapania na głowie. Na ręce założono mi rękawiczki ze względu na ranę pomiędzy palcami. Spod płaszcza wystawał biały orzeł zdobiony czerwoną koszulkę. Wyglądałem oryginalnie i komicznie. Granie w takim rynsztunku było jednak niesamowicie upierdliwe. Zdjęcia kręciliśmy w miejscowości Trapani położonej nad przesmykiem pomiędzy Afryką a Sycylią, więc temperatura dawała mi w kość. Na szczęście był z nami lekarz, który co dwie godziny ściągał ze mnie całe ustrojstwo i zmieniał wszystkie opatrunki. To była iście krwawa i gangsterska przygoda, na planie i poza nim.



Dublerzy – zdjęcie z filmu

BANALNIE

Postanowiłem, że po maturze będę zdawał do Szkoły Teatralnej, nie z miłości do teatru, ale z upodobania do pięknych kobiet i fajnych facetów, którymi otaczał się mój brat Mikołaj. Drugim argumentem, nie mniej istotnym, było to, że na egzaminie do PWST nie było matematyki. Powiedziałem o tym Mikołajowi. Ucieszył się i dał mi teksty, których miałem się nauczyć na pamięć. Po paru tygodniach przesłuchał mnie i powiedział, że się nadaję. Przed egzaminami zaprosił mnie do akademika, żeby podszlifować moje umiejętności, akurat Marian Dziędziel, jego współlokator, wyjeżdżał i mogłem zająć jego łóżko.

Egzaminy zaczęły się od części praktycznej – według mnie najistotniejszej. Mikołaj w tym czasie zdawał egzaminy końcowe. Mieliśmy jeden wspólny garnitur, uszyty specjalnie na moją maturę, piękną, dwurzędową marynarkę z takim wcięciem w talii, jakie miał w swojej Marek Grechuta. Najpierw zdawał w niej egzaminy Mikołaj, a później ja. Elegancko ubrany, przypominający cherubinka, poszedłem mówić przed komisją teksty wybrane przez brata.

Pierwszy raz w życiu występowałem wtedy publicznie. Wcześniej uważałem to za totalny wstyd. Żebym ja mówił wiersz? Przy ludziach? A tutaj recytowałem fragmenty prozy Antona Czechowa, Tomasza Manna oraz wiersze Adama Mickiewicza. Mało tego, zaśpiewałem piosenkę *Zmarł na Pawiaku* Stanisława Grzesiuka. Musiało to chyba niezłe wypaść, bo na liście po egzaminie praktycznym moje nazwisko widniało w czołówce, za

Jurkiem Stuhrem i Wojtkiem Droszczyńskim – o ile dobrze pamiętam. Wpadłem w zachwyty, który trwał do egzaminu teoretycznego, na którym wyłożyłem się z kretesem. Zamiast pisać na temat, w którym byłem obcykany – czyli o Stanisławie Wyspiańskim, bo 1969 rok był Rokiem Wyspiańskiego – pisałem, „jaką rolę chciałbym zagrać i dlaczego”. Namówił mnie do tego Mikołaj, który dostał cynk, że na egzaminie ma być taki temat. Wpadł na genialny pomysł, że mi opowie, jaka jemu się marzy rola. Pół nocy w akademiku perorował, że chciałby zagrać Figara w *Weselu Figara* Pierre’a Beaumarchais’go. Ja, zielony, zupełnie nie wiedziałem, kto to jest Beaumarchais, co to jest *Wesele Figara*, a hasło „figaro” kojarzyłem z czymś kompletnie innym niż sztuka teatralna. Mikołaj jednak zapewnił, że wszystko mi napisze, a ja mam to wkuć na blachę. Tylko że ja nie chciałem zagrać żadnej roli. A dlaczego, to już w ogóle nie wiedziałem. Nie chciałem być aktorem, tylko studentem Szkoły Teatralnej, poznawać aktorki i pić wódkę z kolegami. Kreśliłem więc coś z poważną miną, pamiętając ledwie jakieś strzępy tego, co mi opowiadał Mikołaj. Niedawno miałem okazję przeczytać tę moją pracę. I zastanawiam się, czy nie wykorzystać jej jako monolog kabaretowy. Bo to było tak głupie, że tylko w kabarecie mogłoby się obronić. Oceniono mnie oczywiście na dwóję. Ale kiedy komisja otworzyła koperty i rozszyfrowała nazwiska, gdy zobaczyli, że to ja, czyli brat Mikołaja, który właśnie kończył szkołę jako wzorowy student, postawili mi trzy z minusem. Później miałem jeszcze egzamin z rosyjskiego, który poszedł mi beznadziejnie, i w rezultacie moje nazwisko nie znalazło się na liście przyjętych. Pamiętam, że kiedy zobaczyłem siebie pod kreską, doszedłem do wniosku, że gdybym dostał punkty za pochodzenie, które miały wtedy ogromne znaczenie, to na pewno by mnie przyjęli. Naprzeciwno Szkoły Teatralnej była

poczta główna. Poszedłem tam wściekły i wysłałem telegram do Mikołaja, który jako student uczelni artystycznej był właśnie na szkoleniu wojskowym dla oficerów politycznych w Łodzi. Treść była krótka: ODRZUCONY ZA POCHODZENIE! Mój brat natychmiast został wezwany przez komendanta, który zwietrzył w moim niewinnym komunikacie polityczną prowokację. Musiał się gęsto tłumaczyć z tego, że ma brata idiotę. Przed powrotem do domu wezwał mnie jeszcze rektor Eugeniusz Fulde i nakazał pisać podanie o miejsce rektorskie, co uczyniłem, ale w głębi duszy chciałem już zapomnieć o krakowskiej PWST.



Student Andrzej Grabowski. Przed egzaminami (z lewej) w roku 1969 i po ukończeniu Szkoły Teatralnej (z prawej) w roku 1974

Tymczasem w Alwerni firma Gazobudowa rozpoczęła gazyfikację i potrzebowała pracowników. Zgłosiłem się, bo co miałem do roboty? Znalazło się nas kilku i żeśmy kopali te rowy pod rurki.

Szybko mi się to zajęcie spodobało, bo zacząłem zarabiać więcej niż moi rodzice razem wzięci. A do tego codziennie wieczorem państwo, którym podłączali gaz, zapraszali na kolację. Na stół wjeżdżała kiełbasa na gorąco albo kaszanka, no i gorzała. Żyć nie umierać! Nikt się nie przejmował, że niepełnoletni – nikt nie pytał o wiek. Pracownik Gazobudowy? Trzeba mu polać! Pomyślałem wtedy, że już wcale nie chcę iść do tej Szkoły Teatralnej. Owszem, robotę miałem cholernie męczącą, ale kiedy człowiek ma ciężko pracować, jak nie w młodości? Pod koniec wakacji dokopywaliśmy się już do kuchni w klasztorze, kiedy przybiegł do mnie Mikołaj, wymachując telegramem z Krakowa. „Dostałeś się do szkoły!” – oznajmił z entuzjazmem. Fakt, że natychmiast palnąłem tym kilofem o glebę, ale taki do końca zadowolony nie byłem. Dziś mógłbym powiedzieć, że miałem do tego stosunek ambiwalentny. Wtedy tego słowa jeszcze nie znałem. Szkoda mi było sprośnych żartów z kolegami od łopaty i słoneczka przez cały dzień pracy.

Przyszedł październik i zaczęło się studiowanie. Ja znowu najmłodszy – niemal dziecko w porównaniu choćby z Jurkiem Stuhrem, który był jednocześnie na piątym roku polonistyki. Już wtedy występował w Teatrze STU i był właściwie prawie gotowym aktorem, co podkreślał Eugeniusz Fulde i szybko przeniósł go dwa lata wyżej. Fulde był już mocno starszym panem i znakomitym rzemieślnikiem. Często na zajęciach robił nam takie numery, że wyciągał z ust sztuczną szczękę, ściągał okulary, mierzwił zawsze ulizane włosy (a był prawie łysy) i tak, stojąc przed nami, z przejęciem wykładał: „Panowie studenci! Tylko technika zrobiła ze mnie aktora!” Po czym wkładał okulary, szczękę, czesał się do góry i znów był rektorem Fuldem.

Zamieszkałem w akademiku przy ulicy Warszawskiej 5. Początkowo dzieliłem pokój z pięcioma innymi kolegami, dopiero

pod koniec studiów dochrapałem się wygodnej dwójki. Budynek był własnością sióstr zakonnych z naprzeciwka. Zapewne dlatego oprócz nas, studentów szkół artystycznych, zamieszkiwali tam również seniorzy zwani rezydentami. Niejaka hrabina Madejska podkochiwała się w Mańku Dziędzielu. Bardzo jej się podobał! Dziś może trudno w to uwierzyć, ale Marian był kiedyś niezwykle ładnym chłopakiem. Słowo daję. Bez wątpienia najbarwniejszym rezydentem był pan Lupke – cudowny jegomość z innej epoki. Ponieważ był lwowiakiem, mówił w dość charakterystyczny sposób i „głos mu się lamal”. Mnie bardzo lubił, za to nienawidził Jurka Kryszaka, który mieszkał nad nim. Pewnego razu Kryszak postanowił podpalać gazety i rzucać je za okno. Czemu to robił? Nie wiadomo. Taki szczeniacki żart – ja bym sobie dzisiaj też tak rzucił. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności jedna z nich spadła na parapet naszego lwowiaka. Ten natychmiast narobił rabanu, myśląc, że to pożar, i wyleciał z pokoju w samych gaciach. Kiedy zrozumiał, że to tylko głupi żart Jurka, już mu nie odpuścił i zawsze na niego wołał „ten biały diabeł!”. Bo Kryszak zawsze wyglądał tak samo, z tym przedziałkiem na środku i blond włosami.

Pan Lupke, spotkany na korytarzu, o każdej porze dnia i nocy miał dla nas praktyczne rady okraszone anegdotami sprzed wojny. Obok niego mieszkał nasz kolega, który często przyprowadzał koleżanki. Raz Lupke dał mu taki życiowy wykład: „Panie pierdoliński! Jak pan tak pierdoli u siebie, proszę pana, to tak jakby pociąg, proszę pana – pierw osobowy, pośpieszny, a potem ekspres, proszę pana – przejeżdżał. U mnie meble taaaak chodzą po pokoju, proszę pana! Ja panu dobrze radzę, jak pan pierdoli, to trzeba na podłodze. Bo wtedy i dupa się nie ślizga i boleć ostro siedzi!”. Kolega za radę podziękował i wziął ją sobie do serca, z czego nie zawsze zadowolone były jego „muzy”. Ja koledze i jego

koleżankom mocno kibicowałem, bo bardziej od zajęć akademickich interesowało mnie życie towarzyskie. A że prawdopodobnie byłem dość miłym dzieckiem, bo inaczej tego nie mogę nazwać, toteż lubiany przez koleżanki, stałem się ich maskotką.

Zaprzyjaźniłem się szybko z dwoma kolegami – z Wojtkiem Droszczyńskim i Markiem Litewką. Wojtek dostawał co tydzień przekazem tak zwany gruby pieniądz. Szliśmy razem na Poczta Główną, a za chwilę do sklepu naprzeciwko. Kupowaliśmy, co trzeba, i szliśmy do restauracji. Braliśmy kulturalnie tylko po jednym piwie, a później dolewaliśmy to, co kupiliśmy wcześniej, i wychodziliśmy szczęśliwi. Dzięki legitymacji studenckiej miałem zapewnione wejście do nocnych lokali oraz automatyczne upoważnienie do nabywania towarów, których normalnie by mi nie sprzedano ze względu na młody wiek. No i się działo! Hulaj dusza, piekła nie ma! A Szkoła Teatralna... Cóż, trwała sobie gdzieś obok. Były sprawy ważniejsze. Na przykład klub Pod Jaszczurami, w którym się odbywały niesamowite *jam sessions*. Piękne wrażenia pozostawiał Zbyszek Seifert, skrzypek jazzowy, albo Janusz Muniak, saksofonista, uznawany później za pioniera free jazzu. Pamiętam Janusza Stefańskiego na perkusji, Jana Jarczyka przy fortepianie i wielu innych wybitnych muzyków, których mogliśmy słuchać i podziwiać na żywo. Muzyka i tańce trwały do białego rana, a wino Riesling, na myśl o którym dostaję teraz zgagi, lało się strumieniami. Dziś nie pochwalam tego sposobu na życie, ale tak się u mnie działo. Nie ma co udawać, że byłem pilnym i grzecznym studentem. Rozpuściłem się jak dziadowski bicz. Raz, kiedy noc się przedłużyła do rana, wchodziłem lekko zmarnowany do akademika. Spotkałem pana Lupkego, naszego nieocenionego doradcę od spraw wszelakich.

– Proszę pana, a gdzie pan był? Co pan taki kwaśny, panie Grabowski? – zlustrował mnie wzrokiem i zagaił pan Lupke.

– A bo u dentysty byłem.

– Proszę pana, ja przed wojną miałem dentystkę na placu Dominikańskim. Jak poszedłem, to jak usiadłem i borowała mi zęba, proszę pana, to ona mi tak kolanem po jajach! No więc ja ją panie za dupę wziąłem i na fotel! Zerznąłem, proszę pana, i do wojny miałem leczenie zębów za darmo.

– Dziękuję za sugestię. To ja się pójde położyć.

Wielkim świętem było dla mnie wejście do SPATiF-u przy placu Szczepańskim. Mogłem się tam dostać tylko wtedy, gdy wprowadził mnie aktor mający legitymację członkowską. To był elitarny klub dla artystów z przyzwoitą kuchnią, gdzie można było kupić kotleta mielonego z kapustą! Zaszczytem było zobaczyć biesiadujących przy stolikach aktorów: Mariana Cebulskiego, Wiktora Sadeckiego, Janka Nowickiego, Jurka Bińczyckiego, Edka Lubaszenkę – wtedy jeszcze młodych i podziwianych. Zanurzałem się w barwnych anegdotach zasłyszanych od starszych kolegów, którzy sypali nimi z rękawa. Tamten świat już się skończył i zdaję sobie sprawę, że gadam teraz jak stara menda, ale tak uważam. Później bywało, że w SPATiF-ie przesiadywałem codziennie. Wszyscy aktorzy schodzili się w jedno miejsce i rozmowom nie było końca. Tak rodziły się anegdoty, nie zawsze mające wiele wspólnego z prawdą, ale te spotkania były dla nas cholernie ważne. Nam się wydawało, że my, aktorzy, reżyserzy, twórcy, zmieniamy świat, że jesteśmy ludziom potrzebni i stanowimy sumienie narodu. Byliśmy zawieszani w jakiejś mgłę naszych wyobrażeń. Nikt się nie spieszył. A dzisiaj? Jakie ze mnie sumienie narodu? Wpadam do Krakowa, gram w *Chorym z urojenia* w Słowackim i rano zapieprzam do Warszawy na zdjęcia do filmu,

potem szybko się pakuję do samochodu, bo wieczorem mam stand-up w Szczecinie.

Już na pierwszym roku wraz z kolegami studentami zadebiutowałem w Teatrze Telewizji w sztuce *Polacy nie gęsi* Ludwika Hieronima Morstina. Co ciekawe, był to pierwszy spektakl Teatru Telewizji w Krakowie – studio dopiero co powstało i jak na tamte czasy było hipernowoczesne. Moja rola – i kolegów – polegała na posługiwaniu podczas bankietu, na którym bawił Mikołaj Rej, główny bohater dramatu. Spektakl był grany na żywo, dlatego musieliśmy się porządnie gimnastykować, nosząc na tacach pieczone kurczaki i prawdziwe piwo. Kilka kamer stało na różnych planach, a my czasami na czworaka zasuwaliliśmy pomiędzy kablami, żeby nie było nas widać. Po spektaklu aktorzy mieli wielką ochotę wypić to piwo i zjeść pachnące kurczaki, ale już nic nie zostało. Nasze sceny skończyły się wcześniej i było nas kilku, poza tym nikt nam nie powiedział, co mamy zrobić z tymi jednorazowymi rekwizytami po spektaklu. Awantura była straszna, że studenci Szkoły Teatralnej wypili aktorom piwo i zjedli kurczaki. Wówczas, w 1969 roku, były to rarytasy. Dziś za piwem nie przepadam, ale wtedy chwila przerwy od czegokolwiek na tak zwane małe piwko to był standard życia, często celebrowany. Oczywiście trzeba było mieć na tę przyjemność „gruby pieniądz”, dlatego szukaliśmy różnych możliwości dorobienia do skromnego kieszonkowego przywożonego z rodzinnych domów. Postanowiłem jeździć co jakiś czas do Łodzi na zdjęcia próbne, zwane dziś castingami. Maria Kaniewska robiła tam wtedy sporo filmów dla dzieci. Jednak zwykle po przyjeździe do Łodzi prosto z pociągu udawałem się do nocnego lokalu i następnego dnia nie prezentowałem się atrakcyjnie, robiłem z siebie raczej głupka niż poważnego kandydata do roli.



Spektakl dyplomowy *Uciekła mi przepióreczka*. Od lewej: Tomasz Poźniak, Marta Dudkiewicz, Andrzej Śleziak, Włodzimierz Chrenkoff, Zbigniew Waszkielewicz, Andrzej Grabowski, Ewa Nijaki

Raz najęliśmy się z kolegami do produkcji filmowej jako statyści. Powstawały wówczas *Noce i dnie* w reżyserii Jerzego Antczaka. Było to ogromne przedsięwzięcie z budżetem o wartości 130 milionów ówczesnych złotych, czyli około miliona dolarów. Sceny z naszym udziałem były kręcone na krakowskim Kazimierzu. Słynna żydowska dzielnica imitowała płonący Kaliniec, z którego uciekała Barbara Niechcic, główna bohaterka filmu. Aby oddać prawdziwy dramat pożogi wojennej, producenci potrzebowali kilku tysięcy statystów, koni i bryczek. Nie mając zielonego pojęcia, jak się jeździ konno, zgłosiłem się jako jeździec i, co się wiązało z rolą, również do opieki nad końmi. „Co to jest za problem?” – pomyślałem. Przecież siedzi się wygodnie w siodle, jak

w fotelu, z nogami w strzemionach. W rękach trzyma się wodze i jak ciągnie się w prawo, to koń jedzie w prawo, a jak w lewo, to skręca w lewo. Żadna filozofia.

Poszliśmy dziarsko na Wolę Justowską, gdzie była stajnia. Końmi zawiadywał niejaki pułkownik Kostek Szyłko, wąsaty jegomość, ostro klnący i wrzeszczący bez przerwy. Prawdopodobnie nie był żadnym pułkownikiem, ale tak mówili na niego kaskaderzy wyczyniający różne akrobacje na wierzchowcach, które miał pod opieką. Kiedy zobaczyłem w boksie konia, którego miałem osiodłać i przygotować do jazdy, nogi się pode mną ugięły. Bałem się podejść, a co dopiero wsiąść na to bydle! Ktoś mi jednak pomógł i po jakimś czasie wyjechałem wierzchem przed stajnię, odtwarzając sobie w pamięci filmy z Johnem Wayne'em, ukradkiem podglądane w Alwerni. Przed nami była długa droga, bo żeby dojechać na plan filmu, najpierw trzeba było przejechać przez wały na rzece Rudawie, potem mieliśmy pokonać w galopie całe Błonia i ostatecznie ulicami Krakowa, między tramwajami i samochodami, dojechać do dzielnicy Kazimierz. Ponieważ jeźdźców było mniej niż koni, niektórzy z nas prowadzili jeszcze drugą ręką tak zwanego luzaka. Pech chciał, że to właśnie mnie wręczono wodze konia bez jeźdźca. Ledwo ruszyliśmy, nie wiem, jak utrzymywałem równowagę, a ten luzak zaczął mi wiać galopem w jakieś buraki. Musiałem go puścić, bo w przeciwnym wypadku bym spadł. Nagle czuję uderzenie szpicruty na plecach i słyszę głos pułkownika: „Ty kurwo cesarska!” To było jedno z jego ulubionych powiedzonek. „Nie będziesz jechał na plan na koniu! Przecież ty ledwo na nim siedzisz!” Zdemaskowany, musiałem wrócić do stajni, gdzie wraz z kolegą Tomkiem Poźniakiem dostaliśmy bryczkę. Z ulgą na nią wsiadłem, chwyciłem lejce i pojechaliśmy. Przejeżdżając obok restauracji

Strzelnica, pomyśleliśmy z kolegą, że na jedno małe piwko to chyba mamy jeszcze czas. Przed knajpą zaparkowaliśmy beztrosko bryczkę i konie. Nagle do środka wpada zezłoszczony Szyłko z batem w ręku. „Wy pizdy cesarskie! Marsz na plan!” Chlastał nas tym batem, a my uciekaliśmy jak szczeniaki gonione za szaber w polu. Na planie musiałem już sobie jakoś radzić w siodle. Codziennie jeździłem, pytałem, obserwowałem kolegów i chcąc nie chcąc, nauczyłem się. Muszę przyznać, że pod koniec zdjęć już jako tako jeździłem konno. Później bardzo to polubiłem i niejedne wakacje spędzałem na obozach konnych.

Ta umiejętność nie pomagała jednak w zdawaniu egzaminów, które z semestru na semestr szły mi jak krew z nosa. A z drugiej strony jak miały iść? Zazwyczaj nie umiałem tekstów i gdyby nie zmuszał mnie do prób ktoś, z kim w parze robiłem scenkę, to pewnie przepadłbym już na początku szkoły. Dzięki reputacji Mikołaja byłem otoczony parasolem ochronnym, który wcale mi się nie przydawał, bo tylko asekurował moje hulaszcze życie. W konsekwencji trzeci rok kończę z dwoma pałami w indeksie z dwóch głównych przedmiotów – sceny ze sztuk klasycznych i sceny ze sztuk współczesnych. Musiałem powtarzać rok. Dziś wiem, że zostałem uwalony na własne życzenie. Najtrudniej było się przyznać rodzicom. Wstyd okropny. Mama – już wtedy na emeryturze – powiedziała z troską w głosie: „Synu, a myśmy myśleli, że ty już w przyszłym roku skończysz i pójdziesz na swoje”. Uświadomiłem sobie, że rodzicom było ciężko – jednak cały czas mnie utrzymywali.

Po wakacjach na dobitkę okazało się, że przez moje wybryki zostałem wyrzucony z akademika. Kolejny raz mój brat Mikołaj musiał ratować mi tyłek. Był już poważnym asystentem w Szkole Teatralnej, więc poręczył za mnie osobiście i mogłem dalej

mieszkać na ulicy Warszawskiej 5, pod jednym warunkiem – nie będę wychodził w nocy. Ale cóż było robić, kiedy przyjechał z Ameryki nasz przyjaciel Marian Jaskulski? Wróciłem tego dnia do akademika przepisowo, przed godziną dwudziestą drugą, ale usłyszałem, że na pierwszym piętrze trwa balanga. Wszedłem na pewniaka, czując się zaproszony, a koledzy od razu do mnie: „Andrzej, dobrze, że jesteś, grzej na melinę!” Fakt, że od początku studiów jako najmłodszy zawsze latałem w nocy po wódkę, doskonale więc znałem adresy wszystkich melin w okolicy. Ale tym razem mówię: „Nie mogę! Mam zakaz!” Ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby w tej sytuacji wyszedł przez okno. A że było to na pierwszym piętrze, to kolega ze Stanów wyjął piękny skórzany pasek, zapewnił, że jest bardzo mocny, że za oceanem to się takimi nawet mustangi zaciągało do stajni i że on mnie na nim spuści na dół. Sytuacja jak z filmów z Haroldem Lloydem – ja za oknem, stoję na gzymsie, kolega trzyma pasek, reszta nam kibicuje. Zawisłem wreszcie na pasku, ręce miałem wtedy silne i nagle: trzask! Pasek pękł jak stara sznurówka, a ja niczym bezwładny worek włamywaczy, sru, na ziemię! Gdyby nie amortyzacja blaszanej kłapy, kręgosłup miałbym do wymiany. Huk był jak jasna cholera! Wstałem natychmiast i widzę, że wychodzi portierka, więc jak gdyby nigdy nic wchodzę do akademika. „Panie Grabowski, czy pan może ma brata bliźniaka?” – zdążyła tylko wybełkotać. Poobijany poszedłem prosto do łazienki, żeby umyć zdarte ręce, i zobaczyłem tam pana Lupkego, któremu szklanka wyleciała z rąk i z trzaskiem rozbiła się na kawałki. „No, popatrz pan, panie Grabowski, jakie szklanki teraz robią! Przed wojną to były szklanki, proszę pana. Jak przyszedłem do sklepu, pytam się, czy są szklanki, subiekt mi pokazał szklanki, ja się pytam, czy one się nie tłuką, on, proszę pana, wziął tę szklankę, proszę pana,

pierdolnął o podłogę, proszę pana, szklanka kic, kic, kic, kic – a podłoga, proszę pana, lity marmur!?”



Thermidor – spektakl dyplomowy w reżyserii Jerzego Krasowskiego. Andrzej Grabowski (z lewej) i Jan Pęczek (z prawej). Kraków, 1974 r.

Ciekawe, jakie paski mieli przed wojną, pomyślałem.

Powtórka trzeciego roku, podobnie zresztą jak amerykański pasek, bardzo mnie otrzeźwiła. Zacząłem myśleć poważniej o życiu. A nuż jednak będę wykonywał ten zawód? Zabrałem się do roboty, co nie znaczy, że miałem parcie na bycie aktorem. Zresztą dzisiaj tego parcia też nie mam. Wzięli mnie ostro w obroty, za co jestem im wdzięczny, profesorowie: Jerzy Goliński i Jerzy Krasowski, czyli „dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi”, cytując klasyka. Goliński bardzo często powtarzał rzecz

nieślychanie istotną: jeżeli kochasz teatr, lepiej się zapisz do klubu miłośników teatru, a nie do Szkoły Teatralnej. Miłość do teatru nie spowoduje, że będziesz dobrym aktorem. Przytaczał przy tym anegdotę o słynnym malarzu Janie Styce. On to, jako pobożny człowiek, malował obrazy Chrystusa. Pewnego razu ukazał mu się Jezus i powiedział: „Styka, ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj dobrze”. Tak samo jest z aktorstwem.

Na czwartym roku przyszedł czas na przedstawienia dyplomowe. Wystawialiśmy *Uciekła mi przepióreczka* Stefana Żeromskiego. To była ostatnia sztuka, jaką reżyserował świętej pamięci Bronisław Dąbrowski, wieloletni dyrektor Teatru Słowackiego i rektor naszej Szkoły Teatralnej. Wielki reżyser, zasłużony dla polskiej kultury teatralnej, przez studentów nazywany pieszczotliwie „Bronio”. Staruszek ledwo słyszał i nie zawsze kojarzył. Oczywiście młodzi studenci natychmiast się w takich sprawach orientują i właściwie u „Bronia” można było wejść na scenę zamiast kogoś innego i grać, bo on i tak nie bardzo się zorientował. Nie jest to chluba, ale w młodości czasami się takie rzeczy wykorzystuje. Na jednej z prób do „przepióreczki” – odbywały się w kameralnej sali ze sceną w naszym akademiku – „Bronio” zaskoczył wszystkich świeżością umysłu. Ja grałem tam profesora Zabrzezińskiego, historyka sztuki, pewnie nie najlepiej. Natomiast profesora Wilkosza grał mój kolega Zbigniew Waszkiewicz, bardzo szczupły chłopak. Kiedy Dąbrowski zobaczył go na scenie, wrzasnął poruszony: „Co to ma być, panowie!? Przecież Wilkosz jest gruby!”. Od tej pory Zbyszek na próbach opatulął się poduchami i opinał pasiastym strojem więziennym – bo tylko taki znalazł w magazynie. „Broniowi” już wszystko pasowało, a myśmy mieli z tego powodu ubaw. Po próbach porywaliśmy „grubego”, wynosiliśmy z akademika, zostawialiśmy

200 metrów dalej pod kościołem i uciekaliśmy. On z nami próbował, ale nas było kilku i nie dawał rady. Potem w tym więziennym stroju musiał wracać. Boże drogi, jaka to głupota, ale jakże śmieszna wtedy dla nas. Drugim spektaklem w ramach dyplomu był *Thermidor* Stanisławy Przybyszewskiej w reżyserii Jerzego Krasowskiego. Przedstawiał ostatnie godziny życia Robespierre'a, w którego wcielił się Jurek Kryszak. Ja grałem Jeana-Lamberta Talliena, antagonistę Robespierre'a. Wyszło jako tako. Nic nadzwyczajnego.

Do dzisiaj mam przeświadczenie, może tylko ja, że reżyserzy, którzy przygotowywali nasze spektakle dyplomowe, traktowali je jak eksperymenty tego, nad czym potem będą pracować w prawdziwym teatrze. W mojej ocenie robili sztuki, które nie powinny być dyplomami. Powinni byli szukać takich, w których studenci mogliby się popisać. Nie ma sensu, żeby 23-latek grał starego doktora u Czechowa. Po co? Nikt go w takiej roli nie obsadzi od razu po studiach. Podczas dyplomu aktorów zazwyczaj oglądali jedynie profesorowie i koledzy z roku. Zawsze bili brawo i podśmiewywali się z krzywo przyklejonej brody – jak to kumple. Ale tak szczerze, to czym się miał popisać młody człowiek grający staruszką? Nieudolnością? Wtedy jednak się tym nie przejmowaliśmy. Sądziliśmy, że prawdziwy teatr zacznie się dopiero wtedy, kiedy skończymy Szkołę Teatralną. Wejdziemy do teatru i pokażemy, co to znaczy prawdziwe aktorstwo! Później rozeszliśmy się do teatrów, a nasi koledzy, których wcześniej ocenialiśmy nisko, okazali się sto razy lepsi od nas. I to oni byli naszymi mistrzami.

Kiedy dotarło do mnie, że już kończę Szkołę Teatralną, bardzo żałowałem. Studia to fajny okres w życiu. Student jest już na tyle dorosły, że może o sobie decydować bardziej niż wcześniej, a

jednocześnie na tyle młody, że ma głupie pomysły, które jeszcze może zrealizować, zrzucając odpowiedzialność na młody wiek. Pierwsza noc z dziewczyną, pierwsze koncerty jazzowe, pierwsze życiowe rozmowy do białego rana, pierwsze upicie się, pierwsze role teatralne, pierwsze konie. Dzisiaj pewnie brzmi to banalnie, ale wtedy te rzeczy zdawały mi się niezmiernie ważne. Mam za czym tęsknić, a moja sentymentalna dusza ma się czym karmić.

Banalnie

*Zaplątani w pajęczynę
Naszych zmarszczek, naszych lat
Nie skoczymy już na piwo
Nie pójdziemy już pod wiatr
Zachwyciły nas banały
Za taniochę poszedł sens
Tak w nas wszystko posiwiało
Że aż wierzyć nie chce się*

*A przecież tyle jeszcze marzeń niespełnionych
Tyle rozmów kiedyś przerwanych
Tylu ludzi nieodwiedzonych
Tyle listów nieodpisanych*

*Już nie dla nas puste kino
I ciemności kusy płaszc
Już nie dla nas tanie wino
Choć pamiętasz jego smak
Już nas nie ma na peronach
Pod plecakiem zgiętych w pół*

Już nie śpiewa się w wagonach: „Pitagoras, bądźże zdrów!”

Gdzie ci chłopcy i dziewczęta?

Gdzie ta rzeka, gdzie ten las?

Jakieś niby-zaręczyny

Mój ty Boże! Gdzie ten czas?

Już nas tu właściwie nie ma

Nawet zdjęcia przykrył kurz

Tylko ten banalny temat

Kilka nut i parę słów

A przecież tyle jeszcze kwiatów do zerwania

Tyle tańców do przetańczenia

Tyle książek do przeczytania

Tyle żagli do postawienia...

Piosenka z płyty Andrzeja Grabowskiego Mam prawo... czasami... banalnie

Słowa: Krzysztof Nowak

STOJĘ PRZY MIKROFONIE, NIECH MNIE KTÓRY PRZEGONI!

Dawno temu w krakowskiej Szkole Teatralnej wśród studentów, którzy dorabiali sobie różnymi chałturkami, krążyła satyryczna góralska opowiastka o tym, jak to straż pożarna jechała gasić pożar u Kurasiowej. Nazywaliśmy ją *Poli się*. A leciało to tak:

Ludzie! Ludzie! Poli się!

Kaśka, ka są kluce od remizy?

A ka kruca zech mając byc kluce, jak se dzieciska klucami bawiły i pewnie je potopiyły we studni.

No to my do bramy! I siłom! A jak my tak, to brama tak, a jak brama tak, to my tak!

Nareście my brame wywolili, do becki sie dostali, ruły założyli do śłańfow, śłańfy do pompow, pompy do becki, wzięli se jescze dwie nagie sikawecki, co my je od Niemca na zawodach strazackich dostali, no i jadymy gasić!

*Przyjechali my na miejsce, a chałupa Kurasiowej, no poli się!!!
Jak jasny pieron.*

Fragment monologu
Tekst: Stanisław Bańka

Różne przygody przy tym były, a chałupa Kurasiowej dzięki bojowej postawie strażaków, którzy starali się, jak mogli, i tak się „galanta spaliła”. Ten monolog mówiło wielu moich starszych

kolegów. Pamiętam Jurka Kryszaka, Jurka Trełę, mojego brata i zawsze ten tekst, recytowany również podczas spotkań towarzyskich, wywoływał dużo radości. Oprócz słynnego *Poli się* na chałturach królowały też tak zwane *Nalepioki* – stylizowane na góralską gwarę monologi o ojcu i jego trzech leniwych synach. Podczas studiów obskakiwaliśmy z tego rodzaju monologami, za całkiem przyzwoite pieniądze, najróżniejsze akademie „ku czci”. Dla porównania – gdy od rodziców dostawałem na miesiąc 900 złotych kieszonkowego, to za jeden wieczór chałturniczy potrafiłem wyciągnąć nawet 200 złotych. Gra warta świeczki! Poza tym spodobało mi się to. Odkryłem, że stawanie przed publicznością, mówienie, łapanie z nią kontaktu wcale mnie nie stresuje. Z czasem nauczyłem się nawet rozmawiać z publicznością w trakcie występu. Na dodatek były to doskonałe lekcje praktyczne obok zajęć w Szkole Teatralnej.

Gdzieś na tych chałturach musiał mnie wypatrzeć Janusz Rewiński, który był w szkole rok wyżej ode mnie. Zaproponował, żebym się przyłączył do jego kabaretu o wdzięcznej nazwie FIUT. Taką nazwę wypadało oczywiście szybko wytłumaczyć widzowi. Janusz czynił to w przezabawnym monologu w sposób następujący: *Fiut to jest skrót od moich zainteresowań: film i uwentualnie telewizja.*

Występowaliśmy regularnie w klubie Pod Jaszczurami. Najczęściej mówiłem monolog *Poli się*, czasem używając rekwizytów. Raz nawet podjąłem próbę napisania własnego tekstu, niestety, był niedobry. Może dlatego, że opierał się na tym samym wzorze co *Poli się*, ale nikogo nie śmieszył, więc nie stał się hitem kabaretowym. Żeby urozmaicić nieco moją rolę we Fiucie, a byłem jeszcze wtedy ładnym 18-latką z burzą włosów na głowie, przebierałem się za niejaką Żorzetę, klasyczną „babę” z

dmuchanymi balonami pod sukienką. W trakcie występu te nadmuchane balony mi przekłuwano i była kupa śmiechu. Publiczność kochała ten numer. Uwielbiała też, kiedy śpiewały nasze piękne, młode i zdolne koleżanki Krysia Tkacz i Renata Kretówna. Fiut nie przetrwał jednak próby czasu i okazał się efemerydą. Wszyscy pokończyli studia, wyjechali albo zajęli się pracą w teatrze, a na przyjaznej kabaretom scenie klubu Pod Jaszczurami wygłupiali się już inni studenci z krakowskich uczelni. W ten sposób moją przygodę z kabaretem uznałem za zakończoną, choć od czasu do czasu mówiłem gdzieś *Poli się*, bo rozeszła się wieść, że robię to dość zabawnie. Aż nadszedł 1986 rok i premiera *Scenariusza dla trzech aktorów* w Teatrze STU.



Jerzy Skoczylas i Andrzej Grabowski. Opole 2002

Zainteresował się mną wtedy Krzysiek Piasecki i zaproponował wspólne występy kabaretowe w legendarnym krakowskim klubie Feniks. Były tam dwie sale – dancinowa (ze striptizem!) i widowiskowa. Ich klimat został utrwalony w filmie *Wodzirej*, były tam kręcone niektóre sceny. Zgodnie z planem Krzyśka miałem z nim wchodzić w satyryczny dialog, który wcześniej napisał, ale też – niestety – czasami zaśpiewać piosenkę. Śpiewanie było w tym wszystkim najgorsze, bo muzycy z jakiegoś powodu się na mnie uwzięli i za wszelką cenę chcieli mi udowodnić, że nie potrafię śpiewać. Wychodziło im to z łatwością, bo wystarczyło, że w trakcie piosenki zmieniali jej rytm, i wtedy byłem bez szans. Na szczęście tę wokalną klęskę zakrywałem urokiem osobistym i dowcipami. Pomimo szczerego zaangażowania kabaret Piaseckiego i mój nie zachwycił publiczności w Feniksie i zaledwie po kilku występach nam podziękowano. Wtedy Krzysiek wymyślił, że trzeba jechać z tym programem w Polskę. Byłem sceptycznie do tego nastawiony, ale ostatecznie dałem się namówić, i dzięki temu zetknąłem się ze znakomitym wrocławskim kabaretem Elita. Nawet zrobiliśmy wspólnie kilka programów, które pokazywała telewizja, co też miało wpływ na moją rosnącą rozpoznawalność.

Kiedy w 1999 roku zacząłem grać Ferdka Kiepskiego, stała się rzecz dziwna. Mianowicie główny bohater – facet, na którym oparty jest program, czyli Krzysiek Piasecki – nagle zaczął schodzić na drugi plan. No bo wchodził Ferdek. A Ferdek to wtedy był już gość, który bawił miliony widzów Polsatu. Nasze występy w tej sytuacji przestały mieć sens i się wycofałem.

Co jakiś czas dostawałem jednak telefony z zaproszeniami do różnych miejsc w Polsce. Długo odmawiałem, zajęty teatrem, filmami i serialem. Poza tym nie miałem żadnego programu kabaretowego, a coraz większa popularność serialu *Świat według*

Kiepskich nie była wystarczającym powodem do godzinnego występu przed publicznością. Jednak jestem też facetem, który niespecjalnie potrafi odmawiać i jak się mnie bardzo namawia, to w końcu się angażuję. Któregoś dnia zadzwonili do mnie z Myślenic i intensywnie nakłaniali na występ kabaretowy. Myślenice, w sumie rzut beretem od Krakowa. Złamałem się. Pomyślałem, że skoro jest zapotrzebowanie, to może spróbuję zebrać jakąś ekipę i ułożę program, w którymś coś powiem, ktoś zaśpiewa i jakoś to będzie. Zaprosiłem do współpracy Kasię Aleksandrowicz, z którą wcześniej przygotowałem dialogi Piaseckiego, odświeżyłem monolog *Poli się* i poprosiłem Iwonę Konieczkowską o zaśpiewanie kilku piosenek. Pozostały czas wypełniłem konkursem wiedzy o *Kiepskich* – prosty quiz, w którym zwycięzca otrzymywał puszkę piwa Mocny Full. Ludzie mieli ubaw po pachy. Czasami coś mnie korciło i przełamywałem tę moją śmieszkowatość podczas występów kabaretowych. Chciałem odskoczyć od Ferdka. Wtedy, ku zaskoczeniu publiczności, śpiewałem balladę, którą podsunęła mi przyjaciółka Hania Banaszak. *Koniec dnia* – przejmujący romans Borysa Fomina, do którego polskie słowa napisał Jonasz Kofta. Moje wykonanie jest na YouTube – posłuchajcie.

Koniec dnia

*Koniec dnia czerwonym pachnie winem
Szkarałat ciemny przelewa się w czerní
Czy owioniesz mnie znów białym dymem
Niewidzialna wtopiona we mgłę*

*Tylko raz czujemy wielkość nieba
Wtedy trzeba zastygnąć i trwać*

*Jestem sam, Ciebie już przy mnie nie ma
Gdy wszystko chcę Ci dać*

*Koniec dnia czerwonym pachnie winem
Ćma sfrunęła trzepotem twych rzęs
Ty minęłaś, ja też kiedyś minę
I tak wszystko straciło już sens*

*Tylko raz czujemy wielkość nieba
Wtedy trzeba zastygnąć i trwać
Jestem sam, Ciebie już przy mnie nie ma
Gdy wszystko chcę Ci dać*

Słowa: Jonasz Kofta

Objechaliśmy z Iwoną i Kasią pół Polski, ale coraz częściej organizatorzy scen kabaretowych prosili mnie o program indywidualny. Czemu by nie spróbować, pomyślałem. Przez jakiś czas woziłem ze sobą strój górala, ale bardzo szybko z niego zrezygnowałem. Zrozumiałem, że mogę po prostu stać w garniturze przed mikrofonem i mówić – właściwie to w tej roli czuję się najlepiej. Tak zostałem standuperem, chociaż wówczas ta nazwa jeszcze u nas nie funkcjonowała. Inny był też język i styl monologów.

Zacząłem od tekstów Leona Wyrwicza, przedwojennego i powojennego aktora krakowskiego, którego dziś z pewnością nazwano by standuperem, ale on z charakterystycznym lwowskim akcentem mówił o sobie, że jest monologistą.

*Na czym polegał dar Wyrwicza trafiania do każdej publiczności?
Jednym mrugnięciem, ruchem warg, zmianą barwy głosu
przywoływał swoich bohaterów – kolejarzy, wojskowych,*

uciekinierów z linii frontu, c.k. biurokratów, cwaniaków, skłopotanych straganiarzy. Stał nieruchomo, rzadko pozwalając sobie na gestykulację, lecz słuchaczom wydawało się, że stworzone przez niego postacie są obecne na scenie.

Fragm. artykułu Ryszarda Marka Grońskiego pt. *Przedwojenni stand up komedianci*
„Polityka”, 1 czerwca 2012

O monologach Wyrwicza dowiedziałem się od mojego nieżyjącego już kolegi Mariana Cebulskiego. Puścił mi kiedyś na taśmie magnetofonowej jego nagrania zarejestrowane przez Polskie Radio w latach 50. To było tak strasznie śmieszne, że od razu zacząłem powtarzać za Wyrwiczem. Później udało mi się nawet zdobyć teksty Wyrwicza zapisane jeszcze na starej maszynie do pisania, która w cienkim papierze pozostawiła dziury, na przykład w miejscach litery „o”. Byłem zachwycony i natychmiast włączyłem je do swojego repertuaru. Dziś rzadko je mówię, bo mam sporo nowych tekstów poruszających bardziej aktualne tematy, jak choćby monolog o wyjeździe do SPA, który dostałem od Roberta Górskiego, i sztandarowy w ostatnim czasie monolog o „jednej małej wódeczce, która jeszcze nigdy, jak wiadomo, nikomu nie zaszkodziła”. Co ciekawe, *Jedną małą wódeczkę* i kilka innych tekstów dostałem od człowieka, którego nigdy w życiu nie widziałem na oczy – emerytowanego lekarza Stefana Porzucka. Któregoś dnia dostałem od niego maila, nawet nie zajrzałem, potem drugiego, okej, przeczytałem i doszedłem do wniosku, że kiedy dodam do nich troszkę siebie, wyjdzie z tego zabawna historia. Przygotowując się do kolejnych występów, starałem się tak wybierać monologi, by tworzyły jednorodną całość, opowieść o niby-własnych przygodach. W konsekwencji powstał „program”, choć nie lubię tego określenia, nawet na dwie godziny.

Okiełznać publiczność, gdy stoi się samemu w garniturze przy mikrofonie – to bardzo trudne wyzwanie. Bez partnera, bez pianisty, bez rekwizytów. Kiedy się schrzani występ, to nie ma na kogo zwalić. Z drugiej strony wielkie kabaretony, jak w Mrągowie, Płocku czy Koszalinie, dają ogromne poczucie siły. To ja tu dyryguję, „stoję przy mikrofonie, niech mnie który przegoni!” Patrę na twarze widzów, niekiedy nawiązuję dialog – jak widzę, że ktoś wcina kiełbaskę z papierowej tacki, to mówię mu „smacznego”. A jak mi ktoś przeszkadza, to rzucam: „Chyba tam na końcu słabo mnie słyszeć?”. Bywa, że ktoś, zazwyczaj podpity, krzyczy: „Chuj z tym!”. Raz odpowiedziałem na to: „Przepraszam, Chujstym to pana imię czy nazwisko?”. Widownia reaguje śmiechem, a ci rozpraszaćcy zostają „uziemieni” – to najskuteczniejsza metoda. Niektórzy mówią: tobie jest łatwo, przecież jesteś aktorem. A ja przez lata nauczyłem się tego, żeby do występów rozrywkowych nie mieszać za bardzo aktorstwa. W mojej opinii teatr i kabaret to dwie odmienne dziedziny. Kabareciarze, którzy nie mają teatralnego wykształcenia, są świetni, bo robią swoje skecze intuicyjnie i właśnie za to publiczność ich kocha. Aktor potrafi zagrać wszystko, ale w kabarecie niech nie próbuje za bardzo grać, bo publiczność wyczuje w tym nieszczerłość – tak to działa. Do dziś pamiętam opowieść mojego przyjaciela Janka Frycza – wspaniałego aktora przecież. Krzysiek Materna namówił go kiedyś, żeby powiedział jakiś monolog kabaretowy w Sopocie. Janek świetnie opanował tekst i pełen wiary w sukces wychodzi na scenę. Zaczyna mówić – cisza. Myśli sobie: za moment jest dowcip, to chyba się zaśmieją – cisza. Mija kolejnych pięć minut – cisza. Zszedł ze sceny – cisza, nic, żadnej reakcji. Po występie podchodzi do niego Krzysiek Materna i z otuchą w głosie podsumowuje: „Trudna publiczność”



Strajk – kadr z filmu. Rok 2005

STRAJK

MAKING OF

Niedawno robiłem porządki w swoim gabinecie i wpadł mi w ręce serdeczny list sprzed kilku lat od Volkera Schlöndorffa. Z tym zakochanym w Gdańsku niemieckim reżyserem, laureatem Oscara za adaptację *Blaszanego bębena*, miałem okazję pracować w 2005 roku na planie filmu *Strajk*.

Kiedy dostałem wiadomość, że spośród kilku pretendentów do roli Henryka Sobeckiego wybrano mnie, ogromnie się ucieszyłem. Zależało mi, żeby zagrać w filmie tak wybitnego reżysera, poza tym chciałem go poznać i podpatrzeć, jak pracuje. Wyprodukowany w koprodukcji niemiecko-polskiej film kręciliśmy w Gdańsku. Jego fabuła opowiada o narodzinach „Solidarności” w Stoczni Gdańskiej, a losy głównej bohaterki nawiązują do biografii Anny Walentynowicz. Moja postać była istotna, ponieważ grałem skurwysyna, aparatczyka i przewodniczącego rady zakładowej w Stoczni, z którym główna bohaterka ma nieślubne dziecko.

Często na planach filmowych jestem bardzo zaangażowany. Mam furę pomysłów. Podpowiadam reżyserom sceny i ujęcia, które w mojej ocenie mogłyby lepiej zamknąć jakiś wątek albo rzucić na bohatera inne światło. Wcześniej jednak staram się dać im do zrozumienia, żeby nie mieli problemu z pacyfikowaniem moich sugestii. Jak coś wam nie leży, nie słuchajcie i tyle. Ja się nie obrażę, bo znam swoje miejsce w szeregu. Bywa jednak, może

z uwagi na mój wiek albo wątpliwe zasługi, że młodzi reżyserzy boją się zwrócić mi uwagę, że to ich film i wiedzą, co robią. À propos, kiedyś w podobnej sprawie poskarżył mi się Marek Kondrat: „Andrzej, z tymi młodymi reżyserami nie da się pracować. Ja marzę o tym, żeby któryś się wkurzył i powiedział: »Panie Marku, do dupy pan to zagrałeś! Inaczej! Jeszcze raz!«. A oni tylko: »Panie Mareczku, brawo, świetnie, pan tylko powie słowo i już rola jest zajebista!«. Przecież tak się nie da! Jak tu się rozwijać?”

Schlöndorff był jednak bardzo cierpliwy i uważnie słuchał moich propozycji. Czasami kręcił głową od lewej do prawej, czasami kiwał nią z góry do dołu. Kiedy po raz kolejny nieśmiało podrzuciłem nowy pomysł, podszedł do mnie, pokreślił coś ołówkiem w scenariuszu i mówi: „Tak, to jest dobre, przestawiamy kamery i robimy”. W ten sposób spowodowałem, że nakręciliśmy dodatkową scenę filmu. Taką, której pierwotnie nie było w scenariuszu. Można sobie tylko wyobrazić, jak pękałem z dumy. Doprowadziło to do tego, że jeszcze bardziej zacząłem analizować scenariusz i następnego dnia wyskoczyłem z „jeszcze lepszym” pomysłem na zmianę scenariusza, mając oczywiście w rękawie trzy następne. Volker wysłuchał mnie, uśmiechnął się i powiedział: „Doskonały pomysł, świetna idea! Musimy tę scenę nakręcić koniecznie, Andrzej. Ale zrobimy to w kolejnym filmie”.

Następnego filmu jak dotąd nie udało nam się zrobić. Ale spotykamy się czasami i piszemy do siebie. Ostatni raz widzieliśmy się w smutnych okolicznościach, na pogrzebie Andrzeja Wajdy. Wzruszyło mnie, że przyjechał specjalnie z Berlina. Rzuciliśmy się sobie w objęcia i serdecznie porozmawialiśmy chwilę, wspominając pana Andrzeja.

CUDOWNE LATA

Rok 1978. Sygnał w słuchawce telefonu.

– Halo.

– Cześć, Mikołaj. Mam sprawę.

– Cześć, Andrzej! Wróciliście już z Sibiu? Opowiadaj!

– Z Tarnowa dzwonię. Wróciliśmy. Jest sprawa.

– Dobra. A skosztowałeś oliwek?

– Te zielone kulki? No masz! Pierwszy raz w życiu jadłem! A pieczoną baraninę z brązowymi paskami widziałeś kiedyś? To się nazywa „z grilla”. Pyszne! Ale słuchaj. Bo sprawa jest poważna.

– Chcą cię zaangażować w rumuńskim teatrze?

– Nie do końca. Słuchaj! W rumuńskich Karpatach podczas wystawnego bankietu dla naszej trupy Smożewski, który, sam wiesz, głos ma bardzo donośny, wygłosił do nas przemówienie. Lekko strofująco powiedział: „Pamiętajcie, jutro o dziesiątej próba”. Ale przy tym mówił, jakby krzyczał, i tak niefajnie groził palcem. Mnie się to nie spodobało, bo przecież ci sympatyczni Rumuni, nie znając polskiego, mogli pomyśleć, że on nas opieprza. I to w jakiś paskudny sposób! Kiedy skończył swoją operatywkę słowami: „Czy są pytania?”, tuż w moim organizmie nabrała już odpowiedniej mocy. Podniosłem więc śmiało rękę i na cały głos zapytałem: „A na chuj ta próba?”. Smożewski dosłownie poczerwieniał i odparł tylko: „Koledzy panu powiedzą”.

– Bo to pierwszy raz szcyl aktor podskoczył dyrektorowi? Co się martwisz? I tak jesteś tam gwiazdą!

– Nie w tym rzecz, Mikołaj. Słuchaj dalej. Po godzinie o tym zapomniałem, a bractwo aktorskie uradowane miłym przyjęciem tylko za rumuńską wódką się oglądało. Wychodzę w końcu do toalety i nagle zza winkla jak kogut wyskakuje do mnie Smożewski, chwyta za kołnierz, sruuuu do ściany i rzuca w gniewie: „Ty mały chamie!”

– O!

– To, że powiedział „chamie”, jeszcze potrafiłem zrozumieć, ale że mały!? To mnie ubodło. Więc też go chwyciłem i nie wiem, co by było, gdyby nie Olgierd Jędrzejczyk. Wszedł między nas i nas rozdzielił.

– No to postaw Jędrzejczykowi wódkę!

– Postawiłem niejedną.

– I co? Rozeszło się po kościach?

– Kiedy wróciliśmy do Tarnowa, następnego dnia rano w teatrze na tablicy wisiało ogłoszenie informujące, że Andrzej Grabowski otrzymuje naganę. I teraz uważaj, z jakiego powodu: „Źle zaśpiewał swoje partie solowe w *Janosiku* w Sibiu. W związku z powyższym zostają mu potrącone zarobki”. Cholera! Szlag mnie trafił! Pobiegłem do sekretariatu, poprosiłem o kartkę, długopis i napisałem: „PROSZĘ O NATYCHMIASTOWE ZWOLNIENIE MNIE Z TEATRU TARNOWSKIEGO!”, i chlast mu to na jego dyrektorskie biurko.

– Jak w skeczu! A on?

– A on: „TAAAK???” A ja: „TAK!!!”

– I co?

– Wziął mój rękopis w nerwach, trzasnął z całych sił pieczętką, że o mało biurko się nie rozleciało, i podpisał. A ja wyszedłem.

– Pięknie, Andrzejku. I obaj jesteście w dupie. On bez głównych postaci wystawianych sztuk, a ty...

– No właśnie. A ja bez roboty. I dlatego dzwonię. Słuchaj, może byś poszedł do Skuszanek i zapytał ją, czy od stycznia nie znalazłaby dla mnie etatu w Słowackim?

– To się porobiło. Dobra. Zadzwoń za kilka dni.

* * *

Krystynę Skuszanek, ówczesną dyrektorkę Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, oraz jej męża Jerzego Krasowskiego poznałem kilka lat wcześniej. Notabene Krasowski był rektorem w naszej szkole teatralnej i to właśnie on zaproponował pięciu absolwentom mojego roku angaż w Słowackim po ukończeniu studiów. Oprócz mnie wybrał jeszcze Renatę Kretównę, bardzo zdolną i cudnie śpiewającą, świętej pamięci Janka Prochyre, Janusza Świerczyńskiego i Jurka Kryszaka. Dziś może to zabrzmieć zabawnie, ale wtedy Kryszak i ja mieliśmy podobne warunki fizyczne, co jednemu z nas nie wróżyło dobrze. Dumnie przyjąłem etat, jednak wiedziałem, że albo ja zacznę grać, albo Jurek. Bardzo szybko okazało się, że zaczął grać on, a ja dostawałem tylko małe rólki. Nie pragnąłem od razu wielkich, ale też nie marzyłem o statystowaniu. Czara goryczy przelała się wiosną 1975 roku, gdy okazało się, że nie zagram Lubomira w *Ułanach* Jarosława Marka Rymkiewicza, na co bardzo liczyłem. Żeby odreagować, poszedłem do Teatru Kameralnego – akurat moi koledzy z teatru w Tarnowie przyjechali na gościnne występy z *Kochany Panie Ionesco!* Stanisława Tyma. Po spektaklu jeden z nich poznał mnie z dyrektorem Ryszardem Smożewskim, który później w trakcie bankietu publicznie żartował, że proponuje mi rolę Artura w *Tangu*, a ja nie chcę jej przyjąć. Jednak prawda była zupełnie inna. W mig podchwyciłem żart Smożewskiego i już tydzień później siedziałem w pociągu do Tarnowa, mrużąc oczy od majowego

słońca. Potrzebowałem zmiany jak pszczoły kwiatów rzepaku, których żółte połacie falowały wzdłuż torów. Zaciągałem się ich zapachem i tak sobie jechałem z jedną niewielką skórzaną walizką. Wolny.

Z dworca do teatru nie było daleko, wystarczyło przejść przez malowniczy rynek. Dyrektor Smożewski już na mnie czekał: „Panie Andrzeju, proszę się nie martwić o brak ról, bo już od czerwca wchodzi pan do *Dwóch zmartwień Obłomowa* w reżyserii Ryszarda Kotysa. I niech pan nie planuje urlopu podczas wakacji, bo zaczynamy próby jednoaktówek Mrożka. Zagramy je w Zakopanem jeszcze przed oficjalną premierą u nas”. I na odchodne wręczył mi klucze do służbowego lokum. Niemal natychmiast odstąpiłem je koledze, który właśnie się rozwiódł, a sam wprowadziłem się do pięknej Halinki. Pracowała w organizacji widowni i była trochę starszą ode mnie rozwódką z dzieckiem. Zupełnie mi to nie przeszkadzało, ale też nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo dyrektor Smożewski dosłownie zawałił mnie pracą. Ostatecznie przecież po to przyjechałem do Tarnowa. Grałem jak opętany. Od parobka w *Kłątwie* Wyspiańskiego, przez Edka w *Tangu* Mrożka, po Lelia w *Łgarzu* Goldoniego w reżyserii Giovanniego Pampiglione – tu jednak pojawiły się schody. Nigdy wcześniej nie grałem piękniśców, a rola Lelia była wybitnie amancka. No więc ten wyrafinowany syn weneckiego kupca jakoś mi nie wychodził. Na trzecią próbę generalną przyszedł sam Smożewski. Obejrzał i po spektaklu powiedział tak: „Ja wszystko wiem – kto co gra, o co mu chodzi i tak dalej. Jednego nie wiem. Co gra pan Grabowski?” Nie wróżyło to dobrze. Na szczęście w trakcie premiery coś się we mnie odblokowało i zagrałem tytułowego łgarza jak trzeba. Owacjom nie było końca i wszyscy mi gratulowali. Stałem się nagle

tarnowską gwiazdą. W konsekwencji zacząłem grać wszystko. I role, które grać powinienem, i te, których nie powinienem – na czym się najwięcej nauczyłem. Aktor, szczególnie młody aktor, nie uczy się na rolach, które zagrał dobrze, tylko na tych, które zagrał źle. Sukcesów zazwyczaj nie analizuje i w sumie nie wie nawet, jak do nich doszło. Porażki wyczuwa publiczność, koledzy, pojawiają się słabe recenzje i wówczas zastanawia się czemu. Co się stało? I w końcu zaczyna się naprawdę wgłębiać w materię – o to w tym zawodzie chodzi.



Spektakl *Łgarz*. Tarnowski Teatr im. Ludwika Solskiego. Rok 1975. Od lewej: Anna Urlata, Elżbieta Kijowska, Stanisław Poks, Wojciech Droszczyński, Andrzej Grabowski

Dyrektor Smożewski co jakiś czas zapraszał do Tarnowa krytyków teatralnych z całej Polski. Były to czasy, kiedy recenzja w prasie naprawdę się liczyła. Oni chętnie przyjeżdżali, bo nie

dość, że dostawali za to pieniądze i mogli napisać recenzję, na której też zarabiali, to jeszcze byli uroczyście podejmowani i z pewnością ich ego rosło do potrzebnych im rozmiarów. Podczas jednego z takich zjazdów dziennikarzy graliśmy dwie sztuki – jedna po drugiej. Najpierw *Zabawę Mrożka*, gdzie byłem w peruce z czarnych włosów, miałem zakrwawiony nos i wybity ząb. Potem godzina przerwy na przebranie się i postawienie drugiej scenografii. Wreszcie, już w *Łgarzu*, wchodziłem w blond włoskach i w białym kostiumie jako amant Lelio. Pismaki przeżyły szok! Ten sam aktor, który przed chwilą grał skurwysyna i bandytę, wchodzi kompletnie przeobrażony jako inna postać. Recenzje, które się potem ukazały, były fantastyczne. Zabawne, że nie pisali o tym, jak grałem, tylko jak się zmieniłem.

Rok po premierze *Łgarza* nasz spektakl został przeniesiony do poniedziałkowego Teatru Telewizji. To niewątpliwie był sukces Smożewskiego oraz Pampiglione i ewenement, że teatr z prowincji zagrał w telewizji. Wszyscy aktorzy zyskali jakąś rozpoznawalność. Na mnie zwróciła uwagę Agnieszka Holland i zaproponowała mi rolę w telewizyjnej realizacji *Lorenzaccia* Alfreda de Musseta. Grałem co prawda epizod, ale za to w doborowym towarzystwie – obok Anny Polony, Jurka Stuhra, Jurka Radziwiłowicza i, co ciekawe, Jurka Kryszaka. Niedawno kręciliśmy z Agnieszką Holland film dla Netflixa. Z zaskoczeniem słuchałem, jak wspominała *Lorenzaccia* i mnie! To, że ja Agnieszkę pamiętałem, to wiadomo, ale że ona mnie?

Smożewski miał zawsze oko na wszystko, co nieszablonowe w kulturze. Czerpał z tych obserwacji inspirację i potrafił przenieść dobre pomysły na scenę w Tarnowie. Kiedy na początku 1976 roku w miesięczniku „Dialog” ukazała się nowela filmowa Marka Piwowskiego pt. *Przepraszam, czy tu biją?*, nasz dyrektor wpadł na

pomysł, że zrobi z tego widowisko teatralne. Sam napisał scenariusz, podjął się reżyserii i zorganizował premierę, jeszcze zanim film z Jerzym Kulejem pokazywano w kinach. W naszej inscenizacji to właśnie mnie przypadła rola głównego bohatera – Belusa. Za tę kreację dostałem zaszczytny tytuł najulubieńszego aktora Tarnowskiego Teatru i nagrodę dla młodych aktorów na Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. To była moja pierwsza nagroda w życiu. Co ciekawe, nigdy fizycznie jej nie odebrałem, a dowiedziałem się o niej z małej wzmianki zamieszczonej pośród rubryk kulturalnych „Trybuny Ludu”. Nikt mnie nie raczył zawiadomić. Szkoda, bo zazwyczaj nagrodami były wyjazdy za granicę. Na przykład na tydzień do Londynu, Moskwy lub Paryża z biletami do teatru. A może ktoś za mnie pojechał? Mam nadzieję, że mu to wyszło na zdrowie. Niedługo potem na Konfrontacjach w Gdańsku Marek Piwowski pokazał swój film, a my nasz spektakl. Kiedy rok temu spotkałem się z Markiem, wyznał mi, że nasza teatralna wersja była mądrzejsza od jego filmu. Ale i tak najzabawniej wspominaliśmy całonocny bankiet, gdzie cały teatr i pół ekipy filmowej zmieściły się w jednym pokoju hotelowym. Co chwilę dzwoniła recepcja, żeby uspokoić towarzystwo, a Piwowski, odbierając telefon, mówił zaskoczonym głosem: „Halo, wartownia! Tak! My też słyszymy te krzyki. Idziemy sprawdzić, co się dzieje, więc bądźcie spokojni! Bierzemy to na siebie!”



Spektakl *Przepraszam, czy tu biją?* Tarnowski Teatr im. Ludwika Solskiego. Rok 1976. Andrzej Grabowski i Zbigniew Kłopotcki

Okazji do świętowania sukcesów w Tarnowie nie brakowało, w zasadzie każdy powód był dobry, dlatego nasz zespół był bardzo zbratany. Ułatwiał nam to nocny portier teatralny, który jednocześnie prowadził melinę. Jednak nam nie bardzo pasowało proszenie się o wódkę po nocy, dlatego wpadliśmy na racjonalizatorski pomysł. Po co prosić się o wódkę u konsjerża, jak można mieć zaplanowaną rezerwę! Teraz to się wydaje głupie, ale wtedy uważaliśmy, że to bardzo mądry pomysł. I rzeczywiście był dobry, bo przecież tak dużo nie zarabialiśmy na tych tarnowskich deskach. Założyliśmy więc własny „bank alkoholowy”. Najbardziej zaufany kolega miał klucze do przepadzistej szuflady – kiedy rozpoczynaliśmy sezon, każdy przynosił i deponował w niej pół litra wódki. Kto chciał wieczorem po spektaklu się napić, a zwykle każdy albo co drugi chciał, to szedł do sejfu i kolega wydawał alkohol, za co oczywiście nie brał żadnych pieniędzy. Na drugi dzień obowiązkowo odnosiło się butelkę. Był porządek, oszczędność i przyjemność. Powstała jakby taka wypożyczalnia wódki. Najprzyjemniejszy był moment, gdy z końcem sezonu rozbijaliśmy „bank”. Uczestnicy spotykali się na walnym zgromadzeniu i wszystkie wódki należało wypić. Czasami ze zdziwieniem budziłem się rano w garderobie obok rekwizytorni. Wtedy najlepiej było pójść prosto do Rzędzinianki, gdzie królowały flaczki, fasolka po bretońsku, galaretka wieprzowa, a czasami można było trafić nawet na kaszanekę, co odpowiednio podlane czystym wysokoprocentowym płynem smakowało wybornie. Już o siódmej rano można było się spotkać i porozmawiać z zacnymi gośćmi baru. Na przykład z „Bocianem”. Nie wiem, jak się nazywał i co robił. Wiem, że był człowiekiem. Z Tarnowa. Na obiad można było wstąpić do Polonii na dania węgierskie. Czy one były węgierskie? Nie wiadomo, bo przecież

nikt nie mógł tego zweryfikować, ale skoro nazywało się „po węgiersku”, to uważaliśmy, że jemy przysmaki węgierskie. Najbardziej jednak lubiłem drobiowe żołądki z Dębicy. Okraszone cebulką były serwowane w tanim barze na ulicy Wałowej, którego nazwy już nie pamiętam. Tylko czasami, kiedy pojawiła się większa gotówka, odwiedzaliśmy hotel Bristol. Kierowniczką kawiarni Tatrzańska była Basia Sołtys, nasz przyjaciółka, i tam urządzaliśmy wielkie bale!

Zazwyczaj jednak każdy z nas był goły jak święty turecki, a pomysły na okiełznanie tej sytuacji były przeróżne. Ja z kolegą Tomkiem Woźniakiem kupiliśmy sobie samochód na spółkę. Syrenę 103. To była tak zwana kurołapka, ponieważ miała tylko parę drzwi otwieranych do przodu. Gdyby, nie daj Boże, otworzyły się podczas jazdy, to z pewnością wiatr by je zerwał z zawiasami. Była ręcznie pomalowana seledynową farbą. Wyglądała ohydnie, ale że sprzedał nam ją jeden pułkownik Wojska Polskiego za jakieś psie pieniądze, to nie marudziliśmy. Zachwalał, że maszyna dobra i jeszcze pojeździ, tylko trzeba uważać na zakrętach. Jeździliśmy na zmianę – tydzień ja, tydzień kolega. Ciągle się psuła, aż w końcu padła. Znajomy mechanik – jak ma się takie чудо, to mechanik szybko staje się dobrym znajomym – powiedział, że trzeba wymienić blok silnika, bo ten już dłużej nie pociągnie. Po tygodniu w Dąbrowie Tarnowskiej kupiliśmy blok do motopompy od straży pożarnej i nasz wybawca założył go w miejsce silnika. Kurołapka znów ruszyła! Jak się porządnie rozbujała na szosie, to wyciągała nawet 65 kilometrów na godzinę. Z radości zabraliśmy nasze dziewczyny na lody do Pilzna. Ale nie tego w Czechach, tylko pod Tarnowem, jest taka miejscowość na trasie do Dębicy. Mieli tam najsmaczniejsze lody i przepyszny chleb. Nasza romantyczna wycieczka skończyła się, kiedy

ruszyliśmy w drogę powrotną. Niby tylko 20 kilometrów, ale zabrało nam to pół dnia. Przez godzinę kurołapka jeszcze się jakoś toczyła, choć wyprzedzały nas furmanki, a my gotowaliśmy się w środku. Na ostatnich kilometrach seledynową damę trzeba było już pchać. Po jakimś czasie znałem każdą śrubkę i przewód jej silnika. Pewnego razu zostaliśmy zaproszeni na imieniny. Mieliśmy jednak z Tomkiem jakąś chałturę, dlatego nasze cztery kółka przywiozły nas na imprezę dopiero o północy. Balanga dobiegała już końca, wszyscy byli mocno podpici, więc wychyliłem kilka głębszych i postanowiłem wracać samochodem do domu. Tomek otworzył maskę, odzepił druty łączące cewki ze świecami, włożył do torby i mówi: „Teraz możesz sobie jechać”. Ponieważ w silniku praktycznie wszystko było mocowane na druty, to odwiązałem filtr powietrza i zdobywszy przewód sprytnie związałem na świecach i cewkach. Odpalił. Ale na każdym wyboju moja instalacja spadała i syrenka stawała. Ja jednak twardo poprawiałem wiązania i jechałem dalej. Na ostatnim skrzyżowaniu okazało się, że z powodu remontu uliczka prowadząca pod mój dom jest zamknięta i muszę trochę nadrobić drogi. Stwierdziłem, że po alkoholu nie będę łamał przepisów, i postanowiłem zawrócić, kiedy znów moją instalację trafił szlag. Pech chciał, że zastawiłem autem ulicę w poprzek, a z przeciwka jechała sobie spokojnie milicja. Zatrzymali się, żeby mi pomóc. Milicjant wsiadł za kierownicę. Auto nie odpala. Podnosi klapę, widzi gołe świece i pyta: „Jak pan chciał tym ruszyć?”. A ja, zamiast powiedzieć, że hamulec się zwolnił i samochód się stoczył, zacząłem się wymądrzać i udowodniać milicji, że znam silnik od podszewki i potrafię go uruchomić. O proszę! Pali? Dzięki temu Tomek miał przez trzy miesiące syrenkę tylko do swojej dyspozycji.

Całe szczęście na wszystkie występy objazdowe wożono nas autobusami. Kielce, Radom, Rzeszów, Brzozów, nawet do Ustrzyk Dolnych jeździliśmy. Graliśmy czasami w aulach szkolnych o dziesiątej rano. Wszyscy byli uradowani, bo dostawaliśmy dodatkowe pieniądze – półtora dniówki plus delegacje. Myśmy te objazdy traktowali jak wycieczki. Owszem, musieliśmy zagrać spektakl, ale to, co się działo dookoła, to była już zabawa! Po spektaklach wracaliśmy, śpiewając *O mój rozmarynie, Nie ujeżdżaj, ty moj gołubczik*, ukraińskie dumki i co tam kto pamiętał. Do tego oczywiście gorzała i papieroski. W pewnym momencie na stanowisko wicedyrektora awansował kolega Zbyszek, który wcześniej lubił się z nami napić, lecz kiedy dostał kierownicze stanowisko, postanowił zrobić porządek. Ludzie tak czasami mają. Wydał zakaz palenia i picia wódki w autobusie i odpowiedniej treści anons ukazał się na tablicy ogłoszeń. Argumentował swoją decyzję tym, że autokar jest integralną częścią teatru – jakby nikt nie pił w teatrze. Ale dobrze. Nasza reakcja była natychmiastowa i zażądaliśmy przystanków do 45 minut. Biedny wicedyrektor siedział przy oknie, a my na zewnątrz do niego: „Zbysiu, może z nami tego, wszak nie jesteście w integralnej części teatru”. To były szczeniackie dowcipy, które nas wtedy strasznie cieszyły. Zresztą dziś też by cieszyły, bo to głupi przepis i ominąć go trzeba było – jak dzisiaj się omija wiele głupich przepisów.

Uwielbiałem w autobusach towarzystwo świętej pamięci Olgierda „Kurwa” Jędrzejczyka. Tak na niego mówiliśmy, bo kłął jak szewc, a przy tym był niebywale elokwentny, doskonale wykształcony, normalnie chodząca encyklopedia. Był dużo starszy ode mnie, co nie przeszkadzało nam się zaprzyjaźnić. Olgierd był znanym redaktorem „Gazety Krakowskiej”, czyli organu Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Ale tak naprawdę miał gdzieś całą tę partię

i żył sobie, jak chciał. Kiedyś w Krakowie zabrał mnie na Wawel, na mszę.

– Kurwa, Andrzej, tu metropolita, kurwa, będzie, i to będzie kurewsko ważna msza! – tłumaczy mi Olgierd.

Podczas mszy widzę, że bez oporów leci do komunii świętej. Wychodzimy z kościoła i nie wytrzymuję.

– Olgierd. Nie masz problemu z tym, że klniesz, czyli grzeszysz, i do komunii zaraz leziesz?

– Nie, kurwa. Klniesz to ty. Ja używam partykuły wzmacniającej.

Największy popis Olgierda miał miejsce podczas teatralnego wyjazdu do Rumunii. Jechała także z nami towarzyszka Jaroszowa z Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Tarnowie. Posadzono ich razem na pierwszym siedzeniu w jelczu – tym ogórku. Olgierda takie towarzystwo kompletnie nie bawiło, tym bardziej że my swobodnie popijaliśmy na tylnych siedzeniach. Bardzo chciał się uwolnić od swojej „towarzyszki”. Gdy autobus zatrzymywał się na rumuńskich wsiach, podbiegały do nas kobiety i pytały, czy nie mamy do sprzedania kremu Nivea. Zaskoczona tym obyczajem, notabene każdemu znanym, towarzyszka Jaroszowa zapytała w końcu redaktora: „Panie Olgierdzie, jak to jest? Ja tu widziałam w sklepach taki duży asortyment kosmetyków, a gdzie się zatrzymamy, to te Rumunki przylatują i chcą krem Nivea. O co to chodzi?”. Olgierd chyba poczuł, że nadszedł odpowiedni moment, i wycedził: „Weź se, pani, kurwa, sto kremów Nivea, jedź na rumuńską wieś i każdą dupę, jaką pani zechce, może pani pierdolić, ile chce”. Po tym dosłownie zakneblowana Jaroszowa przestała się już do niego odzywać.

Dobrze było wracać po tych wyczerpujących wożach do ciepła domowego mojej Halinki. Życie z tarnowianką układało się bardzo

dobrze, ale nie wiem, czy ona była dobra na żonę, a ja najlepszą partią na męża. Zresztą, kto wtedy o tym myślał? Na pewno nie ja, wchodzący dopiero w życie i traktujący je wedle ludowego powiedzenia: „Pić, pierdolić i tańcować, bida musi pofolgować”. Kiedy Halinka na własne oczy przekonała się, że nie jestem monogamiczny, przed drzwiami zastałem wystawioną torbę z moimi rzeczami. Do swojego mieszkania już nie wróciłem, ponieważ zadzwonił Mikołaj: „Andrzej! Kryszak odchodzi do Ateneum. W Słowackim już na ciebie czekają”.

Moja przygoda z Tarnowem trwała trzy i pół sezonu. To były cudowne lata, cudowne kobiety, cudowne zdrady i cudowna wódka.

Z pijanym to nie

Tutaj zawsze gwar

Tańczy zawsze tyle par

By w pościeli skończyć taniec świętych krów

Ja przychodzę tu

Tu kobieta z mego snu

Chcę się w tańcu otrzeć brzuchem o jej brzuch

U mnie z kasą źle

Ale chlapnę wódki dwie

I odważniej wtedy widzę przyszłość swą

Chociaż słowa drżą

Chociaż ręce drżą

Sztywny skłon

Tylko nie mów mi, że

Z tym pijanym to nie

Nie zatańczysz ni raz

*Bo zasady swe masz
A ja, widzisz, tak mam
Że mi trzeba sto gram
By osiodłać tę dal
By roztopić tę stal
A więc nie mówi mi, że
Moje słowa drżą
Chociaż słowa drżą
Chociaż ręce drżą
Szttywny skłon*

*I na sępa znów
Parę luf, parę luf
Do Ciebie ruszam znowu jak na bój
Chwiejny krok i żart
Ciebie wart
Ja nie jestem, ale Twój
Tak to, widzisz, jest, tak już jest
Ja jak pies
Ty na długość wideł trzymasz mnie
Chcesz, to rzdź i bładź
Tylko bładź, tylko bładź!
Bo jak jesteś, to naprawdę nie jest źle
Ja tę śpiewkę znam, torba – kij
Ktoś mi znowu strzeli w ryj
Wybaczenie, Boże, dać mu racz
Słyszysz nocą park
Z rozwalonych płynie warg
Cichy płacz*

Proszę, nie mów mi, że

*Z tym pijanym to nie
Nie zatańczysz ni raz
Bo zasady swe masz
A ja, widzisz, tak mam
Że mi trzeba sto gram
By osiodłać tę dal
By roztopić tę stal
A więc nie mówi mi, że
Moje słowa drżą
Chociaż słowa drżą
Chociaż ręce drżą
Sztynny skłon*

Słowa: Jan Wołek
Z płyty Andrzeja Grabowskiego *Cudne jest nudne*

GWAŁT NA TRADYCJI

Gruszczyński (gra Andrzej Grabowski):

*Mocanie! Pies pod podwórzem
Nieraz lepiej traktowany!
Patrzaj! Nazywa mię tchórzem!
Na czyste Chrystusa rany,
Którym ja się krwią zadłużył,
Klnę się... Powiada, że stchórzył,
Żem zleniwił, że... sto beczek
Krwi mojej na ludzi tych głowie!
Piszą, że z chłopami w znowie.
Że... Będę mały człowieczek
Nie człowiek, jeśli przebaczę!*

Fragment dramatu Juliusza Słowackiego *Sen srebrny Salomei*

Zimą 1995 roku zadzwoniła do mnie uznana już wtedy reżyserka teatralna Izabella Cywińska. Miało to miejsce dosłownie kilka dni po premierze *Snu srebrnego Salomei* w Teatrze Telewizji, gdzie zagrałem postać Gruszczyńskiego, zapiętego szlachciury. Powiedziała, że przygotowuje się do ekranizacji powieści *Boża podszewka* i szuka aktora, który mógłby zagrać Andrzeja Jurewicza, czyli główną rolę męską. Jurewicz to zubożały szlachcic w sile wieku, głowa rodziny, ojciec, ale też przy okazji kobieciarz i świszczypała. Typ „knura” i „sprośnego buhaja” – jak go nazywa żona.

Izabella Cywińska po obejrzeniu *Snu srebrnego Salomei*, a także znając moje wcześniejsze role cwaniaczków i kreacje w dramatach Schaefferowskich, doszła do wniosku, że moja postać może połączyć wszystkie cechy osobowości Jurewicza. zaproponowała spotkanie i bez żadnego castingu dostałem rolę. Dla mnie, aktora z Krakowa, była to wielka sprawa, bo zazwyczaj główne role w filmach obsadzano aktorami z Warszawy. W konsekwencji przez cały rok jeździłem na zdjęcia do stolicy, spałem tam i z pięknego, ale jednak teatralnego Krakowa przeniosłem się w zupełnie inny świat. Abstrahując od różnic między miastami, to właśnie w Warszawie, od roli w *Bożej podszewce*, zaczęła się na poważnie moja przygoda z filmem. Owszem, bywałem wcześniej w obsadzie kilku produkcji, ale trudno tu mówić o graniu, może za wyjątkiem filmów Feliksa Falka *Kapitał, czyli jak zrobić pieniądze w Polsce* i Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba*, gdzie grałem postaci, które chociaż jakoś się nazywały. Reszta to raczej takie: jak trzeba było nieść sztandar, to niosłem, na zebraniach siedziałem, coś tam mówiłem, że popieram, itd. Na szczęście miałem trochę doświadczenia z Teatru Telewizji, gdzie nauczyłem się filmowego grania – a raczej filmowego „niegrania”, bo tak powinno się prawidłowo określić to, co robi aktor przed kamerą. W filmie nie grasz postaci, tylko musisz się nią stać. I ta postać już sama zagra wszystko – czy to wkurzenie, czy śmiech, czy obojętność. Ale nie tylko ja byłem „filmowym nowicjuszem” na planie *Bożej podszewki*, bo niemal całą obsadę stanowili aktorzy teatralni – Danka Stenka z dużym doświadczeniem z teatru i Piotrek Adamczyk grający naszego syna. Dopiero kończył warszawską PWST. Nikt go jeszcze wtedy nie znał, podobnie jak Joli Fraczyńskiej. W ogóle myśmy tam byli zespołem ludzi, którzy się polubili, i te dobre kontakty pozostały nam do dziś. Łączy nas to,

że wszyscy byliśmy „chrzczeni” w jednej „chrzcielnicy” przez jednego „księdza”, czyli Izę Cywińską. Do zdjęć Iza zaangażowała wybitnego operatora filmowego Ryszarda Lenczewskiego. Rysiek ma taki system pracy, że nie zatrudnia szwenkierów, sam bierze kamerę i kręci. Dzięki temu oprócz znakomitych zdjęć ma lepszy kontakt z aktorami na planie. Połączenie fachowości Lenczewskiego i wiedzy oraz talentu reżyserskiego Izy Cywińskiej nadało swoistego charakteru całej produkcji. Warto jeszcze podkreślić świetną scenografię Jacka Osadowskiego.



Boża podszewka – zdjęcie z planu. Od lewej: Andrzej Grabowski, Hanna Śleszyńska, Danuta Stenka, Katarzyna Herman, Agnieszka Krukówna. Rok 1996

Zdjęcia do serialu trwały rok, bo akcja *Bożej podszewki* dzieje się na przestrzeni lat i wszystkich pór roku – całe szczęście wtedy

padał jeszcze śnieg w Polsce. Wnętrza graliśmy w studiu na Woronicza, posiłkując się dekoracjami zbudowanymi z kartonu. Za to sceny plenerowe kręciliśmy, dostosowując się do przyrody. Iza długo szukała właściwego pleneru. Skończyło się na tym, że na wale wiślanym w okolicach wsi Dębówka pod Konstancinem od podstaw zbudowano dwór Jurewiczów. Oczywiście był pusty w środku, ale wyglądał pięknie. Ja wtedy się w tych dworach zakochałem i stąd mój dzisiejszy dom pod Warszawą jest bardzo podobny do tego z *Bożej podszewki*.

Maria Jurewicz (Danuta Stenka): *Walunię będę odprawiać. Zhardziła, bezwstydnica jedna. Ty nie masz do mnie szacunku, to nic dziwnego, że ona też ma mnie za nic. Słyszysz, co do ciebie mówię!?*

Andrzej Jurewicz (Andrzej Grabowski): *Daj ty mnie spać.*

Maria Jurewicz (Danuta Stenka): *A ty myślisz, że dzieci tego nie widzą? Zgorszenie, wstyd siejesz na cały dom!*

Andrzej Jurewicz (Andrzej Grabowski): *To ją odpraw, ja za nią nie stoję.*

Maria Jurewicz (Danuta Stenka): *Ty jesteś jak ten knur sprośny! Tobie tylko jedno w głowie! Jak ty mi z tym nie skończysz raz na zawsze, to zobaczysz! Jak chwycę kiedyś nóż, to cię przebiję! Czy ty mnie słyszysz? Przebiję cię! Rozumiesz?!*

Scena z serialu *Boża podszewka*

Pamiętam swój pierwszy dzień na planie. Miałem wtedy bardzo trudną scenę do zagrania z Danką. Byłem tak przejęty, że całą noc nie mogłem spać, a na miejscu okazało się, że z kręcenia nici, bo pada deszcz. Nawet się ucieszyłem, bo przynajmniej był czas, żeby się jakoś oswoić. Zaczyna się od tego, że Danka Stenka, moja

filmowa żona, przyłapuje mnie na figlach z służącą i wybiega z domu do sadu. Tam żali się mojemu stryjowi Władkowi, który patrząc jej głęboko w oczy, jakby jego samego żądze rozпалиły, mówi: „Nie dopuszczaj go do siebie!” I nagle zjawiam się ja, bo przybiegłem za Danką, ubierając się w pośpiechu. Patrzymy na siebie chwilę w milczeniu, dostrzegam jej uległość i podniecenie. Danka podnosi z ziemi gruszkę i gryzie ją z uśmiechem. Po chwili daje mi kęsa, a sok z owocu ściśniętego moimi zębami spływa jej po dłoni na rękę. Bez słowa zlizuję go z gołej skóry. Mało słów, dużo emocji, gestów i spojrzeń – naprawdę trudny fragment. Nie mogliśmy sobie pozwolić na kilkanaście dubli, z których coś się wybierze, ponieważ serial był kręcony na taśmie filmowej. To była zasadnicza różnica. Teraz się wkłada do kamery kartę pamięci i można nagrywać do woli. Nie trzeba w ogóle oszczędzać. A tam każdy metr taśmy to były pieniądze. Więc zanim doszło do kręcenia, czytaliśmy scenopis ujęcia, robiliśmy próby i później dopiero kręciliśmy. Dzisiaj nikt już tak nie robi.

Gdy telewizja skierowała w listopadzie 1997 roku do emisji pierwszą część filmu „Boża Podszewka” w reżyserii Izabelli Cywińskiej, do której dialogi napisała Teresa Lubkiewicz, nikt nie przeczuwał skandalu. Bo co może być niebezpiecznego w sadze polskiej rodziny żyjącej na Wileńszczyźnie na początku wieku.

Fragment reportażu *Boża podszewka. Niechciane dziecko*, Katarzyna Surmiak-Domańska, „Wysokie Obcasy”, 19 czerwca 1999

Regularnie na planie filmowym pojawiała się Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz, autorka ekranizowanej powieści, odpowiedzialna również za dialogi w serialu. Pierwowzorem głównej bohaterki – Maryśki, mojej i Danki serialowej córki, granej przez Agnieszkę Krukównę – była jej mama. Dlatego pisarka

zwracała się do nas per dziadku i babciu, co było bardzo serdeczne i zabawne, bo ja wówczas miałem 44 lata, a ona była damą po siedemdziesiątce. Kiedy wchodziła w szczegóły, poprawiając jeszcze jakieś kwestie na planie, widać było, że ta rodzinna historia mocno w niej siedzi. Pamiętam też, że Iza mówiła podczas kręcenia, iż w końcu ci ludzie pochodzący spod Wilna będą mieli film o sobie, bo przecież dotąd nie mieli. No i co się okazało? Po publikacji pierwszych odcinków serialu zaczęły powstawać „komitety antypodszewkowe”. Kresowiaczy organizowali protesty i na potęgę ślali do telewizji listy, domagając się zdjęcia filmu.

Na magnetofon telefonicznej opinii publicznej, tzw. spluwaczki, nagrały się wyłącznie obelgi pod adresem reżyserki. Gromy ciskała prasa prawicowa.

Oburzano się za nieposzanowanie wartości chrześcijańskich. Za to, że w filmie mąż zdradza żonę, bohaterowie chodzą brudni, wyrażają się wulgarnie, mlaskają, uprawiają wyuzdany seks. Że akowcy piją wódkę, że „brak w filmie patriotyzmu”.

Na spotkaniu z telewidzami w Białymstoku Młodzież Wszechpolska przywitała autorki transparentem „Boża podszewka – gwałt na tradycji”. O mało nie doszło do rękoczynów.

(...)

Wkrótce potem rada programowa telewizji publicznej wezwała zarząd TVP do przeproszenia widzów za „Bożą podszewkę” i do wyemitowania, jako rekompensatę, wzorcowego obrazu Kresów – „Nad Niemnem”.

Fragment reportażu *Boża podszewka. Niechciane dziecko*, Katarzyna Surmiak-Domańska, „Wysokie Obcasy”, 19 czerwca 1999

Byłem z Danką na kilku spotkaniach promocyjnych, gdy przyszli ludzie, którzy mocno krzydzeli na *Podszewkę*: „Ta Krukówna porębana jakaś! Ojciec niby porządny, ale dupcyngier! Która kobita i matka może tyle wybaczyć!? A jak wojna przychodzi, to opuszczają te biedne dzieci i uciekają, zostawiając na pastwę losu?!” „Przecież to jest prawdziwa historia rodziny pani Teresy Lubkiewicz” – odpowiadałem. „Jak możecie mieć pretensje do drzewa, że krzywo urosło? Czy gdyby nasz film i powieść opisywały te same wydarzenia, ale na Śląsku, w Małopolsce albo na Mazowszu, to byłoby w porządku?!” Jak jeden mąż odpowiadali, że tak. Wszędzie, tylko nie na Kresach, bo tam był raj, panie. Niestety, na każdej wojnie, nawet tej najmniejszej, ginie prawda.



Boża podszewka – kadr z filmu

Minęło kilkanaście lat. Telewizja pokazała powtórkę serialu i stała się rzecz przedziwna. Sąsiadka Izy Cywińskiej i jej męża Janusza Michałowskiego, kiedyś zapiekła przeciwniczka *Bożej podszewki*, spotkała Michałowskiego i powiedziała mu tak: „Panie Januszu, pan ma jednak inteligentną żonę. Obejrzałam serial po poprawkach i teraz już wszystko jest dobrze”. Widziała dokładnie to samo co przed laty, tylko że w międzyczasie obejrzała pewnie *Big Brothera*, gdzie „Frytka” z „Kenem” skutecznie obniżyli wrażliwość Polaków, w konsekwencji czego brak śpiewu chłopów w wyprasowanych lnianych koszulach przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zrozumienie zmian kulturowych i obyczajowych, jakie przyniosła nam wolna Polska, wymagało czasu – również ode mnie.

Podczas telewizyjnej emisji *Bożej podszewki* zadzwonił do mnie Zbyszek Gruz, który organizował casting dla włoskiego reżysera Petera Del Monte. Dostałem wtedy rolę w jego filmie *La Ballata dei Lavavetri*, a najważniejszym argumentem dla Włocha okazał się mój udział w „serialu artystycznym”. Dla mnie wtedy większość seriali to były dzieła artystyczne wymagające dużych nakładów czasowych. Nie pojmowałem tego, że mogą być inne. Era seriali produkowanych „na szybko” miała dopiero nadejść.

SCHAEFFERIADA

PROLOG

Nie rozumiałem wszystkiego, ale z ciekawością się temu przysłuchiwałem i przyglądałem. Wiedziałem, że to, co robią, nie jest przypadkowe. Wręcz przeciwnie, jest skrzętnie opracowane i rzetelnie wykonane. Brakuje tonacji i harmonii, a dźwięki wydobywane są poprzez opukiwanie instrumentów, szelesty i zgrzyty pomiędzy nutami. Muzyka jakby zerwana z łańcucha, który jeszcze się za nią ciągnie, pobrzękując. Kompletny odjazd! Utwory serwowane przez świetnie wykształconych instrumentalistów. Podobno Pablo Picasso powiedział kiedyś, że najpierw trzeba potrafić narysować konia, żeby go później umiejętnie zdeformować. Do tej niebywałej kreacji muzycznej zostali zaprzężeni aktorzy. W dużej mierze za sprawą Bogusława Schaeffera, który nie tylko komponował, ale też pisał scenariusze. Dla mnie koronnym dziełem spółki Schaeffer-Ensemble MW2 jest *Kwartet dla czterech aktorów*. Niesamowite, że spektakl od 1976 roku nie zszedł z afiszów teatrów. Obecnie gramy go w składzie: Janek Peszek, Janek Frycz, Mikołaj Grabowski – który również reżyseruje tę sztukę – i ja. Kwartet do dziś pozostał awangardą. Kiedy dziennikarze zadają mi pytanie, o czym jest nasz spektakl, to po ostentacyjnym zastanowieniu się mówię z zamyśloną miną: „Kwartet to nieudana i niedokończona próba kreacji”. I bądź tu mądry, co? Sam nie wiem, o co do końca w nim chodzi, ale taka odpowiedź powoduje, że kilka kolejnych pytań mam z głowy.

Wspomnienie Bogusława Schaeffera zawsze wywołuje we mnie refleksję, że dzięki niemu spotkałem mnóstwo dziwnych ludzi w dziwnych czasach. To miła reminiscencja, ale schaefferiada wcale się dla mnie nie skończyła. Dzięki wieloletniej przygodzie z Ensemble MW2 i jego twórczością moje postrzeganie sztuki przekroczyło wiele granic, a przy okazji zjeździłem pół świata, choć wszystko zaczęło się oczywiście w Alwerni i na ulicach Chrzanowa.



Kwartet dla czterech aktorów Bogusława Schaeffera. Tarnowski Teatr im. Ludwika Solskiego. Rok 2011. Na zdjęciu: Jan Frycz, Jan Peszek oraz bracia Mikołaj i Andrzej Grabowscy

EPIZOD I: WAŻNY

Mikołaj Grabowski: *Ci dwaj poszli, możemy spokojnie porozmawiać.*

Jan Peszek: *No, ale o czym?*

Mikołaj Grabowski: Hmm. Czy ja wiem? Może o nich?

Jan Peszek: Eeee, nieciekawi.

Mikołaj Grabowski: Ale ten wyższy jakiś bardziej mętny.

Jan Peszek: No! I taki jakiś ważny!

Mikołaj Grabowski: Ty! A może on jest ważny?

Jan Peszek: Jakby był, toby nie musiał udawać.

Fragment spektaklu *Kwartet dla czterech aktorów* Bogusława Schaeffera

W 1968 roku mój brat Mikołaj wraz z MW2 wyjechał na koncerty do Paryża. Przywiózł mi wtedy koszulę non iron i coś, czego w mojej okolicy nikt nigdy nie widział – flamastry! Kiedy użyłem ich w liceum do rysowania figur trygonometrycznych, dostałem najlepsze oceny. Wszyscy myśleli, że moje graniastosłupy tak pięknie rysuję tuszem. Nie było wówczas innej możliwości: albo ołówek, albo tusz. „Zaczarowanych pisaków” użyłem też do samodzielnej „produkcji” ulotek. Był to rok przesilenia politycznego. Milicja Obywatelska rozbijała na ulicach studenckie demonstracje. Chcąc wyrazić swoją solidarność, napisałem na cienkich skrawkach papieru hasło POPIERAMY STUDENTÓW i rozrzuciłem je po rynku w Chrzanowie. Nie wiem, czy ktoś je w ogóle podniósł, ale kiedy uświadomiłem sobie, że nikt przecież takich flamastrów nie ma i z pewnością milicja dojdzie tym tropem do mnie, nie mogłem spać. Tak się bałem! A jak jeszcze wyjdzie, że dostałem – albo inaczej: dostarczono mi je z Paryża?! Na szczęście nikt nie zastukał do drzwi. Wcale nie byłem taki ważny.

EPIZOD II: CESARZOWA

Andrzej Grabowski: *Mój teatr zacznę od bliźniaków. Maj-czerwiec. Bliźniaki są rozdwojone, mają do wszystkiego talent, a nic im się nie chce. Waldek mi to robi dobrze – jemu też się nigdy nic nie chce. Świat rozdwojony, schizofreniczny, jak bliźnięta i kontrasty. Kontrasty! Rozumie pan? Księżna obiera rzepę z prostą włókniarką – albo lepiej – ze sprzątaczką! A obie mają te same problemy! Świat integralny, rozdwojony, schizofreniczny – rozumie pan!*

Mikołaj Grabowski: *No i co?*

Andrzej Grabowski: *Co? Co, pan nic nie rozumie? To może zrobić taki zwykły, normalny happening, co? Ale nie! To musi być teatr! W moim teatrze główną rolę odegrają kalesony! Każdy aktor w innym kolorze. Mogą się przebierać, wymieniać między sobą...*

Mikołaj Grabowski: *Przecież na meczach wymieniają spocone koszulki.*

Andrzej Grabowski: *Ale mnie to nie przeszkadza, mogą być spocone! Zresztą to nie o to chodzi!*

Mikołaj Grabowski: *A o co chodzi!?*

Andrzej Grabowski: *Panie, pan to jesteś dobra publiczność, bo pan nic nie rozumiesz.*

Fragment spektaklu *Scenariusz dla trzech aktorów* Bogusława Schaeffera

Zespół MW2 – czyli Młodzi Wykonawcy Muzyki Współczesnej – powstał w 1962 roku z inicjatywy pianisty i kompozytora Adama Kaczyńskiego. Jego siła sprawcza, otwarta głowa i znajomość języków doprowadziły do ogromnego sukcesu tego awangardowego przedsięwzięcia. W latach sześćdziesiątych odnosili światowe triumfy. Byli zapraszani na większość międzynarodowych festiwali muzyki współczesnej. Wracali z nagrodami niemal z każdego kontynentu. Witano ich z honorami i

owacjami. Do dziś pamiętam, jak mój brat Mikołaj pokazywał mi fotografię z cesarzową Farah Diba Pahlawi, która zaprosiła MW2 na kameralny koncert – publiczność składała się wyłącznie z wielkiej Diby oraz jej świty. Byli zachwyceni niekonwencjonalną formą, włącznie z rozbijaniem radioodbiornika przez Adasia Kaczyńskiego.

Schaeffer napisał nawet utwór dla szacha Iranu, podczas którego aktorzy recytowali strofy Hafiza, klasyka poezji perskiej i tadżyckiej. Robili to w języku staroperskim. Oszołomiona Diba miała powiedzieć: „Jak żyję, nie widziałam tak awangardowej inscenizacji”. Nie wiem, czy oni cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieli, ale może to jest właśnie najlepsza publiczność?

EPIZOD III: BOGUŚ

Andrzej Grabowski: Niech mi pan powie w zaufaniu, dlaczego pieprzone pierożki są dobre, a pieprzone życie już takie nie jest?

Jan Peszek: Aforysta z pana.

Andrzej Grabowski: No i co z tego?! Nikt mnie nie rozumie. A moją sztukę mało kto.

Jan Peszek: Bo sztuka musi być niewyraźna. Im bardziej niewyraźna, tym lepsza.

Andrzej Grabowski: A wie pan, że tak się ma rzecz z tym, co teraz tu próbujemy. Ja najbardziej lubię te fragmenty, których do końca nie rozumiem.

Fragment spektaklu *Scenariusz dla trzech aktorów* Bogusława Schaeffera

Mikołaj został zaangażowany przez Adasia Kaczyńskiego już w 1966 roku, jeszcze jako student szkoły teatralnej. Natomiast ja do 1979 roku, w którym to wróciłem z Tarnowa do Krakowa, nie

miałem nic wspólnego z MW2 oprócz rzeczonych wcześniej flamastrów i tego, że oglądałem ich koncerty. Schaeffer uważał, że przypadkami sterują ludzie, najczęściej nieświadomie. Coś w tym jest. Zgodnie z tą tezą ktoś tak pokierował zbiegiem okoliczności, że zostałem zaproszony do udziału w spektaklu MW2, który miał się odbyć w Grecji na Festiwalu Muzyki Współczesnej. Dołączyłem wówczas do składu aktorskiego, który tworzyli: Mikołaj, Janek Peszek i nieżyjący już Andrzej Kierc. Próby do tego występu odbywały się w Łodzi i tam miałem pierwszy kontakt z mistrzem. Kiedy przyszedł na próbę, czułem się trochę jak kot w wojsku i z lekkim napięciem starałem się, jak mogłem, żeby dobrze wypaść. Nagle Schaeffer podszedł i coś mi powiedział. Niestety, ponieważ miał tak zwaną zajęczą wargę, mówił dość niewyraźnie i nic nie zrozumiałem. Myślę szybko, co zrobić. Przecież nie mogę powiedzieć profesorowi, że go nie rozumiem. Co zrobić? „Trzeba się zgodzić!” – pomyślałem. Ale żeby nie wyjść na kompletnego bezmózgowca, takiego, który bezkrytycznie wszystko przyjmuje, postanawiam się chwilę zastanowić i dopiero wtedy oznajmić jednomyślność. Tak się dzieje. Waham się przez kilka sekund, podnoszę brwi, kiwam głową i wreszcie mówię z najmądrzejszą miną, na jaką było mnie stać: „Tak... tak, chyba tak!”. Na co on: „No! Boguś jestem”.

EPIZOD IV: APULIA

Andrzej Grabowski (jako Lucilio Vanini): Nie ma ani Boga, ani diabła. Ale gdyby Bóg istniał, modliłbym się, żeby uderzył swoim piorunem w wasz niesprawiedliwy i nikczemny trybunał!

Fragment spektaklu *Vaniniana* Bogusława Schaeffera

W roku 1985 Ensemble MW2 dostał zaproszenie do miejscowości Lecce położonej na samym dole włoskiego buta. Odbywał się tam Międzynarodowy Zjazd Filozoficzny z okazji 400-lecia urodzin włoskiego filozofa Lucilio Vaniniego – żył w XV wieku i ostro podważał wszelkie dogmaty wiary, zwłaszcza chrześcijańskiej. Za rozgłaszane poglądy najpierw wyrwano mu język, a później spalono na stosie. Schaeffer specjalnie na ten koncert opracował utwór pt. *Vaniniana*, w którym przedstawiał całe życie słynnego filozofa. Na miejscu okazało się, że nasz występ odbędzie się w perełce architektury barokowej – potężnej Bazylice Santa Croce. Prezentacja opowieści o propagatorze ateizmu i ewolucjonizmu w miejscu sakralnym wydawała mi się odważna i ryzykowna. Schaeffer przy fortepianie nie tylko uderzał w klawisze, ale też pobudzał struny bezpośrednio rękami. Krzysiek Suchodolski grał na wiolonczeli, którą specjalnie przestroił z A-D-G-C na B-A-C-H, co miało znacznie symboliczne i przypominało o tym, że Jan Sebastian Bach urodził się dokładnie 100 lat po Lucilio Vaninim. Marek Chołoniewski czarował na instrumentach elektronicznych. W tle unosiły się niepokojące dźwięki – dzwony, bulgotanie wody albo tłuczone szkło – odtwarzane z taśmy. Cudowny sopran Haliny Skubis szybował jak nietoperze z ołtarza poprzez nawy między kolumnami świątyni. Aparatura nagłaśniająca, którą Marek Chołoniewski przywiózł z Krakowa, zabrzmiała silnie i donośnie. Schaeffer mówił, że jego celem było wywołanie kontrastu między muzyką przyjemną dla ucha, emitowaną przez fortepian, wiolonczelę i sopran, a muzyką diabelską wywoływaną przez elektronikę i dźwięki z taśmy.

Mnie przypadła rola filozofa Vaniniego. Swoje kwestie mówiłem po włosku, łacinie i po polsku. Ubrany w habit niczym zakonnik, goniąc po ołtarzu, drwiłem sobie z cudów, prosto w

nosy przedstawiciele Kościoła, którzy zasiadali w ławach wśród publiczności. Po koncercie organizatorzy imprezy oraz proboszcz bazyliki składali nam gratulacje, choć na twarzy księdza był raczej niepokój niż podziw. Przez kilka następných dni odgrywaliśmy nasz spektakl w kościółkach małych miasteczek południowej Apulii. Te dodatkowe koncerty bardzo nas cieszyły, bo wiązały się z większymi apanażami. Lokalna publiczność jednak zdecydowanie różniła się od międzynarodowego audytorium. Babiny odwracały twarze i robiły znak krzyża, słysząc herezję płynącą z ołtarza w takt demonicznych dźwięków. Miejscowe władze zdecydowały, że podczas naszych występów, na wszelki wypadek, obok publiczności musi być kilku karabinierów z miejscowej komendy. Ale napięcie czuło się w powietrzu, dlatego ostatni spektakl w Taurisano – miasteczku, w którym urodził się Vanini – przeniesiono z kościoła do auli lokalnej szkoły. Koncert okazał się inny od wszystkich jeszcze z jednego powodu. Całą naszą scenografię udekorowano setkami kwiatów podarowanych przez właściciela lokalnej kwiaciarni i zarazem fana Lucilio Vaniniego.

EPIZOD V: NA „PE”

Jan Peszek: Ja nie pamiętam, jak on się nazywał? Na „sz”? Jakoś tak dziwnie...

Mikołaj Grabowski: Kto?

Jan Peszek: Jakbym wiedział kto, tobym mówił. Tak pospolicie jakoś, na eszzzzz...

Mikołaj Grabowski: Szpinak!

Jan Peszek: Nie. Szpinak to jest rzadkie nazwisko.

Mikołaj Grabowski: Był taki piłkarz Szpinak, obrońca zdaje się.

Jan Peszek: Z urzędu?

Mikołaj Grabowski: *Nie. Obrońca uciśnionych.*

Jan Peszek: *Ale co mi pan głowę mącisz! Każdy może nazywać się Szpinak!*

Mikołaj Grabowski: *Może, ale nie musi.*

Jan Peszek: *Aha! Nie na esz! Na eżżż! Ż, ż, że, Żebrowski...*

Mikołaj Grabowski: *Żurowski, Żabiński, Żabczyński, Żytniówkiewicz...*

Jan Peszek: *Żytniówkiewicz! Żubrówkiewicz?*

Mikołaj Grabowski: *Rzygulski!*

Jan Peszek: *Nie! Nie! Żaba!*

Mikołaj Grabowski: *Żaba było!*

Jan Peszek: *Żo, żo, żo, ża.*

Mikołaj Grabowski: *Jean Gabin!*

Jan Peszek: *Tak! Joe Dassin!*

Mikołaj Grabowski: *Wiesz co? Ty nie myśl! To sobie przypomnisz.*

Fragment spektaklu *Kwartet dla czterech aktorów* Bogusława Schaeffera

Ateny. Wapienne wzgórze Akropolu. Pośród starożytnych dowodów na przemijanie cywilizacji wspaniały Odeon Heroda Attyka. Gwieździsta, ciepła noc. Na scenie próba dźwięku MW2. Nikt się nie spieszy. Bajeczna atmosfera. Siedzę z Bogusiem na kamiennych schodach audytorium. W kieliszkach i głowach lekko musuje białe wino Retsina. Z głośników słychać kompozycję Schaeffera zatytułowaną *BlueS* – jedną z niewielu harmonicznym. Nie każdy wie, że duże „S” w zestawieniu z początkowym „B” oznacza inicjały kompozytora.

- Boguś, jaki fantastyczny ten twój blues.
- Ano, udało się, naprawdę się udało.
- A z kim to nagrywałeś?

– Na saksofonie zagrał taki Amerykanin. David Pe, Pi...
Nazwisko jakoś na „pe”

– Pituch! Genialny facet!

– Właśnie! A na fortepianie jakiś kutas, sam słyszysz.

– No rzeczywiście. Jak mogłeś do tego dopuścić?

– Nie było nikogo innego, Andrzejku.

– A kto to właściwie gra?

– Ja!

Schaeffer uwielbiał takie wypuszczania, a ja kochałem poczucie humoru i nieszablonową osobowość, którą pięknie można było dostrzec w jego graficznych partyturach. Te zestawy dziwnych znaków wyglądały jak kody z przesłaniem Ziemi dla przybyszów z innej planety. Coś niesamowitego. Z jednej strony wyrażał siebie, rysując swoje dźwiękowe mapy, ale z drugiej pozostawiał ogromne pole do inwencji artystom, którzy z nim pracowali. Muzycy czy aktorzy byli wręcz zapraszani do improwizacji, przez co każdy koncert był inny. W Atenach doświadczyłem tego po raz pierwszy. Dzięki takim eksperymentom budzi się odwaga – cholernie potrzebna prawdziwej sztuce – oraz ochota wchodzenia w twórcze, acz ryzykowne zaułki, które zaraz po szkole aktorskiej z pewnością bym ominął. Na jednym z koncertów w holenderskim Middelburgu grałem na fortepianie przez piętnaście minut! Polegało to na odpowiednim pociąganiu strun otwartego instrumentu, czasami kopnięciu w niego, ucieczce i powrocie na stołek pianisty – wiedziałem, jak to robić. Było to elementem ośmiogodzinnego utworu, a raczej muzycznego happeningu Schaeffera pt. *Non-Stop*. To doprawdy była nowa muzyka! Koncert rozpoczął Marek Mietelski przy fortepianie. Po godzinie klawiaturę przejął Boguś, potem Adaś Kaczyński. Pomędzy nimi ja albo Janek

Peszek odprawialiśmy swoje harce. W połowie koncertu poszliśmy z Bogusiem do knajpy, pozostawiając niezbyt liczną widownię z kolegami artystami. Godziny powoli mijały, a nasz knajpiany stolik zapełniał się kolejnymi „uciekinierami”. Po kilku kolejkach rozrywkowych płynów w bardzo dobrych humorach wróciliśmy na salę koncertową, gdzie na fortepianie grał już tylko Adaś Kaczyński dla pustej sali. Sztuka musi się wydarzyć do końca – pomyślałem z podziwem dla kolegi. Skończył, a myśmy bili mu brawo. Adam nam się nisko kłaniał i wszyscy czuliśmy się wspaniale.

EPIZOD VI: ULLARED 5 KM

***Andrzej Grabowski:** Opowiem panu, co mi się dzisiaj przydarzyło. Kiedy rano wyjrzałem przez okno...*

***Jan Peszek:** Ja miałem lepszy wypadek! Wyjeżdżam z garażu, skręcam w bok i co widzę przed sobą?*

***Mikołaj Grabowski:** Co tam! Leżę ja z jedną dziewczyną u niej, aż tu nagle drzwi się otwierają...*

***Jan Frycz:** Tak! Niczego nie można przewidzieć! Ale to jest dobre, bo gdyby nie było niespodzianek, nie byłoby o czym opowiadać...*

***Andrzej Grabowski:** Więc wyglądam przez okno, padał lekki deszczyk...*

***Jan Peszek:** Skręcam w bok i co widzę przed sobą? Jakiś gość, zupełnie goły, leży mi na masce!*

***Mikołaj Grabowski:** W masce? Czemu?*

***Jan Peszek:** Na masce! Na mojej masce!*

***Jan Frycz:** Pan wyjeżdżał w masce?*

***Jan Peszek:** Chodzi o maskę auta.*

Mikołaj Grabowski: Zamaskować można wszystko.

Jan Frycz: Ale w końcu wszystko się wyda. Policja węszy, zanim jeszcze coś czuć!

Andrzej Grabowski: Ha! Od tego są! Tylko są zanadto widoczni.

Mikołaj Grabowski: Powinni chodzić w maskach!

Jan Frycz: Wszyscy powinni chodzić w maskach!!!

Andrzej Grabowski: Ale wówczas wzrosłyby przestępstwa.

Mikołaj Grabowski: Wzrostowi przestępstw towarzyszy nieodmiennie, jak to stwierdził Samuel Hozenduft z Uniwersytetu w Yale, wzrost dobrobytu danego kraju...

Jan Peszek: Więc ten goły krzyczy, żebym go zawiózł, tak jak jest!

Andrzej Grabowski: Goły?! Pan chciał powiedzieć „biedny”.

Mikołaj Grabowski: Dawniej na biednego mówili „goły” albo „golec”.

Jan Frycz: Jak mawiał poeta, „golec ma zwykle brzydki stolec”.

Andrzej Grabowski: Lecz za ideę może polec.

Jan Peszek: Na stryczku wzrasta jemu boleć.

Jan Frycz: Zboczeńców pełen jest dziś Solec.

Mikołaj Grabowski: Dopiero co ją poznałem, ale to szybko poszło. Leżę u niej. Nagle drzwi się otwierają, wchodzi jakiś gość i mówi: „Potem pan dokończy! A teraz niech mi pan odpowie na jedno pytanie. W jaki sposób można...”.

Jan Frycz: Przepraszam, czy pan wtedy leżał na niej, czy ona na panu?

Mikołaj Grabowski: A jakie to ma znaczenie?

Jan Peszek: No, proszę pana. Wiele zależy od położenia, w jakim się człowiek znajduje. Ten goły na przykład...

Andrzej Grabowski: Otworzyłem okno, żeby wpuścić świeże powietrze...

Jan Frycz: Taka wymiana wzajemna, jak to mówią. Pan świata nieświeże, świat panu świeże powietrze! W tym aspekcie zanieczyszczenie środowiska może mieć zupełnie inny wymiar! Otwieram okno i wpuszczam smród cywilizacji!

Jan Peszek: Jeszcze trochę i wszyscy będziemy mieć oddech świeżych spalin...

Jan Frycz: „Chuchnij!” – powie żona lub ukochana. „Wiem, gdzie byłeś! Byłeś w kościele!”.

Jan Peszek: W pustym kościele!

Jan Frycz: Tak! W pustym! Bez ludzi!

Andrzej Grabowski: Otworzyłem okno. Do pokoju weszło inne powietrze i nagle poczułem, że ktoś za mną stoi...

Mikołaj Grabowski: Kto?

Andrzej Grabowski: Odwróciłem się i już go nie było.

Mikołaj Grabowski: To zdawało się panu.

Jan Peszek: To mi wygląda na postępującą chorobę psychiczną. Zaczyna się od przywidzeń, a potem wiadomo...

Andrzej Grabowski: Pan mnie ma za wariata? Pan myśli, że ja opowiadałbym wam takie rzeczy, gdyby coś było ze mną nie w porządku?

Jan Peszek: A kto tam pana wie? Wariaci są przebiegli...

Fragment spektaklu *Kwartet dla czterech aktorów* Bogusława Schaeffera



Zespół MW2 na promie w drodze na Bornholm. Od lewej: Jan Peszek, Halina Skubis, Andrzej Kierc i Andrzej Grabowski. Rok 1986

Abstrahując od tego, że byłem zachwycony możliwościami wyjazdów z MW2 za granicę i tym, że mogłem poznawać świat – był wtedy o wiele bardziej zróżnicowany i ciekawszy niżli ten obecny – to nie ukrywam, że ważnym aspektem były honoraria. MW2 to była bardzo intratna dodatkowa działalność. Koncerty zagraniczne wypadały dwa, trzy razy do roku, a z jednego można było przywieźć nawet trzysta dolarów, w czasie gdy przeciętne zarobki w Polsce nie przekraczały dwudziestu. Podczas wyjazdów oszczędzaliśmy, na czym się tylko dało – różnymi sposobami. Na przykład gdy jechaliśmy na koncert do Padwy, Adaś Kaczyński tak zorganizował podróż, że po drodze zagraliśmy koncert w szkole muzycznej w austriackim Grazu za nocleg ze śniadaniem.

Innym razem nocowaliśmy w Oslo u kuzynki Krzyśka Suchodolskiego, Gabi Bogusławskiej, z domu Zamoyskiej – z tych Zamoyskich. Gabi wyszła za mąż za Marcina Bogusławskiego, pasierba słynnego Wiktora Lutosławskiego. Podkreślam to, ponieważ w wyniku tych okoliczności spędziłem kilka nocy wraz z „Suchym” w wielkim łóżu kompozytora. W dniu powrotu Krzyśkowi zepsuł się samochód, musiał więc zostać w Oslo, żeby go naprawić, a myśmy w pięciu chłopa zapakowali się do „garbusika” Mikołaja. Byliśmy w tym autku ułożeni jak puzzle – żadnej straty miejsca. Najpierw trójka wsiadała do tyłu. Wszyscy pasażerowie musieli usiąść bokiem, żeby się jakoś dopasować. Na nich leżały fraki, kostiumy i zakupy – tak że tylko głowy wystawały. Jechaliśmy stłoczeni jak sardynki w puszce, gdy nagle ktoś oznajmił, że podobno w Szwecji, w miejscowości Ullared, która będzie po drodze, są tanie buty – no, po prostu taniocha. Ja mówię: nie! Nie mamy już miejsca! Kiedy jednak po dwóch godzinach zobaczyliśmy drogowskaz: „Ullared 5 km”, Mikołaj bez wahania zjechał z autostrady. Nikt się nie buntował. Nie wiem jak, ale kilka pudełek z butami dopchnęliśmy do reszty bagażu, więc ledwo spod niego wystawaliśmy. Nagle naszym oczom ukazał się wielki napis „Ikea”. Nie! Do Ikei nie ma mowy – krzyczę! Na co Mikołaj, że przecież zobaczyć można. Weszliśmy i oczywiście wracamy z pinklami. Czekamy jeszcze przed sklepem na Janka, kiedy nagle widzimy, jak wychodzi i niesie nakładkę na biurko wielkości porządnego stołu!

– To dla dzieci – wyjaśnia. Trudno się złościć w tej sytuacji.

– Dobra. Pakujemy i prujemy już prosto na prom! – zarządza zdecydowanie Mikołaj.

– Zaraz! Moment! – przerywa Peszek. – Chłopaki, wylejcie, proszę, herbatę i pożyczcie mi swoje termosy. Na parkingu

zagotuję wam świeżą z palnika.

– Ale na co ci one? – zdziwiony pytam.

– Tam są lody pistacjowe. Moja rodzina nigdy takich nie jadła. Poproszę, żeby mi załadowali do termosów, i jakoś do Krakowa dowiozę.

My po prawdzie też nigdy takich lodów nie jedliśmy. Ale czego się nie robi dla uśmiechu dziatwy. Zanim Peszek dojechał do domu, była już zupa pistacjowa. Po wizycie w Ikei władowaliśmy się do samochodu – nikogo już nie było widać. Mikołaj tylko miał miejsce do kierowania, a i tak nie za dużo. Byleby tylko biegi zmieniać i żeby Peszek nie blokował.

Przed wjazdem na prom wszyscy odetchnęliśmy, ponieważ zobaczyliśmy uśmiechniętego „Suchego” w jego fiacie 125p. Zdążył go naprawić i jeszcze nas przegonić. Przeładowaliśmy część rzeczy, ja też się do niego przesiadłem i ruszyliśmy dalej. Krzysiek był pasjonatem rajdów samochodowych. Niejednokrotnie brał udział w amatorskich zawodach. Pod maską miał silnik od sportowego fiata 124. Nieraz zasuwałem z nim 170 na godzinę, co w tamtych latach było bliskie prędkości światła. Na polskich drogach już nie bał się o mandat i sprawdzał możliwości swojej maszyny. W pewnym momencie słyszę, coś stuka. Oglądam się za siebie – kłapa bagażnika podskakuje! „Suchy! Ja pierdolę, chyba się otworzył bagażnik! Tam są nasze buty! Stawaj!” Bagażnik był już prawie pusty. „Suchy”, jak kierowca wyścigowy, z piskiem zawrócił auto i pognaliśmy szukać tego, co mogło wypaść. Widzimy nagle TIR-a na poboczu i kierowcę, który wyciąga nasze rzeczy z przykopu i wkłada je do siebie. Nie dziwię mu się, znalazł!

– Proszę pana! To są nasze rzeczy! Tylko nam wypadły! – krzyczę przez otwarte okno.

– A skąd ja mam to wiedzieć?

- Jesteśmy aktorami, wracamy z zagranicy i to są nasze zakupy.
 - Niech pan mi tu wariata nie gra. Przecież widzę, że buty pan wieziesz na handel.
 - Pan mnie ma za wariata? Pan myśli, że ja opowiadałbym wam takie rzeczy, gdyby coś było ze mną nie w porządku?
 - A kto tam pana wie? Wariaci są przebiegli...
- Po odpaleniu znaleźnego nasz bagażnik był znowu zapakowany na full. Przez takie wspólne wyjazdy z przygodami tworzyły się między nami wspaniałe relacje na całe życie.

EPIZOD VII: KONOPIELKA

Wszystko, co jest w muzyce możliwe, jest muzyką. Możliwości nowej muzyki są praktycznie nieograniczone, co nie oznacza, że leżą one przed każdym kompozytorem w zasięgu jego wyobraźni, tak blisko, że wystarczy tylko sięgnąć po nie ręką. Z całą pewnością spora, a nawet większa część możliwości nowej muzyki leży poza zasięgiem wyobrażenia przeciętnego muzyka.

Ja właściwie to na nic tak nigdy nie chorowałem. Takie duperele zawsze miałem, katar, grypka, bo to ludzie kichają – idzie taki, wirusem strzeli. Czerwonki nie miałem, a jadłem te jabłka, gruszki obsrane przez muchy. Ospę miałem! Tu mam nawet taką dziurę – ale to i tak dobrze, że wykrobałem, bo inni tacy dziobaci chodzą. Pani doktor jak przychodziła do mnie, to było fajnie, bo się tak nachylała i było widać wszystko. Miałem przyjemność wtedy.

W dobie obecnej głównym tematem jest destrukcja muzyki. Aby muzyka mogła się odrodzić, należy zniszczyć jej zasadnicze podstawy. Wszystko może być podstawą muzyki. Może być idealny dźwięk instrumentalny, a obok niego dźwięk

zdeformowany przez zastosowanie niekonwencjonalnych sposobów wykonawczych. Wszystko zależy od substancji estetycznie działającej na materiał nieestetyczny, zdeformowany, przekształcony tak, aby z pierwotnej estetyki dźwięku pozostało jak najmniej.

Fragment spektaklu *Audiencja V* Bogusława Schaeffera

Schaeffer był niesamowicie płodnym artystą. Swoje kompozycje i scenariusze od razu przelewał na papier. Pisał w każdym miejscu – bez względu na to, czy był to samolot, czy toaleta. Często pisał „pod aktora”. Monodramy Schaefferowskie były wykładami na temat sztuki i muzyki. Przeplatane błyskotliwymi dygresjami pozostały aktualne do dziś. W połowie lat 70. wymyślił *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego*. Napisał go specjalnie dla Peszka. Janek gra ten spektakl do dziś. Mikołajowi przypadła *Audiencja II*, a później z myślą o mnie powstała *Audiencja V*. Pierwszy raz zagrałem ją w 1980 roku na koncercie „Muzyka i teatr Bogusława Schaeffera” w rzeszowskiej filharmonii. Wówczas była to krótka forma, oparta tylko na tym, co napisał Boguś. Przez kolejne lata grałem ten spektakl okazjnie, aż w 1986 roku dotarłem z nim na Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora w Toruniu i to był przełom. Otrzymałem Grand Prix, a telefonów z gratulacjami od przyjaciół nie nadązałem odbierać. Ruszyło. Zacząłem grać *Audiencję V* na potęgę. Z grania na granie spektakl się rozwijał – coś dorzucałem do tekstu, improwizowałem, bawiłem się formą. Ostatecznie w tekście było mniej Schaeffera niż Grabowskiego, ale przecież o to właśnie mistrzowi chodziło.



Audiencja V. Teatr STU (Kraków). Rok 1988

Wkrótce na plakacie Teatru Tarnowskiego, który promował *Audiencję*, można było przeczytać: „Zobacz, jak zabawny może być wykład filozoficzno-estetyczny!!!” Filozoficzny w kontekście muzyki – z pewnością. Co do estetyki, tu zdania mogą być podzielone. Spektakl zaczyna się kulturalnie. Pojawia się człowiek w garniturze z walizką. Szykuje sobie miejsce, żeby poprowadzić wykład. Wyjmuje z walizki różne przedmioty. Stare gazety, zapalniczki, niewielki magnetofon. Rozpoczyna poważny naukowy wykład na temat nowej muzyki, ale pomiędzy intelektualnymi rozprawami opowiada kompletne pierdoły. Wreszcie oznajmia, że jest głodny. Wyciąga maszynkę spirytusową – taką jakiej używaliśmy podczas podróży z MW2 po Europie – małą patelnię i zaczyna smażyć jajka. Obżerając się, wspomina o Knucie Hamsunie, norweskim nobliście, który napisał powieść *Głód*. W końcu się wkurza i wypieprza jajecznicę na publiczność. Nie wiadomo do końca, czym była *Audiencja V*. Parakabaretowym happeningiem? Zapotrzebowanie na taki teatr istniało, nie tylko w Polsce. Spektakl w tłumaczeniu świętej pamięci Andrzeja Jakimca na język angielski prezentowałem w Londynie, Glasgow, Budapeszcie, Sztokholmie, Zurychu, a nawet w Filadelfii i Nowym Jorku na Broadwayu. Czy to tłumaczenie było dobre? Nie potrafię tego ocenić, ale skoro podobało się za granicą, to chyba tak. A tak szczerze, to nigdy nie było wiadomo, czy ludzie czasami nie wstydzą się, że nie rozumieją, i tylko klaszczą z uznaniem. A potem mówią, że genialne, nowatorskie i fantastyczne. Zapłacili za bilety, to wstyd się przyznać, że się nie podoba. No! Chyba że jest się ze wsi Kozarek.

Zostałem raz zaproszony do teatru w Olsztynie. Ale żeby wyjazd mi się opłacił, bo z Krakowa trzeba było ponad 500 kilometrów jechać, to organizatorzy ustawili dodatkowe występy w kilku

mniejszych miejscowościach i wsiach. Tak trafiłem do klubu rolnika o wielkości dużego pokoju we wsi Kozarek. Wchodzę. Czeka na mnie tylko kobita w chuście – kierowniczka. Już się ucieszyłem, że skoro nikogo nie ma, to wieczór mam wolny.

– Panie! Przyjdą, bo są już umówieni.

– No ale jak? 5 minut do występu, a tu nikogo nie ma.

– Panie. Myśmy się umówili, że jak pana we wsi zobaczą, to Zenek ze straży włączy syrenę i przyjdą.

I faktycznie, w tej chwili syrena zawyła, jak kiedyś w Alwerni. Przyszło ich kilku. Może ośmiu, może dziesięciu – ale i tak był ścisk na sali. Oni w gumofilcach, a ja: „Wszystko, co jest w muzyce możliwe, jest muzyką. Możliwości nowej muzyki są praktycznie nieograniczone...” Kurczę, jak w *Konopielce* Redlińskiego! Chłopy pospuszczali głowy jak w kościele. Było im wstyd patrzeć, co ja na tej „scenie” wyprawiam. Robię jajecznicę, tylko baba patrzy zdziwiona, a ja do tego cebulę kroję w rytm V Symfonii Beethovena. TATATATA!!! TATATATA!!! Kurwa jego mać. Świr! Jak obrzuciłem tych chłopów jajecznicą – końcówką jajecznicy, bo większość zjadłem – to oni dalej gapili się w swoje buty. Zaraz potem mówiłem: „Pić mi się chce”, i zabierałem się do parzenia kawy. Wodę miałem w metalowym pojemniku. Wlewałem ją do okopconego garnuszka – zanim się zagotowała, to już baba na zapleczu mi zrobiła herbatę i przyniosła. Wziąłem, co miałem robić. Kiedy skończyłem, pokłonili się grzecznie i wyszli. Nie klaskali. Potem dostałem informację z Estrady Krakowskiej, z którą nie miałem nic wspólnego, że ktoś napisał do nich donos: „Przyjechał pijany aktor i jajka u nas smażył. Kto to widział? Na pewno był pijany, no bo jak takie rzeczy wyprawia na scenie, to musiał być pijany”

15 lat temu powiedziałem sobie, że już nie będę grał mojej *Audiencji*. Kiedy pokazywałem ją jako nikomu nieznanemu aktorowi, była w tym jakaś prowokacja ze strony młodego człowieka. Od kiedy stałem się Kiepskim, wszyscy odbierali to jednoznacznie – przyjechał Ferdek i robi sobie jaja jak berety. Czułem, że przestało mieć to sens.

EPIZOD VIII: REŻIMOWY

Mikołaj Grabowski: Nawet napad na bank musi być wyreżyserowany. Tak jest! Zagrany i wy-re-ży-se-ro-wa-ny. Każdy ruch, każdy gest! Od tego reżyser jest. Tak, nawet napad na bank, a także obława, prowokacja polityczna, entuzjizm tłumów, powodzenie spektaklu. Wszystko! Wszystko musi się wyreżyserować! Bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Chaos, zamieszanie wyjdzie, gówno wyjdzie.

Jan Peszek: Wyjdzie pan ze mną na chwilę przejść się? Mam dwie sprawy do załatwienia, króciutkie. A później chciałem z panem omówić muzykę do sztuki. Moim zdaniem do sztuki niepotrzebna jest muzyka. Podobnie jak do muzyki niepotrzebna jest sztuka. Porozmawiamy o tym po drodze. Wie pan, ja jestem idealistą i chciałbym nim pozostać. Ja wiem, że kompozytorom daje się czasami zarobić w teatrze. Ale mnie to poniżej i sztuce najczęściej wcale to nie jest potrzebne. Muzyka do Wilde'a, Ibsena, Moliere! Daruje pan! Ale muzyką zapycha się czas, po to by się nie dłużył. A on się i tak dłuży. Jak sztuka głupia lub źle wyreżyserowana, to się dłuży. Napijemy się czegoś po drodze?

Mikołaj Grabowski: Jak pan nie chce, to niech pan nie pisze, ale niech pan nie robi z tego problemu.

Jan Peszek: Ja nie robię problemu. Ja mówię poważnie. Jak panu tak bardzo na muzyce zależy, to dam panu coś gotowego. Co się będę wysilał?

Mikołaj Grabowski: Ale robicie problemy, bo wasza twórczość przebiega w izolacji, w samotności! Smaruje pan nuty, tamten kretyn maluje przed siebie – byle co i zadowoleni. A ja muszę dziesiątki ludzi obsługiwać swoim talentem.

Fragment spektaklu *Scenariusz dla trzech aktorów* Bogusława Schaeffera



Zespół MW2 w trasie. Stoją od lewej: Krzysztof Suchodolski, Adam Kaczyński, Bogusław Schaeffer, Andrzej Kierc, Mikołaj Grabowski, Andrzej Grabowski, Marek Mietelski. Kucają od lewej: Jan Peszek, Halina Skubis

Dostaliśmy zaproszenie ze Szwecji. Koncert MW2 miał się odbyć w sztokholmskim domu kultury w kwietniu 1982 roku, czyli w samym środku stanu wojennego w Polsce – tu obowiązywała

godzina milicyjna, a nasze paszporty były zamknięte na cztery spusty w pancernych szafach Pagartu. Wyjazd stanął pod znakiem zapytania, kiedy Jankowi Peszkowi odmówiono wydania paszportu. Peszek stał się wrogiem Polski Ludowej, bo jego mama mieszkała w Stanach. Na naszych paszportach była za to pieczętka informująca o prawie do jednorazowego przekroczenia granicy oraz powrotu. Janek namawiał nas, żebyśmy pojechali bez niego i mimo wszystko zagrali.

Ruszyliśmy nocą – z Krakowa do Świnoujścia. We wszystkich miastach na rogatkach kontrole ZOMO. Idiotyczne pytania zadawane w koło Macieju. Tłumaczenie się, kim jesteśmy, po co jedziemy i tak dalej. Bardziej rozgarnięci zomowcy, widząc paszporty służbowe, bo na takich podróżowali wtedy artyści, bili o czapkę palcami i grzecznie puszczali dalej, bo nie byli pewni, czy nie jesteśmy aby jakimiś ważniakami z „kumitetu”. Póki nie wjechaliśmy na prom, nie byliśmy pewni, czy uda nam się wyjechać z kraju. Po przekroczeniu granicy czuliśmy się, jakbyśmy wyszli z ciemnej groty. Z ulgą zatrzymaliśmy się na kawę. Nie wszyscy pochwalali ten pomysł, głównie ze względów finansowych. Na taką szwedzką filiżankę czarnego płynu niektórzy pracowali dwa dni w Polsce. Oszczędniejsi postanowili pozostać na parking, zadawalając się kanapkami i pieczonymi kurczakami odwijanymi z „Trybuny Ludu”. Ja skusiłem się jednak na kawę, do której podano mi dziwne małe kartonowe piramidki. Szybko rozszyfrowaliśmy, że to śmietanka, tylko nikt nie wiedział, jak ją otworzyć. Obracaliśmy ją w palcach niczym kostkę Rubika i nic. Może ktoś usiądzie stolik obok z tym samym, to podejrzemy. Usiadł jakiś Szwed, ale tak szybko otworzył i wlał do filiżanki, że tylko pokręciliśmy głowami. W ruch poszły zęby i scyzoryki, co skończyło się tylko plamami na koszulach. Ale to i tak lepiej niż w

Göteborgu, gdzie pomyliłem mleczko w proszku ze środkiem do czyszczenia śraczy i wypaliło mi język. Takich sytuacji była cała fura. W wielu stolicach świata czuliśmy się jak horda mongolska. Po przyjeździe do hotelu w Sztokholmie zastanawialiśmy się, jak wybrnąć z tego, że *Kwartet dla czterech aktorów* odegra trio. Wtem ktoś puka do pokoju. Otwieram i widzę Karola Cicheckiego – kolegę ze studiów, który dawno temu osiadł w Szwecji. „Zagrasz w *Kwartecie*?” – zapytałem. „No pewnie!” On jechał po szwedzku, my po angielsku. Było jeszcze bardziej awangardowo!

Podczas próby przed domem kultury pojawiła się grupka Polaków. Bynajmniej nie byli to fani MW2, tylko ludzie protestujący z transparentami. Krzyczeli: „Reżimowi artyści!” Strasznie mnie to wzburzyło. Wypadłem do nich i nie zdzierżyłem. „Tacyście bohaterowie?! To jedźcie z nami! Tam, w Świnoujściu, kurwa, czołgi stoją! Tam stańcie i krzyczcie, co teraz krzyczycie!” Wieczorem odegraliśmy spektakl przy pełnej sali i aplauzie publiczności. Ale niesmak pozostał. Czym zawiniliśmy tym biednym ludziom?

Podczas powrotu do Polski „Suchy” zastanawiał się, co tym razem SB wyciągnie z rękawa. W związku z tym, że jego mama mieszkała w Paryżu, regularnie, po każdym wyjeździe za granicę był wzywany do spowiedzi. Opowiadał nam o tym natychmiast, żeby nie było zaskoczenia – no takie, kurwa, były czasy. Kiedyś w miejscowości Louvain-la-Neuve zamówił w hotelu piwo do śniadania. Ja zszedłem osobno do restauracji na lekkim rauszu z dnia poprzedniego. Wokół sami obcy ludzie – nie wiedzieli, że to mój znajomy. Zobaczyłem jego kufelek stojący na stoliku, podszedłem i dla kawału wychyliłem, po czym poszedłem dalej. W Polsce, już w komendzie, „Suchy” opowiadał o wyjeździe, co graliśmy, jak nas przyjęli, na co jeden sierżant pyta: „A jak

Grabowski Andrzej wypił panu to piwo, to jak to było dokładnie? Takie były ich zagrywki. A to miało oznaczać jedno – jeżeli oni wiedzą, że Grabowski o ósmej rano zszedł podpity, wypił piwo i poszedł – to oni wiedzą wszystko. Gdy mijaliśmy kolejne szlabany podczas powrotu do Krakowa, nie mogłem oderwać myśli od transparentów z hasłem „Reżimowi artyści”

EPIZOD IX: MAŁPA

Jan Peszek: Ja nie wiem, jak do tego doszło. Jak to się stało? Ale świat przestaje mieć sens.

Jan Frycz: Nasze poczucie rzeczywistości jest już tylko mechaniczne. Człowiekowi współczesnemu brakuje kontaktu z rzeczywistością.

Mikołaj Grabowski: Kontakt, bez którego życie nasze odarte jest z tego, co najistotniejsze.

Andrzej Grabowski: Wczoraj spotkałem Kazka. Cholernie się postarzał. A, i przestał być elegant.

Mikołaj Grabowski: Brak tkanki metafizycznej w naszym życiu osłabia nasze poczucie istnienia.

Jan Frycz: Daje mu wszakże, przyznam to, nieco innej głębi.

Jan Peszek: Ale rozrywa więzy pomiędzy tym, co jest istotne, a co jest niewyraźne. A to jest dramat...

Andrzej Grabowski: Dramat! Dramat! Wiecie, po czym poznałem, że z Kazkiem coś jest nie tego? Po łupieżu. Kazek miał zawsze cholernego łupieża, ale potem spotkał kobietę swojego życia i łupież zniknął jak ręką odjął, sam to widziałem.

Jan Peszek: Świat przestaje mieć sens. A wszystko, co robimy, transcendentnie wkracza w dziedzinę mechanizmów.

Jan Frycz: Mechanizmów potęgowanych przez jakby modalny stosunek człowieka współczesnego do otaczającego go świata.

Mikołaj Grabowski: Uderzająco modalny staje się też stosunek człowieka do śmierci.

Andrzej Grabowski: Co to znaczy kobita! Nawet z łupieżem sobie poradziła. I to jak szybko!

Mikołaj Grabowski: Łupież, proszę pana, pojawia się jako wynik łuszczenia się powierzchniowych warstw naskórka na owłosionej skórze głowy. Martwe warstwy naskórka oddzielają się w postaci łusek u osobników pod względem higieny zapuszczonych. To mogą być płaty sporych rozmiarów. Niestety, kobieta nie może być uznana za antidotum na tę przykrą dla człowieka dolegliwość. Jak byśmy kobiet nie stawiali wysoko „ein Weib bleibt nur Weib”, jak powiada Emanuel Rosshaar – w tłumaczeniu dla pana: „kobieta pozostaje tylko kobietą”. Modalny stosunek człowieka do śmierci wyzwala w nim nowe poczucie rzeczywistości.

Jan Frycz: Niestety, temu poczuciu odbiera się dziś wszelkie domniemanie!

Mikołaj Grabowski: Po prostu powracamy do naszego ja, które nie jest już naszym ja!

Andrzej Grabowski: Co pan!!! Kobita potrafi z chłopem zrobić wszystko. Co pan!!! Niech pan poczyta pod tym kontem Ferruccio Mantovaniego „L'influenza della femini alle forze creative del grandi artist”. Panie, ile wspaniałych dzieł powstało dzięki wpływowi kobiet.

Fragment spektaklu *Kwartet dla czterech aktorów* Bogusława Schaeffera

W 1981 roku w Krakowie poznałem piękną Szwajcarkę. Pojechała ze mną do Middelburga na ośmiogodzinny koncert

MW2. Dusza romantyka podpowiedziała mi, że za zarobione pieniądze powinienem kupić porządny wózek, co zrealizowałem jeszcze w Middelburgu. Pozostawiwszy w niemieckim komisie 400 marek, wracałem z moją damą nowym, choć wcześniej używanym chryslerem sunbeamem. Będąc spłukanym, nie spodziewałem się, że właśnie zrobiłem interes życia. W Krakowie zdecydowaliśmy, że wakacje spędzimy u niej w Zurychu. W drodze do Szwajcarii zahaczyliśmy turystycznie o Salzburg, gdzie kiedyś występowałem z MW2. Chciałem pokazać mojej dziewczynie teatr, ale zaszliśmy też do restauracji, którą dobrze wspominałem. Światową rozpoznawalność, niekoniecznie artystyczną, trupy MW2 potwierdził kelner. Kiedy usiedliśmy do stolika, podszedł uśmiechnięty i zagadnął: „Panie Andrzeju, cieszę się, że znów pana widzę, czy podać to, co zawsze?”. W drodze do naszego celu uświadomiłem sobie, że nie mam wizy i nie wolno mi wjechać do Niemiec. Nie chciało mi się jednak nadrabiać drogi w kierunku Innsbrucka, więc postanowiłem „przeciąć” terytorium Republiki Federalnej Niemiec. Wjechaliśmy bez większych kłopotów. Jednak wyjazd z powrotem na terytorium Austrii został zablokowany przez celników, którzy bez ceregieli zamknęli mnie w areszcie. Moja Szwajcarka w zaistniałej sytuacji tłumaczyła, ile sił, i chyba przyniosła nam szczęście. Jej urok zadziałał na służby graniczne, które wypuściły mnie, ale dla przykładu postanowiły ukarać mandatem.

- Ile pan zarabia?
- Mam podać w markach czy złotychkach?
- W markach.
- Mam przeliczyć po kursie oficjalnym czy prawdziwym, jaki chodzi u cinkciarza?
- Prawdziwym.

- 30 marek.
- Na godzinę? Czy dziennie?
- Na miesiąc.
- Jedź pan już!

Przejazd przez Alpy to najlepszy pomysł na romantyczną podróż. Jednak kiedy wjeżdżaliśmy do Zurychu, w nasz samochód uderzył szwajcarski kierowca. Byłem załamany, widząc pokiereszowany bok chryslera. Winowajca powiedział mojej Szwajcarce, żebyśmy się nie martwili, bo on ma ubezpieczenie i wszystko zostanie uregulowane, tylko jak najszybciej trzeba wycenić szkodę. Nie dowierzając, pokiwałem głową, że rozumiem. Po kilku dniach otrzymałem we frankach szwajcarskich równowartość 700 marek! A wakacje dopiero się rozpoczynały. Przez trzy miesiące cieszyłem się spokojem, ciepłym, wieloziarnistym chlebem na śniadanie i piękną kobietą. To był tak odległy od polskiego świat, że nawet samochodu nie trzeba było myć. Bo się nie brudził. W międzyczasie wyskoczyłem zagrać spektakl z MW2 do Lucerny. To zaledwie 40 kilometrów od Zurychu, więc pojechałem pociągiem. Szwajcarka odprowadziła mnie na dworzec i znów zrobiłem z siebie małą. W toalecie umyłem ręce. Patrząc, wisi taka szafka, a z niej wystaje ręcznik. Świetnie! Wytarłem ręce i widzę, że ten ręcznik stał się strasznie wymięty i mokry, gdy przy pozostałych skrzynkach wiszą czyste. Z jednej strony wstyd, że naświniłem, a z drugiej strach, że mi zaraz każą za to płacić! Boję się z tego sracza wyjść i co kto wchodzi, to ja wycieram te ręce! I tak długo wycierałem, aż ktoś zrobił to samo – pociągnął, brudne się schowało, a czyste wyszło na zewnątrz. Magia jakaś, pomyślałem i wyszedłem. Kiedy Szwajcarce opowiedziałem o zajściu w toalecie, popukała się w swoje czoło, a moje pocałowała. Żegnałem ją we wrześnie, kiedy musiałem wracać do kraju prosto na Warszawską

Jesień, gdzie wystawialiśmy *Kwartet* Schaeffera. Tuląc się do siebie, cieszyliśmy się już na spotkanie w Polsce, a później wspólny wyjazd do Berlina na sylwestra. Tymczasem miesiąc wcześniej Mikołaj został wybrany, z pomocą działaczy „Solidarności”, na dyrektora Teatru Polskiego w Poznaniu. Z tej okazji w stolicy poszliśmy razem na obiad, pan dyrektor zaprosił mnie do Hotelu Europejskiego. Pamiętam, że byłem przerażony tym, co się dzieje w Polsce – bida postępowała, a sytuacja zmieniała się lawinowo. Tymczasem ja jedną nogą byłem jeszcze na szwajcarskich łąkach, gdzie miałem wszystko. Gdy kelner podał nam coś nijakiego do jedzenia, polaliśmy wódkę i Mikołaj odpala: „Słuchaj, jak ja mam dobrze, Andrzejku. Jest u mnie w teatrze taka bufetowa, która może mi załatwić kurczaków, ile chcę! I to bez kartek. Jak potrzebuję wódkę, to też mówię jej i ona przynosi, a ja od niej kupuję”. Ja go słucham, oczy szeroko otwieram, myślę: przecież to mądry człowiek jest. Co się stało, że takie pierdoły opowiada? Po czym już po miesiącu do niego dzwoniłem: „Mikołaj, mógłbyś mi tego kurczaka załatwić?”. Posiedziałem miesiąc w Polsce i moja perspektywa zmieniła się kompletnie. Kto wie, jak poukładałoby się moje życie, gdybym w 1981 roku pojechał na tego sylwestra? Ale 13 grudnia było już pozamiatane. Szwajcarka nawet nie zdążyła przyjechać. A potem się bała, bo była Polką z pochodzenia. Ja nie wyjechałem. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, do stanu wojennego też. Tak było i koniec. Trzeba było żyć.



19. południk. Z Cezarym Kosińskim. Rok 2003

19. POŁUDNIK

MAKING OF

W 2003 roku Julek Machulski, z którym uwielbiam pracować, zaproponował mi olbrzymią rolę prezydenta Bartłomieja Czopa w swojej sztuce pt. *19. południk*. W Polsce niebawem miało się odbyć referendum w sprawie naszego przystąpienia do Unii Europejskiej. Sztuka Machulskiego była alternatywną wersją nadchodzących wydarzeń. Julek napisał mocne political fiction opakowane w groteskowy humor. Tu Polacy głosują przeciw wstąpieniu do Unii, a kraj wkrótce pogrąża się w totalnym chaosie. W takich warunkach prezydentem zostaje demagog i prymityw Bartłomiej Czop.

„19. południk” oprócz swojej ostrej wymowy politycznej jest po prostu dobrym, świetnie zagranym spektaklem telewizyjnym, jakiego dawno nie było. Jakże szatański jest pomysł obsadzenia w roli prezydenta Czopa Andrzeja Grabowskiego. To aktor bardzo sprawny, który potrafił ciągnący się za nim bagaż Kiepskiego dobrze wykorzystać. Tak, prezydentem Polski może dziś zostać postać żywcem wyjęta z sitcomu.

Jacek Lutomski, „Rzeczpospolita”, 2 grudnia 2003

Pamiętam tony tekstu, który musiałem opanować. Klepałem te dialogi wieczorami w trakcie nagrywania kolejnych odcinków *Kiepskich*. Wreszcie Julek Machulski zebrał całą naszą ekipę –

między innymi Jurka Stuhra, Janka Englerta, Janka Frycza, Janka Machulskiego – i pojechaliśmy do pałacu w Jabłonce pod Warszawą, by zrealizować spektakl dla Teatru Telewizji.

Niecierpliwie wyczekiwałem premiery. Byłem ciekawy odbioru sztuki Julka przez widzów, media i polityków. Jednak z jakiegoś powodu była miesiącami odwlekana. O kulisach dowiedziałem się kilka lat później. Na jakiejś prywatnej imprezie podszedł do mnie były premier Leszek Miller – pogratulował mi roli Bartłomieja Czopa, przeprosił i wygadał się, może przypadkiem, jak to było i dlaczego TVP tak długo zwlekała z tą premierą. Okazało się, że ówczesny prezes telewizji Robert Kwiatkowski zadzwonił do niego, mówiąc, że ma bardzo kontrowersyjną sztukę nagrany dla Teatru Telewizji i w obliczu zbliżającego się referendum nie wie, co z nią zrobić. Kwiatkowski zaproponował, żeby premier najlepiej sam zobaczył, o czym mowa, i zaprosił go na prywatny seans. Miller nie chciał brać na siebie odpowiedzialności, więc zadzwonił do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który również został zaproszony do Telewizji, by zobaczyć na własne oczy kontrowersyjne dzieło i zdecydować, co dalej. Ostatecznie panowie ustalili, że spektakl należy puścić, ale po czerwcowym referendum. Premiera sztuki miała miejsce 1 grudnia 2003 roku, gdy nielegalne płyty z nagraniem od paru miesięcy krążyły już po kramikach Stadionu Dziesięciolecia.

Wstrzymując emisję „19. południka”, zrobiono spektaklowi reklamę najlepszą z możliwych. Tego nie osiągnęłaby nawet najlepsza i najdroższa agencja PR.

Można spytać: czego się obawiano? Że naród dopiero po obejrzeniu poniedziałkowego teatru dostrzeże, iż w kraju rządzą idioci, a światła opozycja jest równie beznadziejna jak ci, którzy dorwali się do władzy?

Krzysztof Masłoń, „Rzeczpospolita”, 2 grudnia 2003

JESTEM JAK MOTYL

Zawodowo ryzykowałem zawsze. Egzaminem do Szkoły Teatralnej, potem byciem aktorem w teatrze, jeszcze później film, serial, kabaret, napisanie książki, w końcu prowadzenie programu o książkach. Pomyślałem, że skoro tak wiele już ryzykowałem, to może podejmę kolejne wyzwanie i wydam płytę? Efekt trzymacie Państwo w ręku. Tym, którym się nie spodobała, postaram się jakoś to wynagrodzić. Może zacznę malować?

Te słowa napisałem na obwolutę mojej debiutanckiej płyty pt. *Mam prawo... czasami... banalnie*, która miała premierę w 2010 roku. Kilka tygodni po wydaniu albumu otrzymałem wiele entuzjastycznych recenzji, jednak najbardziej zapadł mi w pamięć SMS od Piotra Najsztuba: „Panie Andrzeju, kupiłem pańską płytę. Wysłuchałem w całości. Proszę zacząć malować”. Uśmiełem się z tego bardzo! Zrobiło mi się cholernie miło i szczerze podziękowałem mu za słowa uczciwej krytyki. Zanim jednak doszło do wydania tego krążka, wydarzyło się kilka przygód, ośmielających mnie jako faceta, który nie grzeszy głosem.

W 2008 roku zgłosiło się do mnie dwóch młodych muzyków z Częstochowy – Krzysiek Niedźwiecki i Marcin Lamch. Przygotowywali się do koncertu poświęconego pamięci Jana Himilbacha i Zdzisława Maklakiewicza, który miał mieć miejsce w trakcie Festiwalu Gwiazd na Targu Węglowym w Gdańsku. Zaprosili mnie do udziału i zaśpiewania dwóch piosenek: *Małe piwko* Maklakiewicza i *Jestem jak motyl*, napisanej i skomponowanej na tę okazję specjalnie dla mnie. Nieopatrznie się

zgodziłem. Kiedy zobaczyłem na próbach Hanię Banaszak, Staszka Soykę, Maćka Maleńczuka i wielu innych znakomitych artystów, pomyślałem – ki diabeł mnie podkusił? Gdzie ja się pcham? Cóż, wyszedłem i zaśpiewałem. Niech Bóg wybaczy mi to, co wyczyniałem na tej scenie. Nie wchodziłem w rytm, z tonacją też bywało na bakier. Polacy na całym świecie mogli to zobaczyć, ponieważ koncert był transmitowany przez TVP Polonia, a później powtarzany przez telewizyjną Jedynkę. To był występ, który chciałoby się zapomnieć i zatrzeć po nim wszelkie ślady – niestety, internet pamięta. Po koncercie koledzy poklepalili mnie z otuchą po plecach i zapewniali, że w studio będzie lepiej. Mieli bowiem w planach nagranie płyty z piosenkami z tego koncertu, na co też już wcześniej się zgodziłem. Okazało się, że mieli rację, bo jak się nagrywa w studio, to robi się to tak długo, aż jako tako się nagra. Rok później ukazała się płyta pt. *Jest dobrze... Piosenki niedokończone*. I stała się rzecz zupełnie dla mnie niezrozumiała, bo właśnie moją piosenkę ktoś wybrał na singla promującego krążek. Mało tego, w marcu 2009 roku zagościła ona na *Liście przebojów Trójki* i wkrótce zawędrowała na pierwsze miejsce w zestawieniu! Żartuję sobie czasami, że byłem notowany wyżej niż zespół U2.



Klub Platinum w Warszawie. Premiera debiutanckiej płyty Andrzeja Grabowskiego *Mam prawo... czasami... banalnie*. Rok 2010

Jestem jak motyl

*Jestem jak motyl przesadnie zmęczony
I głowa co nieco się chybie
Alkohol ma dobre, ale też złe strony
Do wniosku dochodzę w niedzielę przy stole*

*Więc proszę o piwo cysate anioły
Co wkoło fruwać fałszywie
Alkohol ma dobre, ale też złe strony
Pofruńmy wraz z nimi na chwilę do raję*

Pofruńcie ze mną na chwilę do raju

Ja wam mówię: jest dobrze

Jest dobrze, jest dobrze

Ale nie najgorzej jest

A my wniebowzięci do baru rajskiego

Otwarte są dla nas te bramy

Alkohol ma dobre, ale też złe strony

Tam, zrozum, nie liczą się strony

Gdy jestem jak motyl przesadnie zmęczony

I głowa co nieco się chybie

Alkohol ma dobre, ale też złe strony

Z tym wnioskiem w niedzielę przy stole

Pofruńmy wraz z nimi na chwilę do raju

Ja wam mówię: jest dobrze

Jest dobrze, jest dobrze

Ale nie najgorzej jest

Słowa: Krzysztof Niedźwiecki, Bogusław Chrabota

Zachęcony świetnym przyjęciem piosenki dałem się namówić chłopakom na całą płytę. Jednak zaznaczyłem, że chętnie przyjadę do studia i dam z siebie wszystko, żeby nagranie wyszło jak najlepiej, tylko niech mnie nie namawiają na koncerty. Mam tyle tekstów do nauczenia się i zagrania przed kamerami lub w teatrze, że na piosenki nie znajdę już miejsca w pamięci. Wyjście z bezpiecznego studia na scenę, gdzie masz tylko jedną szansę na zaśpiewanie i zawojowanie serc publiczności, to ogromna sztuka. Podziwiam za to piosenkarzy i muzyków. To jednak nie moja

profesja. Dla mnie to tak, jakby nagrywać spektakl w Teatrze Telewizji przez trzy dni i nagle przeskoczyć z tym materiałem na scenę teatru i odegrać go na żywo. Owszem, jestem zwierzęciem scenicznym, ale znam swoje granice.

Większość tekstów na debiutancki krążek napisali moi przyjaciele – Janek Nowicki, Jaś Wołek, Krzysiek Nowak i Andrzej Poniedziałki. Pośród ich utworów można usłyszeć jeden mojego autorstwa, choć nigdy nie pretendowałem do roli tekściarza. Pomyślałem jednak, że na solowej płycie mój tekst powinien się znaleźć. Zacząłem intensywniej myśleć i zapisywać drobne myśli, linijki, które mogłyby się ułożyć w jakiś tekst. Wbrew pozorom najbardziej lubię śpiewać smutne piosenki. Mam dosyć siebie – wesołkowatego i rozśmieszającego faceta. Poza tym prywatnie nie jestem znów taki wesoły. Jestem bardzo sentymentalny, refleksyjny, skłonny do wspomniania. I to wszystko oddaję w moich tekstach, które nie są może idealne, ale są moje i jestem w nich cały ja. Nie jestem zawodowym tekściarzem, poetą czy pisarzem, staram się po prostu na język piosenki przełożyć to, co akurat gra mi w duszy. Nie potrafię pisać białych wierszy. Zwykle jak już coś piszę, staram się rymować. Może dla kogoś są to rymy częstochowskie, bo przecież ja się na tym nie znam, ale z drugiej strony myślę sobie: Boże drogi, a ileż takich rymów napisała Agnieszka Osiecka? Dlaczego ja mam się ograniczać?

Mam prawo do takich kilku zdań

Tyle lat już żyję, mój Panie

Tyle lat tak dobrze Cię znam

Po tych latach mi się wydaje

Mam prawo do takich kilku zdań

*Odpowiedź na tych pytań kilka
Pytań prostych, głupich i banalnych
Czemu życie nasze to chwilka?
A w tej chwilce tyle chwil marnych?*

*Fajny z Ciebie gość jest, Panie mój
Nie mówię do Ciebie „proszę Pana”
Jak stworzenie swoje mnie traktuj
Nie stworzonko ożywiane z rana*

*Pytanie drugie do Ciebie mam
Bo na obraz stworzyłeś nas swój
A co drugi z nas, ludzi, to cham
A ten pierwszy też często jest...*

*Pytań sto mam, gościu, do Ciebie
Dobre rady Twoim nałogiem
Jakże łatwo radzić jest w niebie
Zejdź na ziemię, tutaj bądź Bogiem*

*Fajny z Ciebie gość jest, Panie mój
Nie mówię do Ciebie „proszę Pana”
Jak stworzenie swoje mnie traktuj
Nie stworzonko ożywiane z rana*

Słowa: Andrzej Grabowski

Marcin Lamch, Przemysław Pacan i Krzysztof Niedźwiecki, którzy odpowiadali za kompozycje i warstwę muzyczną pierwszej płyty, nie mieli wątpliwości, że powinniśmy nagrać kolejną. Tym razem poprosiłem o teksty tylko Jaśka Wołka. On jest przede wszystkim malarzem, ale przecież fantastycznie śpiewa, gra na

gitarze, prowadził programy telewizyjne, jest dla mnie omnibusem, z którym przyjaźnię się od lat. Mam nadzieję, że on żywi podobne uczucia w stosunku do mnie. Bardzo lubię teksty Wołka, nie tylko te, które napisał dla mnie. Ustaliliśmy, że ma całkowicie wolną rękę, jeśli chodzi o wybór tematów, ale w międzyczasie poprosiłem go o napisanie dwóch tekstów, na których mi szczególnie zależało. Zadzwoiłem do Janka i mówię: „Jasiek, wiem, że to banalne, co powiem, i banalny temat, ale cóż nie jest banalne? Myślałem o tym, że jak byłem dzieckiem, to wydawało mi się, że ten świat jest inny. Ale nadzieje z nim związane, które wtedy miałem, zupełnie przysły. Dziś są inne”. Janek zrozumiał i zapytał tylko, gdzie to umiejscowić. Opowiedziałem mu wtedy o swojej Alwerni i następnego dnia miałem przed sobą tekst do piosenki *Dzieciaki z Alwerni*. Jak czytałem, to włosy mi dęba stawały! Napisał piękny osobisty tekst, który stał się mój. I jak się później okazało, nie tylko mój, bo – jak mi ktoś powiedział – piosenka stała się czymś w rodzaju hymnu Alwerni. I bardzo Ci, Janku, za to dziękuję!

Druga piosenka, którą sobie wtedy wymyśliłem, miała być patriotyczna. Jechałem samochodem i usłyszałem w radiu prostą, amerykańską piosenkę o tym, jak facet kocha swój kraj i Ameryka jest dla niego wszystkim. I uświadomiłem sobie, że nie ma takiej lekkiej piosenki o Polsce. Znów zadzwoniłem do Janka i powiedziałem: „Jasiek, a może byś napisał tekst o tym, że ja kocham ten kraj?”. I Janek oczywiście napisał, tak jak prosiłem.

Powiem Ci, że Cię lubię

Tu moje życie, tu mój czyściec

I znów gadali tu o Tobie

Ci, co Cię znajq osobiście

I co kochają Cię nad zdrowie

*Ja nie mam prawa do miłości
Kiepski na ciele i rozumie
Ale jak słyszę takich gości
To ja Ci powiem tak, jak umiem*

*Ja, który ciągle miewam w czubie
I przez to, żem jak kupa łajna
Powiem Ci tylko, że Cię lubię
Boś jest fajna*

*Te patrioty za pięć złotych
Te wszystkie sakramenckie buce
Co kłóć się po siódme poty
Sztandar Ci porwą na onucę*

*I wytłumaczają spraw zawiłość
A każdy z nich na swoje zerką
A ja Ci mówię, że ich miłość
To jest zwyczajna alfonserka*

*Ja, który ciągle miewam w czubie
I przez to, żem jak kupa łajna
Powiem Ci tylko, że Cię lubię
Boś jest fajna*

*I tocząc swoją kulkę gnoju
Ja – ledwie punkcik na wyborach
Rozmyślałem czasem w wielkim znoju
Czyś Ty, kochana, nie jest chora*

*Moja tak samo, jak i czyjaś
I szczęścia życzę Ci na drogę
A jak obrażę, to dam w ryja
Bo to jest wszystko, co ja mogę*

*Ja, który ciągle mieszkam w czubie
I przez to, żem jak kupa łajna
Powiem Ci, Polsko, że Cię lubię
Boś jest fajna*

Słowa: Jan Wołek

Zastanawiając się nad tytułem drugiej płyty, doszedłem do wniosku, że piosenka pt. *Cudne jest nudne*, w której padają słowa: „Wszystkie ładne są żadne! Wszystkie cudne są nudne! Porządek tkwi w nieładzie, a sens tak naprawdę ma brzydoty kęs”, jest świetnym nawiązaniem do moich umiejętności wokalnych. Chropowatość, niedoskonałość sama w sobie jest jakąś prawdą. Nie staram się śpiewać idealnie, tylko prawdziwie, czyli niedoskonale. Dlatego płytę nazwałem *Cudne jest nudne*.

Oba wydawnictwa żyły sobie swoim życiem, chyba nawet miały się dobrze, bo pierwsza płyta doczekała się reedycji. I kiedy myślałem, że moja kariera „piosenkarza” dobiegła końca, zadzwonił telefon. „Cześć, jestem Bolek, mam dziesięć piosenek i chciałbym, żebyś je zaśpiewał” – usłyszałem nieznaną głos w słuchawce. Jedyne, co szybko rozpoznałem – nie był to głos prezydenta Lecha Wałęsy. Następnego dnia otrzymałem maila od Tomka Sierajewskiego, ksywa „Bolek”, z jednym utworem. Posłuchałem i niemal natychmiast zadzwoniłem, tłumacząc się, że to nie dla mnie. Nie dam rady. Nie ma mowy! Nie moja tonacja i w ogóle to dla mnie za trudne. „Bolek” jednak nalegał, żeby

choć spróbować, a z tonacją nie ma przecież problemu, bo można ją dobrać do moich możliwości. Pojechałem do niego, żeby porozmawiać, a on nałożył mi słuchawki na uszy, dał kartkę z tekstami i posadził przed mikrofonem. Udało mi się nagrać dwie piosenki. A skoro nagrałem dwie, to postanowiłem nagrać pozostałe osiem.

Płyta miała zostać wydana w wytwórni Kayax, ale coś tam się niestety spaprało i temat ucichł. Zdawało się, że cała historia upadła, ale po dwóch latach dzwoni do mnie „Bolek” i mówi: „Słuchaj, Andrzej, Agencja Muzyczna Polskiego Radia chce wydać te piosenki. Zgadzasz się?”. Ponieważ to było jakieś półtora roku temu, powiedziałem: „Dobrze, w końcu to nie jest tylko moja praca, ale też twoja”. Teraz bym bardzo się zastanawiał nad tym wydawcą.

Płyta nosiła roboczy tytuł *Pechy*, bo każda z dziesięciu piosenek to historia okraszona czarnym humorem. Wydawcy nie przypadł on jednak do gustu, więc zaproponowałem *Pechy i peszki* i to się wszystkim spodobało. „Tylko co na to pan Jan Peszek?” – ktoś zadał żartobliwie pytanie. Powtórzyłem je gdzieś w przelocie, widząc się z Jaśkiem. Powiedział, że mam jego copyright i będzie mnie to kosztowało jeden egzemplarz płyty z autografem.

Płyta ukazała się ostatecznie na początku 2019 roku. Za muzykę odpowiadał Tomek Sierajewski, a teksty napisał jego kolega Sławomir Młynarczyk. Wydawca, chcąc pewnie uwiarygodnić mój udział na płycie, przygotował specjalną, trochę odjechaną notkę:

Andrzej Grabowski ma pecha. Żył sobie spokojnie życiem znanego aktora – a to teatr, a to „Pitbull”, „Drogówka” czy „Świat według Kiepskich”, czasem stand up. Pewnego dnia, wychodząc z domu, chciał wyprzedzić przechodzącego przed nim czarnego

kota, ale poślizgnął się o skórkę od banana i przeleciał pod drabiną. Od tamtej pory w jego życiu zaczęły się dziać zaskakujące rzeczy.

W konwencji czarnego humoru nakręciliśmy teledysk promujący krążek, do piosenki *Kwestia miesiąca* – dosadnie rozliczam się w nim z nieudanego związku, topiąc, a następnie zamurując swoją byłą w podłodze stajni. Ale ponieważ wszędzie wokół dostrzegam ślady jej obecności – a to bucik wciśnięty pomiędzy szczeble balustrady, a to kapelusz na wodzie, a to suknia na słupie wyglądająca jak strach na wróble – spalam więc i zakopuję w ziemi wszelkie ślady jej obecności.

Kwestia miesiąca

*We wrześniu brałem ślub
Z kobietą boską, z drobnym noskiem – cud
Już w grudniu miałem dość
Bo moja mała mi umiała fest dać w kość*

*Pytanie, gdzie tkwił błąd?
Na ceremonię godnie, modnie swą
Za radą zacnych sfer
Wybrałem miesiąc, który w nazwie swej miał „R”*

*Jak to się stało, że się spaprało?
Że tak wszystko szybko trafił szlag?
Co się zdarzyło, że się schrzaniło?
Pewnie z miesiącem tym jest coś nie tak*

*We wrześniu brałem ślub
Też drugi, trzeci, nawet czwarty już*

*Chciałem być pewien, że
To raczej miesiąc, nie kobiety miałem złe
Jak to się stało, że się spaprało?
Że tak wszystko szybko trafił szlag?
Co się zdarzyło, że się schrzaniło?
Pewnie z miesiącem tym jest coś nie tak
Fakt, „R” w pisowni jest
Lecz „Ż” wymawia się
Już wiem, co się działo, że się paprało
Że to wszystko tak szybko trafił szlag
Nic się nie składało, nic nie działało
Bo coś ciągle z miesiącem jest nie tak*

*Ech, jak człowiek ma pecha
To i w szczęściu mu się nie farci*

Słowa: Sławomir Młynarczyk

Jeszcze przed wydaniem *Pechów i peszków* zadzwonił do mnie Piotrek Krakowski, młody muzyk i kompozytor, jak samo nazwisko wskazuje, mieszkający w Krakowie, mimo iż pochodzi z Radomia. zaproponował, że prześle mi jedną wesołą piosenkę, do której tekst napisał Wojtek Klimczyk, socjolog na co dzień pracujący na Uniwersytecie Jagiellońskim. Piosenka *Plaża, plaża, plaża* od razu wpadła mi w ucho, tym bardziej że przypominała mi *Monikę, dziewczynę ratownika* śpiewaną niegdyś przez mojego kolegę Rudiego Schubertha. Tylko tekst mi nie pasował do końca. Trochę w nim pogrzebałem, poprawiłem tak, jak mi się wydawało, że będzie lepiej brzmiało. Spotkaliśmy się później we trójkę i nagrałem tę piosenkę bez wahania.



Na planie teledysku do piosenki *Schabowy*. Od lewej: Piotr Krakowski, Andrzej Grabowski i Wojtek Klimczyk. Rok 2018

Okazało się, że Piotrek ma całą furę tych piosenek i zaczął sugerować, że może jest to materiał na czwartą płytę. Do niektórych teksty napisał Wojtek, do innych nie. Tak mi się spodobał ten muzyczny klimat, że sam zacząłem pisać do nich teksty. Niektóre pisaliśmy razem z Wojtkiem albo ja dawałem mu pomysł, on pisał i ja jeszcze coś poprawiałem. Tak było z piosenką *Chrabąszczami zapachniało*. Był akurat ciepły czerwcowy wieczór, na moim podwórku zobaczyłem latające chrabąszcze i od razu przypomniały mi się młode lata w Alwerni, kiedy pachniały lipy, a my z kolegami goniliśmy na rynku chrabąszcze, popisując się przed dziewczynami. Te zapachy, wspomnienia i miłość wydały mi się ciekawym tematem na zmysłowe romantyczne tango.

Wpadłem na pomysł, żeby zaśpiewać z Aldoną Grochał, aktorką Starego Teatru w Krakowie. Wyszło pięknie. Ona swoim wysokim głosem zabrzmiała jak Loda Halama, przedwojenna diwa, z którą jest zresztą spokrewniona.

Chrabąszczami zapachniało

*Myślisz: siły już nie te
z biodrem kiepsko, z okiem źle
w sumie nie chce ci się nic
ani umrzeć, ani żyć
chrabąszczami zapachniało
znowu żyć mi się zachciało
tańczyć, kochać, śnić i marzyć
to się, miła, musi zdarzyć*

*i cóż, że sześćdziesiąt plus
ja już nie chcę tych młodych kóz
obudzimy się znowu rano
jak dawniej będzie pachnieć siano*

*weź w swe ręce lekko drżące
moje serce gorejące
moją duszę rozmarzoną
dotknij swoją czułą dłońią
chrabąszczami zapachniało
ciało masz i ja mam ciało
czas z hamulca nogę zdjąć
i na szczyt się piąć*

Słowa: Andrzej Grabowski, Wojtek Klimczyk

Do piosenki *Młodości, wróć* nagraliśmy teledysk, w którym gram z moim przyjacielem Jankiem Nowickim. Spotykamy się w Krakowie nad Wisłą i grając w szachy, wspominamy sobie dawne lata. Janek, jak na Wielkiego Szu przystało, żongluje popisowo kartami. Potem wygłupiamy się jak dzieci, Jasiek odpala racę dla zwykłej draki, ja piszę kredą na chodniku słowo „DUPA”, wreszcie beczelnie obrzucamy balonami z wodą Piotrka Krakowskiego, który gra solo na trąbce. Leżymy beztrosko na trawie z źdźbłami trawy w zębach, a na koniec klipu Jasiek zdejmuje kapelusz, porównuje swoją łysinę do mojej i tłumaczy mi, w jaki sposób zaczął się orientować, że łysieje: „Uderzałem tu – plask dłonią w czubek głowy – i potem uderzałem tu – plask dłonią o przedramię – i porównywałem, czy jest ten sam dźwięk”. Uroczy, kochany Jasiek!



Na planie teledysku *Plaża, plaża, plaża*. Andrzej Grabowski i Rafał Szumera.
Rok 2018

Młodości, wróć

*Kiedyś wszystkiego nam się chciało
Kiedyś wszystkiego nam było za mało
Kiedyś chodziliśmy po wodzie
Kiedyś nasza miłość była w modzie*

*Dzisiaj na ławeczkach siedzimy
i o dawnych Maryniach gędzimy
Dzisiaj los nam płynie wspak
I na dysku pamięci brak*

*Młodości, wróć, cierpienia skróć
Młodości, wróć, cierpienia skróć
Nie musisz być chmurna, durna
Możesz już nie być taka jurna*

*A może jeszcze coś nam się przydarzy
A może jakieś światło nam w głowie zajarzy
A może jeszcze, może, mój Boże
Rzucisz nam coś, co nam pomoże*

Słowa: Andrzej Grabowski

Gdybym powiedział, że marzyłem o nagraniu płyty w moim życiu – skłamałbym. Wszystko jest dziełem przypadku i tego, że lubię obcować z twórczymi ludźmi. Jesienią 2020 roku ukaze się mój czwarty album. Dam mu tytuł *Łagodnie* i będzie nagrany z zespołem Piotrka Krakowskiego Cedury. Czy na tym się skończy moja przygoda ze śpiewaniem? Chyba nie. Ostatnio zgłosił się do mnie Włodzimierz „Kinior” Kiniorski, który wcześniej współpracował z Grażyną Szapołowską. Teraz napisał muzykę do

przepięknej kolędy Janka Nowickiego. Przesłał mi już kilka piosenek w konwencji reggae, które chciałby ze mną nagrać. Posłucham Boba Marleya i obiecuję, że będę się starał chropowatym parlando unieść tę materię. Niewykluczone, że wyjdzie z tego cała płyta z piosenkami Janka Nowickiego. Zobaczymy.

THEATRUM MUNDI

Jeżeli uda mi się przyjechać do Krakowa dzień przed występem, to do teatru idę piechotą. Spacer przez Planty uruchamia wspomnienia. Lubię tę drogę. Z każdym krokiem odżywa jakaś część mnie sprzed lat. Zza drzew wolniutko wyłania się bryła Teatru im. Juliusza Słowackiego. W wyrzeźbionych na ryzalitach figurach z jednej strony witają mnie Poezja, Dramat i Komedia, z drugiej zaś Muzyka, Opera i Operetka. Nie da się objąć wzrokiem wszystkich metafor i symboli tego cudu architektury, z którym związany jestem już pół wieku. Jeszcze jako student wpadałem zziębnięty do Teatru Słowackiego po zajęciach na uczelni, które często późno się kończyły – po to by zobaczyć końcówkę spektaklu z ostatnich rzędów. Po kilku latach stanąłem na jego deskach jako aktor.

Jedną z pierwszych ważnych kreacji w Teatrze Słowackiego była dla mnie rola poety Jęzorego Pasiukowskiego w dramacie Witkacego pt. *W małym dworku*. Wcieliłem się tam w postać zwariowanego, młodego faceta tryskającego testosteronem. Przepętniony myślami o wielkiej sztuce, jak na typowego Witkacowskiego bohatera przystało, dosłownie roznosiłem scenę energią. Pamiętam, że inspiracją do stworzenia tej postaci był dla mnie kolega ze Starego Teatru, który w owym czasie bardzo przeżywał swój zawód miłosny. Podpatrywałem jego zachowanie, dramatyczny sposób wyrażania się i postanowiłem przenieść to na scenę. Na zastępstwo w tej roli został wytypowany kolega Paweł Galia – aktor z dziesięcioletnim doświadczeniem. Po próbie

generalnej podszedł do mnie i powiedział, że nie będzie grał za mnie, bo zrobiłem to doskonale i on nie da rady tego powtórzyć. Zrobiło mi się bardzo miło, jednak trema przed premierą nie dopuściła do zbytowego zachwyty nad samym sobą. Dopiero słowa mojego brata Mikołaja po pierwszym spektaklu zadźwięczały we mnie jak dzwon Zygmunt: „Andrzej, jesteś już aktorem!”. I choć nic z tego nie wynikało, ja jednak przyjąłem je niczym błogosławieństwo. W *Scenariuszu dla trzech aktorów* Bogusława Schaeffera, który gramy do dziś, jest fragment, w którym z Mikołajem i Jankiem Peszkim czytamy recenzje krytyków o nas samych. Cytuję wtedy nieskromnie słowa Krzysztofa Pleśniarowicza z artykułu, który napisał w 1979 roku w „Dzienniku Polskim” – właśnie po premierze sztuki *W małym dworku*: „Myślę, że zakotwiczenie pomiędzy prawdą i pozorem pozwala dopiero uchwycić fenomen gry Andrzeja Grabowskiego, który z roli Poety stworzył bodaj najciekawszą komediową kreację mijającego sezonu w Krakowie. Jest to w całości szarża niemal kabaretowa, ale tak bogata, zwłaszcza w sekwencjach oszukanego kochanka czy »męki twórczej« nieszczęsnego grafomana, że nie zwraca się nawet uwagi na grubą dosadność niektórych pomysłów. Grabowski jak za czasów aktorskich »gwiazd« zdominował tą jedną rolą cały spektakl”. I dodaję od siebie kabotyńskie: To było ponad czterdzieści lat temu! A przecież ja się cały czas rozwijam. Ciekawe, co on by dzisiaj o mnie napisał?



Spektakl *W małym dworku*. Teatr im. Juliusza Słowackiego (Kraków). Rok 1979.
Od lewej: Halina Wiśniewska, Aldona Grochal, Andrzej Grabowski i Danuta

Jamrozy

Idąc tropem Witkacego, przypominam sobie sztukę, w której grałem jego ojca, czyli Stanisława Witkiewicza. Miało to miejsce w dramacie Karola Wojtyły pt. *Brat naszego Boga*. Ten tekst został napisany w latach 50., jednak premiery na scenie Teatru Słowackiego doczekał się dopiero w 1980 roku. Spektakl reżyserowała Krystyna Skuszanka, ówczesna dyrektorka. W związku z tym, że dwa lata wcześniej Wojtyła został wybrany na papieża i była to jego pierwsza sztuka wystawiona w Polsce, tłumy waliły drzwiami i oknami, niczym na nabożeństwo odprawiane przez niego na krakowskich Błoniach. Mogliśmy grać ten spektakl nawet pięć razy dziennie przy pełnych widowniach. Na trzeciej próbie generalnej, kiedy kurtyna poszła w górę, stanąłem na scenie obok Andrzeja Balcerzaka, który grał innego słynnego malarza – Maksymiliana Gieryskiego. Mimo wcześniejszych prób czułem jakiś niedosyt w otwarciu tego spektaklu. Chciałem coś jeszcze dodać, tym bardziej że to ja wypowiadałem pierwsze słowa dramatu. Gdy patrzyłem na sztalugę, przy której odgrywaliśmy scenę, i na postać Gieryskiego, wpadł mi do głowy pomysł. Zanim się odezwę, pstryknę palcami wolnej ręki i dopiero po chwili wypowiem swoją kwestię. Zrobiłem to spontanicznie: (*pstryk!*) „Zastanawiałeś się kiedyś, Maks...” – reszta spektaklu została odegrana według scenariusza. Kiedy schodziliśmy ze sceny, usłyszałem, że jestem natychmiast proszony do dyrekcji.

– Boże jedyny! Czy pan wie, co pan zrobił? – zaskoczyła mnie zatrwożona Krystyna Skuszanka.

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– Przepraszam. Wiem. Zagrałem Stanisława Witkiewicza w sztuce Karola Wojtyły.

– Otóż to! I pstryknął pan!

– Owszem, pstryknąłem.

– Panie Andrzeju! Sztukę papieża rozpoczynać pstryknięciem?!

Podrapałem się po brodzie, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale dla spokoju Ducha Świętego pokiwałem głową ze zrozumieniem, jak wielką szkodę przyniosłem Karolowi Wojtyłe.



Spektakl *Brat naszego Boga*. Od lewej: Andrzej Grabowski, Andrzej Balcerzak, Jan Frycz, Karol Podgórski i Zbigniew Bator. Rok 1980

W tym samym roku wystawialiśmy sztukę Aleksandra Wampłowa pt. *Polowanie na kaczki* w reżyserii Józefa Czarneckiego. Dostałem w niej główną rolę Ziłowa – birbanta,

który nie rozstaje się z alkoholem. Walcząc rozpaczliwie ze swoimi słabościami, a zarazem tęskniąc za wolnością i wielkim światem, dochodzi do wniosku, że jego życie jest już przegrane. Ma jednak idée fixe – wyjechać na polowanie na kaczki, wtedy wszystko się w jego życiu odmieni. Jednym z motywów przewijających się w scenariuszu są telegramy. Schorowany ojciec prosi w nich Ziłowa, żeby go odwiedził przed śmiercią. Pijany bohater bagatelizuje to, uznając, że „stary się tylko wydurnia”. Tydzień przed premierą spektaklu prawdziwy telegram przychodzi do mnie. ANDRZEJ. OJCIEC UMARŁ. POGRZEB W ŚRODĘ. PRZYJEŹDŹAJ, SYNU. Nogi się pode mną ugięły. Przecież nie był jeszcze taki stary. Co to jest sześćdziesiąt siedem lat? Wróciłem z pogrzebu. Zostało kilka dni do premiery. Cały zespół teatru poczuł totalną klęskę. Bo jak to teraz grać? W trakcie prób generalnych jakoś sobie radziłem, gorzej z moimi kolegami, którzy na wypowiedane przeze mnie kwestie o telegramie ojca, spuszczaali wzrok. Rozumiałem ich współczucie i niezręczność, nawet byłem im w jakiś sposób wdzięczny za wsparcie, jednak nie pomagało mi to w budowaniu roli. W piątek, po ostatniej, stresującej próbie, dzień przed premierą, coś we mnie pękło. Nie wytrzymałem. Wzorem mojego bohatera złapałem alkoholowy cug, który trwał do sobotniego ranka. To była chora reakcja. Wszystko mi się beznadziejnie pomieszało w głowie. Przyszedłem na premierę. Wstawiony? Podпиты? Z pewnością niezbyt przytomny. Śmiem twierdzić, że gdyby nie prawdziwa sytuacja, która łączyła się z akcją dramatu, oraz wyrozumiałość kolegów, do premiery w ogóle by nie doszło. Obciążony olbrzymim stresem, zagrałem całą sztukę. Ponad dwie godziny na scenie. Kiedy skończyłem, byłem już zupełnie trzeźwy. Publiczność oklaskiwała mnie, nic nie zauważyła i nikt mnie z niczego nie rozgrzeszał. W garderobie nie usłyszałem złego słowa.

Wszyscy próbowali mnie pewnie usprawiedliwiać, ja jednak czułem się zupełnie rozwalony psychicznie. To, że odszedł mój tato, w żaden sposób mnie nie usprawiedliwiało. Siedząc przed lustrem, powiedziałem do siebie na głos: „Andrzej! Zapamiętaj to sobie na całe życie. Nigdy więcej czegoś takiego!” – jakbym właśnie grał swojego ojca. Dwadzieścia pięć lat później zmarła moja ukochana mama. Dzień przed pogrzebem musiałem stanąć na stadionie w Czechowicach-Dziedzicach przed tysiącami ludzi z moim kabaretem jednego aktora i przez godzinę wszystkich rozśmieszać. Organizatorzy wręcz zażądali, żeby nie odwoływać występu. No więc stałem i kuglowałem pomiędzy bolesną prawdą a rozweselonym tłumem widzów. Jakoś poszło, alkohol nie był tym razem potrzebny. Emocje, które mi wówczas towarzyszyły, pozostały na swoim miejscu, we mnie.

Mieszanie farsy teatralnej z rzeczywistością jest trudne. W tym kontekście wspominam Jerzego Krasowskiego, któremu się to udało, gdy reżyserował *Sto rąk, sto sztyletów* Jerzego Żurka. Akcja dramatu jest taka, że podczas cowieczornego przedstawienia w teatrze nagle na scenę wkraczają podchorążowie powstania listopadowego. Dochodzi do potyczki słownej między aktorami grającymi farsę a rewolucjonistami. Mnie przypadła w udziale ciekawa postać aktora, który wdaje się w dyskusję z konfidentem. Nie była to duża rola, ale lubiłem ją grać, bo wywoływała żywe reakcje wśród publiczności. Niektórzy w tej sztuce upatrywali aluzję do wypadków z marca 1968 roku. Dla innych była nowatorska, ponieważ mierzyła się z ciężkim tematem powstania listopadowego, bez inscenizacji krwawych walk w okopach Woli i bez odśpiewywania *Warszawianki*. Jerzy Krasowski za reżyserię tego dzieła otrzymał świetne recenzje oraz Nagrodę im. Konrada Swinarskiego od redakcji miesięcznika „Teatr”.

Krasowski utwór Żurka wyreżyserował mądrze: nie zatarł w nim tego, co odwoływało się do archetypu naszego myślenia o powstaniu listopadowym, o romantycznej literaturze, a jednocześnie postawił na ścieranie się racji, na dyskurs logiczny aż do okrucieństwa. Dzięki temu widać było, że „Sto rąk, sto sztyletów” to nie tylko ciuchy historii, ale rzecz o nas – dzisiaj.

Fragment recenzji Marka Jodłowskiego z roku 1980
Miesięcznik „Odra”, nr 9

Bardzo podziwiałem reżyserski talent Jerzego Krasowskiego i osobiście byłem fanem jego poczucia humoru. Kiedyś złamał sobie nogę, więc przez kilka tygodni widzieliśmy biedaka o kulach, jak wspinał się po teatralnych schodach. Pewna aktorka, chcąc najwyraźniej zyskać w oczach dyrektora, zagaiła go w foyer.

– Panie dyrektorze. Tak mi przykro, ja też kiedyś miałam złamaną nogę, wiem, jak to bardzo boli.

– Droga pani! Proszę wyhamować z tą paralelą! Mnie boli bardziej!

Krasowski nie należał do osób bratających się z zespołem teatralnym, choć raz zrobił „czasowy” wyjątek. Pojechaliśmy na gastroli do Łodzi. Zaraz po spektaklu uciekłem, bo chciałem odwiedzić kolegę. Kiedy wróciłem do hotelu, w restauracji zobaczyłem cały mój zespół, co ciekawe, łącznie z dyrektorem Krasowskim, który wesoło spędzał czas, umilając sobie wieczór różnymi trunkami. Dosiadłem się do ferajny zupełnie trzeźwy, więc szybko uchwyciłem, że nasz dyrektor jest już, lekko mówiąc, na innych obrotach. Nigdy wcześniej nie spotkałem go w takim nastroju. Nagle podniósł rękę i zaczął wskazywać palcem na każdego z osobna. „Nie, nie, nie, nie...” – wreszcie wycelował we mnie – „Tak! Jurek jestem!”. W ten sposób przeszedł ze mną na ty.

Wtedy pan dyrektor to był Pan Bóg! W związku z takim wyróżnieniem zacząłem szczęśliwy biesiadować i coraz bardziej spoufalać się z „nowym” kolegą Jurkiem. Następnego dnia rano siedziałem sobie w bufecie, popijając przed próbą wodę mineralną, gdy nagle podszedł do mnie Krasowski. Już miałem mówić: „Cześć, jak tam, wyspałeś się, Jureczku?”, ale dyrektor był szybszy, rzekł tylko: „Dzień dobry, panie Andrzeju”, wyraźnie akcentując słowo „panie”. W ten sposób wróciliśmy do poprzednich uprzejmości. Potem koledzy czasami żartowali, gdy trzeba było coś załatwić: „Andrzeju, idź ty. Nikt z nas nie pił brudzia z dyrektorem”.

Krasowski wraz z żoną Krysią Skuszanką jeszcze przed stanem wojennym przestali zajmować dyrektorskie stanowiska w Teatrze Słowackiego, bo przeszli do warszawskiego Teatru Narodowego. Ludzie mieli im za złe, że przyjmują posady od reżimowego rządu. Do Słowackiego przyszedł po nich Andrzej Kijowski, fantastyczny facet, opozycjonista. Jednak po roku złożył rezygnację w związku z wprowadzeniem stanu wojennego oraz internowaniem. Pełniącym obowiązki został Jurek Nowak, stary aktor i mój wielki przyjaciel – mam nadzieję, że mogę tak go nazwać, niestety, nie żyje, ale pewnie by nie oponował. Rozpoczął się smutny okres w historii naszego kraju. Gdzieś w piwnicach wynajmowaliśmy sale, żeby wystawić *Cmentarze* Marka Hłaski. Zaczęliśmy też robić jakieś dziwne podchody do sztuk Václava Havla. Wszystkie teatry wtedy się na niego „rzuciły”, choć przed stanem wojennym nikt nie był Havlem zainteresowany. Widać był takim autorem na czas tego najbardziej czarnego okresu w Polsce.

W 1982 roku, kiedy stan wojenny powoli przechodził do historii, stanowisko dyrektora w Słowackim objął trzydziestosześcioletni Mikołaj Grabowski, po wcześniejszej rocznej przygodzie na tym

samym stanowisku w Teatrze Polskim w Poznaniu. W mojej ocenie zaczęły się trzy cudowne lata naszego teatru. Mam tu oczywiście na myśli pracę twórczą, nie polityczne okoliczności, które w końcu doprowadziły do usunięcia Mikołaja z funkcji dyrektora. Nie należał do partii i nie grzeszył pokorą w stosunku do partyjnych dygnitarzy, niejednokrotnie po wystawianych sztukach był wzywany na dywaniki do komitetu.

W inscenizacjach „Pamiętek Soplicy” i „Listopada” Rzewuskiego, a nawet Gombrowiczowskiego „Trans-Atlantyku” czy „Dam i huzarów” Fredry pokazał Polskę jako świat strzaskany, spsiały, skundlony. I ludzi, którzy nie mają poczucia tego skundlenia, bo wciąż śnią sen o potędze. Widzą siebie w roli spadkobierców paradygmatu romantycznego: pięknych, heroiczych, szlachetnych i uciemżonych.

Łukasz Drewniak, *Grabowski, czyli optymizm*
Miesięcznik „Dialog”, 1999



Spektakl *Listopad*. Andrzej Grabowski i Jan Peszek. Teatr im. Juliusza Słowackiego (Kraków). Rok 1983

W 1983 roku na deskach Słowackiego wystawiliśmy *Listopad* – adaptację powieści Henryka Rzewuskiego z XVII wieku w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Jest to historia dwóch braci. Ludwika Strawińskiego, który wychowywał się i był kształcony w Paryżu – w tej roli wystąpił Janek Peszek – oraz Michała Strawińskiego, bogobojnego szlachciury, granego przeze mnie. Ludwik przyjeżdża do Polski i przekonuje brata, że jest jeszcze inne życie, można mieć inne ideały. Tymczasem Michał ma się żenić ze szlachcianką Zosią, która wpada w oko Ludwikowi. Ona odwzajemnia uczucia Ludwika i – mówiąc lakonicznie – daje Michałowi kosza, który notabene jest zaangażowany w walkę o Polskę po stronie konfederacji barskiej. Kiedy na scenie odśpiewywaliśmy *Pieśń*

konfederatów barskich, ludzie czasami wstawali i płakali. Piekielnie podsycaliśmy ten hurrapatriotyzm, związany z Kościołem katolickim, który grał przecież wielką rolę w tamtym czasie jako ostoja wolności. Pamiętam, jak wtedy my wszyscy, i Mikołaj, i Jasiek Peszek, który grał owego Ludwika, mentalnie byliśmy za tym Michałem. Za prawdziwym Polakiem, który pokłada w Bogu wiarę w wolność Polski. Dziesięć lat później robiliśmy ten sam spektakl dla Teatru Telewizji. I nagle zauważyłem, że kompletnie inaczej zacząłem postrzegać narrację Ludwika. Dotarło do mnie, że Polakiem jest właśnie ten wykształcony w Paryżu, który wraca, przywozi nowe idee, próbuje zaszczepić w ludziach inny sposób myślenia o ojczyźnie, o stosunkach między ludźmi, o wierze. Owszem, podprowadził bratu przyszlą żonę, no ale ona też tego chciała. A jak się młodzi kochają, kiedy zrodzi się uczucie, nie ma siły. To już jak w życiu.

Jan Peszek za swoją rolę na Konfrontacjach w Opolu dostał nagrodę aktorską. Janek był już wtedy uznanym aktorem, a ja tylko „bratem Mikołaja Grabowskiego”. I pewnie z tych samych „powodów” zagrałem rolę w *Trans-Atlantyku* Witolda Gombrowicza. Mimo że była to rola niema. Jako wymalowany służący w sukience na obcasach podawałem wino. Pytano: „Dlaczego gra Andrzej? – Bo jest bratem dyrektora”. Nie miałem na to wpływu, taki to był czas, obojętne, co zagrałem, małą rolę czy głównego bohatera – „No przecież to brat dyrektora”.

W 1983 roku Mikołaj porwał się na dramat *Irydion* Zygmunta Krasińskiego z Jurkiem Trelą w roli Masynissa – demona, który czyni z Irydiona narzędzie swych pełnych nienawiści planów. To była bardzo trudna sztuka ukazująca upadek Rzymu w kontekście sytuacji w kraju. Tytułowy bohater – w tej roli młodziutki Grzegorz Matysiak – pała nienawiścią do imperium, dążąc do

zemsty za upokorzenia, jakie znosi ojczyzna. Sztuka została rok później nagrodzona na 10. Opolskich Konfrontacjach Teatralnych i okazała się wielkim sukcesem Mikołaja. Zagrałem w niej rolę poety, czyli Krasińskiego. Ubrany w czarny surdut wychodziłem na scenę i deklamowałem prolog i epilog dramatu. Jego ostatnie słowa brzmiały tak:

Idź i czyn, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich – choć zwątpisz o braci twojej – choćbyś miał o mnie samym rozpaczać – czyn ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świętych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzód było, ale z pracy wieków – i staniesz się wolnym synem niebios! I weszło słońce nad ostatkami Romy – i nie było komu powiedzieć, gdzie się podziały ślady myśli mojej – ale ja wiem, że ona trwa i że ona żyje!

Po usunięciu Mikołaja z Teatru Słowackiego dyrektorem został Jan Paweł Gawlik mianowany przez władzę. Była to kontrowersyjna decyzja, bo kilka lat wcześniej, w 1980 roku, został odwołany z dyrektorskiego stołka Starego Teatru przez aktorską „Solidarność” pod przewodnictwem Jurka Stuhra. Widząc Gawlika w Teatrze Słowackiego, zacząłem to kontestować i odmawiałem grania. Swoją uwagę przekierowałem na pracę w Teatrze STU oraz *Audiencję V* Bogusława Schaeffera, z którą ruszyłem w Polskę. Dopiero pojawienie się Jurka Golińskiego na stanowisku dyrektora w 1990 roku znów ożywiło moją aktywność w Teatrze Słowackiego. Goliński, mój dawny profesor, guru, a później przyjaciel, nazywany czasem „Golo”, cieszył się wielkim autorytetem wśród aktorów. Rozmawiał z każdym, ale przede wszystkim słuchał. Aktorzy dosłownie zwierzali mu się z tego, o jakich rolach marzą, a on potrafił wszystko pogodzić. Dzięki niemu

nauczyłem się rzeczy zupełnie zbytecznej, ale dającej ogromną przyjemność. W sztuce *Żołnierz i bohater* George'a Bernarda Shawa, którą reżyserował Goliński, zagrałem postać bułgarskiego majora Petkowa. „Golo” poprosił wówczas studentów z Bułgarii, żeby mnie nauczyli kląć w ich języku. Dla mnie ich słowa przecudnie brzmiały, choć nie za bardzo zapamiętałem ich znaczenie. Kiedy pojechaliśmy ze *Scenariuszem dla trzech aktorów* do Sofii, popisywałem się moją znajomością i perfekcyjnym sposobem wypowiedzenia tych mocnych bułgarskich zwrotów, co czasami wzbudzało przerażenie w oczach Peszka i Mikołaja. Ja mimo to świetnie się bawiłem, czasami wzbudzając podziw nowo poznanych bułgarskich kolegów.

Goliński po dwóch latach odszedł ze Słowackiego, przyjąłem to z ogromnym zaskoczeniem. Jednak równocześnie dostałem propozycję nie do odrzucenia – etat w krakowskim Starym Teatrze. Bogdan Hussakowski, który rozpoczynał dyrekcję po Golińskim, miał mi trochę za złe, że odchodzę akurat wtedy, kiedy on startuje. Drzwi jednak przede mną nie zamknął i po pięcioletniej rozłące ze Słowackim wróciłem na jego deski, ku szczerzej radości Hussakowskiego. Znow zacząłem dużo grać.

Zrobiliśmy wtedy olbrzymią sztukę z operowym rozmachem, autorstwa włoskiego dramaturga Eduardo De Filippo pt. *Wielka magia*. Reżyserował ją sam Hussakowski, który podkreślał, że „robimy teatr w starym stylu!” I rzeczywiście tak było. W przerwach między aktami na widowni było słychać stukanie młotków, co oznaczało zmianę dekoracji. Mieliśmy trzy dekoracje na trzy akty – nie do pomyślenia w dzisiejszym teatrze. Zagrałem główną rolę Calogero Di Spelta, który pada ofiarą mistyfikacji. Młodsza żona ucieka z kochankiem, a podstawiony iluzjonista wręcza mu szkatułkę, szafując, że małżonka wróci tylko wtedy,

jeżeli otworzy pudełko ze szczerą wiarą w jej wierność. Farsa zmieniała się w dramat.

Andrzej Grabowski w złożonej roli dowodzi wszechstronności swojego aktorstwa. Na początku jego Calogero odpycha wyniosłością, za chwilę wzrusza, przeraża, później budzi litość i trwogę. Najwspanialszy jest wtedy, gdy śmieszność, groza, mądrość i naiwność pojawiają się i znikają w jego zachowaniu z szybkością wiosennej błyskawicy. Tak jest na przykład w scenie „wielkiego żarcia”. Widzowie znający Grabowskiego z przedstawienia „Audiencja” Schaeffera znajdą oczywiście w obiadowej scenie niejedyn element z tego popisowego spektaklu. Nie przynosi to żadnej ujmy artyście, a raczej dowodzi, jak doświadczenie wyniesione z awangardowej formacji MW2 może współgrać z tradycyjnym rzemiosłem aktora dramatycznego.

Fragment recenzji Marka Mikosa, „Gazeta w Krakowie” 6 czerwca 1997

Kiedy w 1999 roku zacząłem grać w serialu *Świat według Kiepskich*, bardzo dbałem o to, żeby w nowych rolach nie być podobnym do Ferdka. Do dziś siedzi mi to z tyłu głowy – to pierwsze, o czym myślę, gdy dostaję nową rolę – żeby tylko nie wyszedł mi Kiepski, bo będzie kiepsko. Z pewnością pomogło mi to, że jakiś czas temu straciłem na wadze, ale od przyzwyczajień niełatwo uciec. W 2002 roku, kiedy na ulicy nie mogłem się już odgonić od ludzi, którzy bardzo chcieli iść z ich ulubionym serialowym bohaterem na piwo, wystawiliśmy *Chorego z urojenia* – świetną, klasyczną komediijkę Molière’a. Wyreżyserował ją mój stary dobry kolega Giovanni Pampiglione. Bardzo trudno było mi wejść w rolę głównego bohatera sztuki, w postać hipochondryka Argana, ponieważ ma w sobie sporo z Kiepskiego. Jest podobną

mendą i wie wszystko najlepiej. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że wycieczki szkolne chciały zobaczyć Ferdka na żywo. Jakoś to pogodziłem. Język Argana jest zupełnie inny, ale powierzchownością czasami nawiązuję do sitcomowej głowy rodziny Kiepskich. Przez osiemnaście lat (Boże! Naprawdę już tak długo gram tę sztukę?) wymieniła się prawie cała obsada spektaklu. Jedyni aktorzy, którzy od początku pozostali przy swoich rolach, to Anka Tomaszewska, moja była żona, i ja. Co ciekawe, Anka gra postać Antosi, służącej Argana. A Molière napisał tę rolę dla młodej dziewczyny. Anka jest w moim wieku, więc już gdy zaczynała, była, że tak powiem, w sile wieku, ale do dziś rozgrywa hardą i inteligentną służkę doskonale! Mam wrażenie, że z sezonu na sezon jest coraz lepsza. Te osiemnaście lat w *Chorym z urojenia*, przy pełnych widowniach Teatru Słowackiego, postrzegam jako duże osiągnięcie, choć mówić w kategoriach sukcesu na temat moich wyczynów teatralnych nie znoszę, ale innych słów nie znajduję. *Chory z urojenia* miał też swoje pięć minut w warszawskim Teatrze 6. Piętro, ale poza mną miał zupełnie inną obsadę. W trakcie prób dyrektor artystyczny Eugeniusz Korin uznał, że jak na komedię to jest za mało śmiesznie. Ale z komediami już tak jest, że po kilku miesiącach prób one żadnego z aktorów nie śmieszają. Spektakl zaczyna być zabawny dopiero wówczas, kiedy aktorzy usłyszą pierwszy śmiech z widowni. Przeżywałem to wiele razy. Do dziś pamiętam, jak na próbie generalnej przed premierą *Scenariusza dla trzech aktorów* zatroskana inspicjentka w Teatrze STU powiedziała, że pierwszy raz widzi spektakl Schaeffera, który nie jest śmieszny. A następnego dnia na premierze dosłownie wyła ze śmiechu. Z warszawskim *Chorym z urojenia* była dokładnie taka sama sytuacja. Pomimo niepotrzebnego zamieszania przed premierą spektakl okazał się

sukcesem, zresztą nie tylko w Warszawie, bo przez kilka lat jeździliśmy z nim także do innych miast.



Spektakl *Chory z urojenia*. Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Od lewej: Anna Tomaszewska, Beata Schimscheiner i Andrzej Grabowski



Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Michał Majnicz i Andrzej Grabowski podczas próby spektaklu *Kariera Artura Ui*. Rok 2018

Któryś z amerykańskich reżyserów powiedział, że aby nakręcić bardzo dobry film, należy go zrealizować, obejrzeć i jeszcze raz nakręcić. I ja teraz tak samo myślę o wszystkich rolach, które stworzyłem – dziś mógłbym je zagrać lepiej. Ale czy to jest prawda? Nie mam zielonego pojęcia. Jedno jest pewne – w trakcie procesu twórczego, podczas prób możesz być maksymalnie dobry na tyle, ile masz w sobie dojrzałości aktorskiej w danym momencie. I jeżeli nie wykorzystasz swojego potencjału, co się zdarza, to nie osiągniesz maksimum. Nie staniesz się Robertem De Niro po kilku próbach, nawet u boku najwybitniejszego reżysera. Taki kontekst ma moja świeża rola w spektaklu *Kariera Artura Ui* Bertolta Brechta w reżyserii Remigiusza Brzyka. Brecht opowiada

historię gangstera, którego kariera doprowadza na salony władzy. Gram w niej starego aktora, który uczy tytułowego bohatera przemawiać, chodzić, siadać, żeby był wiarygodny. Czy go nauczył? Na to pytanie widz sam musi sobie odpowiedzieć. Stary aktor i tak widzi i wie swoje.

Czasami zastanawiam się, kiedy aktor jest stary i w ogóle, co to znaczy, że jest stary. Myślałem o tym, przygotowując *Łabędzi śpiew* Antoniego Czechowa. To piękna, przejmująca historia aktora, który po jubileuszu 50-lecia zostaje sam w teatrze. Budzi się pijany w garderobie i rozmawia z suflerem śpiącym w swojej kanciapie, bo nie ma gdzie pójść. Stary aktor wygłasza monolog o tym, że właściwie przegrał swoje życie. Nikt go nie kocha, nie ma rodziny, a teatr zabrał mu wszystko. Nie ma kto położyć go pijanego do snu, gdy wróci do domu. Na jego grób nikt nie przyjdzie, bo wszyscy już o nim zapomnieli. Odpukać, ale na razie nie jest to moja historia.

Bywa, że siedzę sobie w Teatrze Słowackiego podczas próby *Chorego z urojenia* na moim wielkim fotelu. Widzę tę pustą widownię, pusty teatr i tak sobie myślę: Boże drogi, jestem już na tej scenie czterdzieści siedem lat, to szmat czasu. Ile sztuk zagrałem? Ile słów wypowiedziałem? Z iloma aktorami, których już nie ma, przebywałem na tych deskach? Ilu fantastycznych aktorów tutaj grało od początku powstania tej sceny – Juliusz Osterwa, Ludwik Solski, Tadeusz Burnatowicz, Zofia Jaroszewska, Gustaw Holoubek... Ile setek tysięcy ludzi mnie na tej scenie oglądało? Nie sposób nie zadać sobie pytania, czy będą chcieli mnie jeszcze oglądać. I jak długo? Wtedy przypominam sobie słowa piosenki Wojtka Młynarskiego i jej ostatnie wersy: „W najróżniejszych sztukach gramy, lecz w tej, co się skończy źle, jeszcze nie, długo nie!”

SPOWIEDŹ AKTORA

*Nie każdy mógł się wystawić
Nie każdemu dane jest jabłkiem
Spadać na cudze kolana*

*Oto jest największa na świecie spowiedź –
Spowiedź chuligana.*

Fragment wiersza *Spowiedź chuligana* Siergieja Jesienina
Przekład: Bruno Jasiński

Janusz Głowacki napisał kiedyś, że Siergiej Aleksandrowicz Jesienin jest dla starszych Rosjan rodzajem świętego, dla młodszych – rosyjskim Jimem Morrisonem. Żył szybko, kochał mocno i młodo zmarł, mając zaledwie trzydzieści lat. Ostatni wiersz napisał własną krwią. Oficjalnie mówi się o samobójstwie, ale jak było naprawdę? Na jego grób w Moskwie każdego dnia wielbiciel przynoszą świeże kwiaty i zawsze ktoś tam siedzi z butelką wódki, deklamując wiersze. Ja też tam pojedę z „pielgrzymką”. Wódkę już mam, kwiaty się znajdują, a wiersze mogę mówić na zawołanie. Mimo że wiódł hulaszczyste życie, pił ponad miarę i robił nieustanne burdy, swoją poezją potrafił zawojować świat. Ludzie go kochali, zwłaszcza kobiety. Jego burzliwy związek z amerykańską tancerką Isadorą Duncan zawiódł go na Zachód. I chociaż przez całe swoje krótkie życie był okrutny dla siebie, to nade wszystko był okrutny dla kobiet. Galina Bienisławska była

do tego stopnia w nim zakochana, że rok po jego śmierci zastrzeliła się nad jego mogiłą.

Żegnaj, przyjacielu, do widzenia...

*Żegnaj, przyjacielu, do widzenia,
Drogi mój, od krwi serdecznej bliższy.
Ta rozłąka w ciemnych przeznaczeniach
Obietnicą połączenia błyszczący.
Żegnaj. Bez uścisku dłoni i bez słowa.
Nie martw się, cień smutku z czoła przegoń.
W życiu ludzkim – śmierć to rzecz nie nowa,
A i życie samo – nic nowego.*

Żegnaj, przyjacielu, do widzenia... Siergiej Jesienin
Przekład: Tadeusz Mongrid

Ja z Jesieninem, że tak powiem, zadałem się jeszcze na studiach, przez mojego profesora od historii teatru polskiego – doktora Stanisława Mrazka. On sobie mnie jakoś wyjątkowo ulubił. Może ze względu na wspólne zamiłowanie do spożywania pewnych trunków? Mrazek przychodził do akademika o godzinie trzeciej w nocy, ściągał mnie z łóżka, chwytając za włosy, i recytował wiersze poety. O wódce, o picu, o prostytutkach i o przegranym życiu. Jego „spektakl” często trwał do samego świtu, po czym razem szliśmy do szkoły teatralnej, gdzie od ósmej rano on prowadził wykład, którego słuchałem, prawie śpiąc. Tak w wieku siedemnastu lat zaraziłem się Jesieninem. Z czasem wiele tych wierszy potrafiłem mówić na pamięć razem ze swoim profesorem.

Moskwa karczemna

A. Kusikowowi

*Tak! To pewne już! Niepowrotnie
Porzuciłem rodzinne pola.
Już nie będzie nade mną polotnie
Swym listowiem dzwoniła topola.
Niskie ściany beze mnie się zgarbią,
Już od dawna zdechł stary pies mój.
Widać umrzeć przeznaczył mi Pan Bóg
Pośród krętych ulic moskiewskich.*

*Kocham dukt wiązany tego miasta,
Choć zgrzybiałe, choć na wpół żywe,
Pozłocista, drzemiąca Azja
Na kopułach jego spoczywa.
A gdy miesiąc świeci nocą płową,
Kiedy świeci... jak wszyscy diabli!
Zaułkami, ze zwieszoną głową,
Do znajomej wlokę się knajpy.
Gwar i wrzask w tej speluncie smutnej,
Lecz przez całą noc aż do świtu
Deklamuję wiersze prostytutkom,
Z bandziorami chleję spirytus.
Coraz mocniej serce mi wali,
Już zaczynam mówić od rzeczy.
Ja stracony jestem wraz z wami,
Już nie wrócę, mnie nic nie uleczy.
Niskie ściany beze mnie się zgarbią,
Już od dawna zdechł stary pies mój.
Widać umrzeć przeznaczył mi Pan Bóg
Pośród krętych ulic moskiewskich.*

Znów tu biją się, piją, łzy ronią,

Przeklinają swe życie stracone
I pod żółtą żałość harmonii
Wspominają o Rusi rodzonej.
I ja sam, opuściwszy głowę,
W alkoholu topię spojrzenie,
By nie patrzeć twarz w twarz losowi,
By pomyśleć o czymś innym przez mgnienie.
Ach, dla Ruskich cóż dziś za święto,
Samogonu rozlała się rzeka.
Harmonista z nosem zapadniętym
Śpiewa mi o Wołdze i o Cze-ka.
Jest coś złego w spojrzeniach szalonych,
Coś hardego, gdy krzyczą zuchwale.
Żal im głupich tych, nieopierzonych,
Którzy życie nieopatrnie przegrali.
Żal im, że październik surowy
Ich w zamieci oszukał i gniewie,
I już ostrzy się zadziorem nowym
Nóż ukryty głęboko w cholewie.
Gdzież jesteście dalecy w tej chwili?
Czy dochodzą was tam nasze iskry?
Harmonista leczy wódką syfilis,
Który złapał w stepach kirgiskich.
Tacy się nie ugną, nie rozproszą!
Im beztroska dana ze zgnilizną.
Ty, Rassiejo moja... ty, Rosjo...
Azjatycka moja ojczyzno.
Rźnij, harmonio! Nuda, nuda spływa...
Palce harmonisty falą ciemną.
Pijże ze mną, suko parszywa,

*Pijże ze mną.
Wykochali cię, wytarzali
Do niemożliwości.
Co tak patrzysz siwymi ślepiami?
Chcesz w pysk, nie dość ci?
Na strasydło by cię do sadu,
Wystraszać wrony.
Aż do trzewi żeś mi dojadła,
Na wszystkie strony.
Rźnij, harmonio! Rźnij klawiszasta!
Pij, wydro, chlupże!
Ja bym lepiej tamtą piersiastą,
Bo głupsza.
Spośród kobiet ja nie ciebie jedną.
Niemąło was.
Ale z taką, jak ty jesteś, ścierwo,
To pierwszy raz.
Im boleśniej, tym głośniej
To gra, to ścicha.
Samobójstwem nie skończę,
A idź do licha!
Z waszą sforą sobaczą
Raz zerwać trzeba...
Ukochana... ja płaczę...
Przebacz mi... przebacz.
Śpiewaj, śpiewaj! Po gitarze przeklętej
Palce twoje tańczą i płyną.
Już zachłysnąć by się tym mętem,
Przyjacielu ostatni, jedyny.
Tylko nie patrz na te jej napięstki*

*I na jedwab z jej ramion płynący.
W tej kobiecie szukałem szczęścia,
A ztratę znalazłem niechcący.
Nie wiedziałem, że miłość to pomór,
Nie wiedziałem, że miłość to dzuma,
Lecz podeszła i okiem zmrużonym
Chuligana pozbawiła rozumu.
Śpiewaj, Sandro! Ty mi znów ukaż z bliska
Naszą młodość bujną, zawadiacką.
Niech innego całuje i ściska
Zblazowana piękna łajdaczka.
Ach, zaczekaj! Ja jej nie złorzeczę.
Ach, zaczekaj! Ja jej nie przeklinam.
Daj, o sobie zagram ci jeszcze
Pod basową tę strunę jedyłą...
Dni różowa kopuła spływa,
W sercu moim worek snów złotych.
Wiele dziewcząt żem obmacywał,
Wiele kobiet ścisnąłem po kątach.
Tak! Jest gorzka prawda tej ziemi,
Podpatrzyłem ją chłopięcym okiem:
Liżą wszystkie psy po kolei
Sukę ociekającą sokiem.
Więc dlaczego ta zazdrość mnie zżarła?
Więc dlaczego ja tak się gnębię?
Nasze życie prześcieradło i bartóg,
Nasze życie pocałunek, i w głębię!
Śpiewaj, śpiewaj! Wyroczenia wymowa
Rąk tych wieść o wyroczenia ztracie...
Ale wiesz co... pies z nimi tańcował...*

Ja nie umrę nigdy, mój bracie.

Moskwa karczemna Siergiej Jesienin
Przekład: Seweryn Pollak

Niebywałe, że młody człowiek pisał tak dojrzałe teksty o przemijaniu, kobietach, alkoholu – tym wszystkim, co w mniejszym lub większym stopniu dotyczy każdego z nas. Gdy czytałem jego wiersze, które nie są specjalnie skomplikowane, z jakiegoś powodu wydał mi się bardzo bliski. I pozostał taki do dziś, choć z alkoholem nigdy się nie zbratałem do tego stopnia co on. Ja jestem tylko facetem, który lubi się napić. Nawet upić. I, co ważne, mogę to zrobić, ale nie muszę. Dziś rzadziej niż kiedyś, bo wiek już nie ten, a obowiązków coraz więcej. Przybywa mi butelek w domowym barku, a ubywa alkoholu we krwi. Gdybym jako biedny student miał dostęp do takiej ilości trunków jak dziś? Nie chcę nawet myśleć.

Okoliczności towarzyskie spowodowały, że z czasem Jesienin zaczął ze mnie wychodzić. Gdy już byłem w Tarnowie, gdzie sytuacji „jesieninowskich” nie brakowało, nagle w trakcie imprezy uciszałem towarzystwo, wchodziłem na stół i trzymając flaszkę wódki w ręku, recytowałem i śpiewałem wiersze. To bardzo się podobało kobietom i nie ukrywam, że korzystałem z tych chwil popularności. Czasami przez głowę przelatywała myśl, czy nie zrealizować tego na scenie. Wreszcie, kiedy zacząłem grywać w Teatrze STU i bliżej współpracować z Krzyśkiem Jasińskim, który tryskał pomysłami i naciskał, żeby cały czas tworzyć coś nowego, dostrzegłem sprzyjające okoliczności. Sukces naszych Schaefferowskich spektakli spowodował, że pojawił się dobry grunt. Zaproponowałem Jasińskiemu tego Jesienina. Wybrałem odpowiedni układ wierszy, poprosiłem Janusza Grzywacza o

skomponowanie muzyki, a Jacek Ukleja zrobił scenografię, która trochę mnie przytłaczała, bo była zbyt bogata, choć niewątpliwie piękna. Reżyserią zająłem się sam. W styczniu 1992 roku zrobiliśmy premierę *Spowiedzi chuligana*.

Wszystko mierza...

*Wszystko mierza do własnej mety
Wyznaczoną losu kolejną,
Gdyby nie to, że jestem poetą,
Byłby ze mnie kawał złodzieja.*

*Chuderlawy, niezbyt wysoki,
Nie złaziłem z drogi nikomu –
Często, często z podbitym okiem
Przychodziłem z bójki do domu.*

*Na spotkanie wylękłej mamie,
Krew ścierając, mówiłem, blady:
– To nic! Tylkom się potknął o kamień.
Jutro z tego nie będzie ni śladu.*

*Teraz, kiedy już ostygł w żyłach
War kipiący dni moich pierwszych,
Niespokojna, zuchwała siła
Bujnie w moje przelała się wiersze.*

*Słów złocista chmara przywiata
Nieskończonym snując się szlakiem,
W każdej strofie jest dawna śmiałość
Oberwańca i zabijaki.*

*Ja, jak wtedy zaciskam zęby,
Choć inaczej już kroczyć muszę...
Jeśli dawniej mnie bili w głowę,
Teraz we krwi mam całą duszę.*

*I już teraz nie mówię mamie,
Lecz do obcej i drwiącej gromady:
– To nic! Tylkom się potknął o kamień.
Jutro z tego nie będzie ni śladu.*

*Wszystko zmierza... Siergiej Jesienin
Przekład: Władysław Broniewski*

Miałem czterdzieści lat. Byłem w sile wieku. Prezentowałem mojego ukochanego poetę i o mało nie wyplułem flaków! Bardzo długo dochodziłem do tego, że nie muszę krzycheć i rozdzierać szat, chcąc powiedzieć coś przejmującego na scenie. Niby wiedziałem o tym od początku przygody z teatrem, ale nie wiadomo, dlaczego tego nie stosowałem. Kiedyś do Krakowa przyjechał słynny Innokentij Michajłowicz Smoktunowski, uważany za jednego z najwybitniejszych aktorów w historii kina rosyjskiego i drugi, obok Laurence'a Oliviera, najslawniejszy odtwórca Hamleta na świecie. Moskiewski Teatr Michat wystawiał wtedy u nas *Czajkę* Antoniego Czechowa. Poszedłem z nastawieniem, że po spektaklu pozostanie mi tylko klęknąć przed Smoktunowskim, którego notabene uwielbiałem. Mija pierwszy akt, jakoś nie klękam. Myślę: w drugim pokaże, na co go stać. Zagrał drugi – hmm. Czekam więc na trzeci. Zagrał trzeci – i nic! Ja pierniczę, zawiodłem się na tym aktorze! Dopiero następnego dnia pomyślałem: Boże, jak on fantastycznie zagrał! Jaką on zrobił genialną rolę! Nie musiał pokazywać, że potrafi się śmiać. Tego uczą w szkole teatralnej, największe beztalencie nauczą się śmiać. Płakać też

nauczają. I pracy przeponą nauczają. Jednak prawdziwe aktorstwo jest rozpięte pomiędzy tym, co można, a tym, co trzeba. Wielki aktor, nie musi pokazywać w każdym geście na scenie, jak wiele potrafi. Co innego, gdy jest się dupą wołową, a nie aktorem, wtedy zazwyczaj pokazuje się wszystkie sztuczki techniczne ograne jeszcze na studiach.

Spowiedź chuligana zagrałem w sumie kilka razy. Początek lat 90. nie był dobrym czasem na rosyjską poezję – wtedy wszystko, co rosyjskie, było złe i źle się Polakom kojarzyło. A ja też nie miałem potrzeby przekonywania widza do rosyjskiej poezji. Po dziesięciu latach od premiery Krzysztof Jasiński namawiał mnie, żeby zrobić spektakl na nowo. Miał nawet jakiś pomysł, ale ja nie byłem do tego przekonany. Poza tym przeniósłem się wówczas do Warszawy i temat w naturalny sposób poszedł w zapomnienie. Wrócił do mnie zupełnie przypadkowo kilka lat temu.



Andrzej Grabowski w monodramie *Spowiedź chuligana. Jesienin*. Rok 2017

Krystyna Janda w swoim Och-Teatrze pracowała nad spektaklem *Nos* Mikołaja Gogola reżyserowanym przez Janusza Wiśniewskiego. Zaproponowała mi w nim główną rolę. Ale ja już po kilku próbach rozumiałem, że to nie dla mnie. Podziękowałem Januszowi i zaproponowałem, że spotkamy się, jak będzie robił „normalny teatr”, gdzie nie będę musiał grać koła u powozu. Zrozumiał. Później musiałem się jakoś przed Kryską wywinąć.

– Krysia, ty to akurat chyba zrozumiesz, bo całe życie grałaś nie przedmiot, tylko podmiot. Obojętnie, czy to była mała rola, większa, czy olbrzymia. Byłaś podmiotem. Ja też byłem zawsze podmiotem. A jak miałem być pionkiem i robić tło, to rezygnowałem albo w ogóle kłóciłem się i mnie wyrzucali.

- Tak, rozumiem cię doskonale i przepraszam. To co, zrobisz u mnie coś innego?
- Mogę zrobić *Spowiedź chuligana* w reżyserii Jasińskiego.
- Dzwon do Krzyśka, jak się zgodzi, to robimy.



Andrzej Grabowski i reżyser Krzysztof Jasiński podczas próby do monodramu *Spowiedź chuligana. Jesienin*. Rok 2017

Monodram *Spowiedź chuligana. Jesienin* ostatecznie powstał w 2017 roku w kooperacji Teatru Polonia z Teatrem STU. Dzięki temu miał dwie premiery – warszawską i krakowską. Krzysztof Jasiński wymyślił koncepcję kompilacji. W spektaklu na wielkim ekranie pojawiają się fragmenty monodramu zarejestrowanego w 1992 roku. Czyli jakby młody Jesienin deklamujący wiersze z ekranu i ja, „stary Jesienin” dopowiadający resztę na scenie. I właściwie

można powiedzieć, że wyszedł nam spektakl tyleż o Jesieninie, co o mnie, bo oprócz nagrań sprzed ćwierć wieku na monitorach wyświetlały się także moje zdjęcia z dzieciństwa i młodości. Te same obrazy pojawiały się w księdze życia, którą przeglądałem na stole w trakcie spektaklu, popijając wódkę ze szklanki.

Spowiedź chuligana. Jesienin w tej ostatniej wersji to jedyny spektakl, w którym nie chowam się za postacią. Jestem w nim taki, jaki jestem naprawdę. Zazwyczaj, będąc aktorem charakterystycznym, wymyślam sobie jakąś postać, tworzę ją i staram się mój pomysł konsekwentnie realizować. Nie jestem Gustawem Holoubkiem, który zawsze był sobą. Miał charyzmę i wybitną inteligencję okraszoną rewelacyjnym dowcipem. On zawsze grał siebie i wiedział, że będzie to bardzo dobre. Mógł zaryzykować i stworzyć inną postać, ale po co, skoro to, co konstruował na scenie, było świetne? Ja nie mam takiej osobowości. Dlatego wolę się ukryć za jakąś postacią i wtedy mogę zrobić o wiele więcej, bo mniej się wstydzę. W *Spowiedzi chuligana* jest jednak zupełnie inaczej. Już sam początek spektaklu, kiedy z głośników słychać Halinę Wyrodek śpiewającą pieśń *Ta nasza młodość*, wskazuje jasno na moją młodość w Krakowie – „z kości i krwi”. Sam to wymyśliłem, a Jasiński zaakceptował mój pomysł. Z kolei on przekonał mnie, żebym pomiędzy tekstami Jesienina wykonał arię Cavaradossiego z *Toski* Giacomo Pucciniego. Kiedyś nauczył mnie ją śpiewać kolega tenor i od tamtego czasu wielokrotnie w okolicznościach „jesieninowskich” wykorzystuję tę umiejętność, zmuszając wszystkich, by mnie słuchali. Krzysiek zaproponował, że aria będzie znakomitą przeciwwagą do wiersza *Czarny człowiek*, w którym Jesienin przyznaje się do kabotyństwa. W konwencji opery z założenia wszystko jest sztuczne, więc aria Cavaradossiego pasuje tu

idealnie. Nawet kończąc śpiew, pokazuję zalotnie język do publiczności, jakbym chciał powiedzieć: „I co?! Takiego Grabowskiego się nie spodziewaliście?!” A ja wbrew pozorom bardzo lubię operę.

*Ach, lubię poetów!
Zabawne to towarzystwo.
Znajduję w nich zawsze
Historię sercu znajomą –
Jak pryszczatej studentce
Potworne chłopisko
Długowłose prawi o światach
I ocieka śliną zmysłową.*

Fragment wiersza *Czarny człowiek* Siergieja Jesienina
Przekład: Władysław Broniewski

Jesienin to kawał mojego życia. Chłonałem jego poezję, bo wydawało mi się, że jestem taki sam. Zresztą był przecież czas, kiedy byłem w jego wieku. Teraz mam ponad dwa razy więcej lat niż on, kiedy odszedł, i nie mam go dosyć. Kiedy mówię te wiersze podczas spektaklu, to sam się wzruszam. Nie muszę tego robić tylko w teatrze. Mam przygotowaną wersję klubową. Potrzebuję tylko pianisty, żeby od czasu do czasu podegrał coś w klimacie Rachmaninowa. Resztą zajmuję się ja. Trochę brzdąkam na gitarze, śpiewam romanse i przede wszystkim mówię wiersze człowieka, który towarzyszył mi w młodości, w wieku burzy i naporu. Teraz napór się skończył, burza pozostała. W jakimś sensie połączyłem we własnym spektaklu Hamleta i króla Leara, postaci, których nigdy nie grałem, bo mnie nie interesowały.



Ach śpij, kochanie – kadr z filmu. Rok 2017

ACH ŚPIJ, KOCHANIE

MAKING OF

Rok 2017

Reżyser Krzysztof Lang angażuje mnie do bardzo mocnego filmu. Mroczny kryminał o przewrotnym tytule *Ach śpij, kochanie* to historia oparta na faktach, której głównym bohaterem jest bezwzględny, seryjny morderca Władysław Mazurkiewicz. „Piękny Władek”, jak go nazywano, pochodził z Krakowa. Zabijał w latach 40. i 50. XX wieku z pobudek materialnych. Przyznał się do sześciu zabójstw, rzekomo popełnił ich kilkadziesiąt. Skazano go na śmierć i powieszono w 1957 roku.

Rolę przebiegłego bandyty gra rewelacyjnie Andrzej Chyra. Młodego milicjanta, który rozpracowuje zabójcę, Tomasz Schuchardt. Mnie przypada w udziale postać ubeckiego prokuratora, straszego skurwysyna – „Gebels” z *Pitbulla* przy nim to pikuś. Oprócz nas w filmie występuje naprawdę silna ekipa aktorska – Bogusław Linda, Arek Jakubik, Katarzyna Figura, Karolina Gruszka i wielu innych. Od samego początku na planie towarzyszą mi dziwne emocje. Czytam z uwagą scenariusz, analizuję dialogi i coraz bardziej się nakręcam. Zdjęcia do filmu mają miejsce w Krakowie, a więc w moim mieście, gdzie prawdziwy Mazurkiewicz żył i dokonywał okrutnych rzeczy. Los zrządził, że historię Mazurkiewicza mam w głowie od ponad trzydziestu lat. Jestem z nią związany osobiście.

Rok 1982

Wreszcie oświadczam się mojej pierwszej żonie Ani Tomaszewskiej. W związku z tym zapraszam jej rodziców do Alwerni, żeby poznała ich moja mama. Wyruszamy z Krakowa moim samochodem. Kieruję i opowiadam przyszłym teściom o okolicach, przez które przejeżdżamy. Im bliżej Alwerni, tym bardziej ożywają wspomnienia i moje historie stają się bardziej osobiste. W okolicy wsi Brodła przemierzamy piękny las. Zwalniam, żeby wskazać moim pasażerom polanę, na której strzelaliśmy się z kolegami podczas zabawy w wojnę. Przejeżdżamy przez Porębę Żegoty, miejscowość poprzedzającą Alwernię. Mówię, że na tutejszym cmentarzu pochowany jest mój ojciec. Nikt tego nie komentuje, a ja zauważam, że od dłuższego czasu moi pasażerowie milczą. Kątem oka w lusterku zauważam, że im dalej w las, tym bardziej z ojcem mojej narzeczonej dzieje się coś dziwnego. Posmutniał, zamilkł i zrobił się niespokojny. Przed domem mojej matki, kiedy wszyscy już opuszczają samochód, Anka bierze mnie na bok i wymownie szepcze: „Andrzej, przepraszam za tatę, ale to wszystko właśnie tu się wydarzyło”. I nagle wszystko mi się układa. Kompletnie nie skojarzyłem faktów, choć powinienem.

Rok 1945

Władysław Mazurkiewicz nawiązuje kontakt z Józefem Tomaszewskim, dziadkiem Anny, mojej pierwszej żony. Pod pozorem okazyjnej sprzedaży dolarów zwabia go do swojego garażu i namawia na podróż do klasztoru w Alwerni. Józef przychodzi z pieniędzmi na umówione spotkanie. Morderca strzela do niego z zimną krwią i zabiera pieniądze. Ciało rozebrane do naga porzuca pod Brodłami. Ponieważ nie znaleziono przy nim dokumentów, Józef Tomaszewski zostaje pochowany na cmentarzu

w Porębie Żegoty jako NN. Dopiero po jakimś czasie, kiedy milicja uruchamia szersze poszukiwania, dochodzi do ekshumacji grobu i rodzinie udaje się zidentyfikować ciało Józefa Tomaszewskiego.

TAŃCZĄCA LOKOMOTYWA

Kiedy zadzwoniła do mnie Nina Terentiew, proponując mi udział w *Tańcu z gwiazdami*, byłem tak zaskoczony, że powiedziałem tylko: „Nina, rany boskie, co ja miałbym tam robić? Lwem parkietu, pomimo szczerych chęci, nie jestem, a mój jedyny kontakt z tańcem miał miejsce w przedstawieniu *Janosik*, kiedy musiałem przeskakiwać przez ciupagę!”. Na szczęście po chwili okazało się, że razem z Beatą Tyszkiewicz mamy jedynie oceniać tak zwany ogólny wyraz artystyczny tańczących par – cokolwiek to znaczy. Od oceny merytorycznej są uznani trenerzy tańca – Iwona Pavlović i Michał Malitowski. Odetchnąłem. Po krótkim wahaniu zgodziłem się i wkrótce zaczęliśmy regularne spotkania z ekipą.

Początkowy okres pracy na planie show mogę porównać do stąpania po cienkim lodzie. Posadzono mnie po lewej stronie stołu jurorskiego, w konsekwencji czego to ja miałem pierwszy zabierać głos i przyznawać punkty. Byłem jednak kompletnie zielony, jeżeli chodzi o znajomość zagadnień tanecznych, zupełnie nie wiedziałem, co komentować i jak oceniać, musiałem dopiero znaleźć na siebie pomysł. Wymyśliłem więc mówienie krótkich rymowanych wierszyków. Tworzyłem je na oczekaniu i w ten sposób komentowałem występy tańczących gwiazd. Zaczęło się od żartobliwego: „Joanno Moro, nie będziesz moją zmorą”. To się od razu spodobało publiczności i producentom, więc kontynuowałem moją karierę samozwańczego poety grafomana w kolejnych odcinkach. Sprawa skomplikowała się po jednym z występów Ewy Kasprzyk i Jana Klimenta. Przerobiłem tekst słynnej

Lokomotywy Juliana Tuwima i wyrecytowałem go, akcentując charakterystyczny rytm lokomotywy. Publiczność była zachwycona, ale mina Ewy, z którą od lat się lubimy, świadczyła o tym, że nie trafiłem w jej poczucie humoru. Fakt, była wyczerpana po tańcu, w który przed sekundą totalnie się zaangażowała. Niemniej mojego żartu nie podchwyciła w ogóle. Po powrocie do domu spojrzałem na komentarze internautów na temat tego zajścia i znalazłem stek wyzwisk pod swoim adresem. Ktoś napisał nawet, że za ów złośliwy wierszyk „ten stary cap i oblech powinien dostać od Ewy po mordzie!” Paradoksalnie spodobała mi się ta koncepcja. „Show must go on!” – pomyślałem. W następnym odcinku po tańcu Ewy i Jana uroczyście wyznałem: „Pani Ewo, pani pozwoli, że wstanę. Po ostatnim pani tańcu odczytałem wiersz, który niektórzy uznali za obraźliwy dla pani. Mówili, że powinienem dostać od pani w pysk. Jeżeli i pani tak uważa, to ja podchodzę i służę”. Ewa zachowała się wtedy jak stuprocentowa profesjonalistka estradowa! Dostałem w ryja, aż poczerwieniałem! Chwilę później Ewa serdecznie mnie uściskała. Trochę się z tego tłumaczyła, mówiąc, że nie lubi policzkować mężczyzn, ale ja ją sprowokowałem itd. Mniejsza o to, media plotkarskie zrobiły sobie z tego pożywkę, oglądalność programu wzrosła, a ja wciąż pozostaję jedynym jurorem, którego spoliczkowała uczestniczka programu.



W jury *Tańca z gwiazdami* z Iwoną Pavlović i Beatą Tyszkiewicz

Taniec z gwiazdami to dla mnie cotygodniowa dawka emocji – nigdy nie wiem, co się stanie. Lubię tak pracować. To również wielka lekcja pokory. Na przykład za sprawą Iwony Cichosz, przeuroczej dziewczyny, która od urodzenia nie słyszy. Mało tego, cała jej rodzina jest niesłysząca. Na szczęście dzięki swojej mądrej babci od drugiego roku życia Iwona jest pod opieką logopedy i wciąż uczy się mówić. Ta bardzo silna i pogodna dziewczyna została miss świata głuchych w 2016 roku i między innymi dzięki temu trafiła do programu. To z jednej strony pozwoliło jej zrealizować marzenia, a z drugiej – udowodniła, że nie trzeba słyszeć muzyki, żeby tańczyć. Niesamowite były jej opowieści o tym, jak odbiera muzykę całym swoim ciałem, wychwytyując rytm z fal dźwiękowych. Razem z tancerzem Stefano Terrazzino dotarli aż do finału. Wszyscy byliśmy nimi zachwyceni, podobnie jak kilka

lat później Joanną Mazur, niewidomą lekkoatletką, wielokrotną mistrzynią Europy, świata i medalistką igrzysk paraolimpijskich. Byłem pod wrażeniem jej występów w programie, ale jeszcze bardziej jej historii, bo zaczęła tracić wzrok, gdy była dzieckiem. Podkreślałem to w moich wypowiedziach w trakcie programu. Nawet koledzy z produkcji zwrócili mi uwagę, że powiedziałem o tym już kilka razy i się powtarzam. Mnie jednak wydawało się to bardzo ważne, więc mówiłem znów: „Drodzy państwo, zdajecie sobie sprawę, że Joanna zatańczyła tak wspaniale, nigdy nie widząc, jak wygląda taniec? Ona nigdy nie widziała czy, nigdy nie widziała rumbi, walca ani samby. Mogła tylko słuchać Janka Klimenta, który jej opisał, jak to wygląda, i pokierował ruchem. Wielkie brawa dla nich!” Patrzenie na nią, jak płynie po parkiecie, jak tańczy swoją wyobraźnią, było dla mnie dużym przeżyciem. Bardzo trzymałem za nią kciuki. Chciałem, żeby wygrała. W jednym z pierwszych odcinków tamtej edycji producenci programu postanowili, że wszyscy uczestnicy pokażą tanecznym partnerom swoje rodzinne strony. Joasia wraz z Jankiem pojechała najpierw do domu swoich rodziców w Szczucinie, przedstawiła go bliskim, pokazała mu ścianę z medalami, które zdobyła, i oprowadziła po okolicy, w której się wychowała. Po chwili ja i cała Polska przed telewizorami zobaczyliśmy coś, co mnie wprawiło w osłupienie i okropne poczucie wstydu. Były to zdjęcia z internatu dla niewidomych w Krakowie, w którym Joanna mieszka od czternastego roku życia do dziś. Zobaczyliśmy mały skromny pokój z jednoosobowym łóżkiem, szafką, minilodówką, zlewozmywakiem, na blat kuchenny nie było już tam miejsca. Kiedy jej programowy partner zwrócił uwagę na brak łazienki i toalety w pokoju, skrzępowanej Joasi pociekły łzy. Nagle cały ten kolorowy show prysł. Kopciuszek wrócił do domu.

Zbulwersowany, zasmucony nie wytrzymałem i powiedziałem: „Jestem wzruszony, ale czuję się również zażenowany i zawstydzony. Oto reprezentantka Polski. Osoba, dzięki której wielokrotnie grano Mazurka Dąbrowskiego przed oczami świata! I ta nasza chluba narodowa żyje w takich warunkach. Gdzie są instytucje państwa odpowiedzialne za to, by taką osobę docenić? Tu stoi mistrzyni świata! Wstyd mi, a z ciebie, Joasiu, jestem dumny”. Jednak Joanna obdarzona wyjątkową wrażliwością zupełnie niepotrzebnie przeprosiła za ten film.

Minął tydzień. Emocje opadły. Po ocenie oraz omówieniu tańca Joasi i Tomka Krzysztof Ibisz wywołał nagle z widowni polskiego przedsiębiorcę, który zgłosił się do producentów kilka minut przed programem. Na parkiet wszedł Zbigniew Jakubas z wielkim bukietem kwiatów i jakimś kluczem wyciętym z kartonu. W zachowaniu biznesmana z Krakowa dostrzegłem silne zmieszanie. Nie wyglądał jak gwiazda telewizyjna z przyklejonym na twarzy uśmiechem. Myślę, że sam bardzo przeżywał to, co za chwilę się stanie. Powiedział, że o historii Joasi dowiedział się równo tydzień temu, kiedy przyszła do niego jego zapłakana córka, również Joanna. Dodał, że ma szczęście, bo buduje właśnie w Krakowie nowe osiedle i może sobie pozwolić, żeby wręczyć Joasi symboliczny klucz do jej nowego mieszkania. Publiczność w studiu wybuchła aplauzem z zachwytem, wszyscy wstaliśmy i z uznaniem oklaskiwaliśmy pana Zbigniewa i rozpłakaną Joannę. Zresztą tych też wzruszenia nikt w studiu nie krył. Tak jak nikt się nie spodziewał błyskawicznej reakcji na wydarzenia sprzed tygodnia.

Przyznam szczerze, że przed objęciem funkcji jurora nie miałem w ogóle zdania na temat tego programu, bo zwyczajnie go nie oglądałem. Teraz, po sześciu latach mojej tanecznej przygody, zdaję sobie sprawę, jak piekielnie ciężką pracę wykonują uczestnicy

programu. To nie są celebryckie pogaduchy, z których niewiele wynika, tylko kilkutygodniowe treningi, których efekt zostaje zaprezentowany telewidzom na żywo. Bez względu na miejsce, do którego dotrą uczestnicy, ile błędów popełnią, ile potu i łez przeleją, wszystkim należy się uznanie i podziw.

WYRZUCONY Z TEATRU

Kiedy pracowałem nad tą sztuką w 1964 roku, wydawało mi się, że dialogom Wyspiańskiego brak siły i konsekwencji. W czasie pracy nad filmem usunąłem część dialogów i wówczas zrozumiałem, że pomysły Wyspiańskiego nie są aż tak porywające, jak sądziłem. Teraz rozpocząłem pracę w Starym Teatrze od dialogów w „Weselu”.

Andrzej Wajda

Fragment artykułu: *Wszechobecna dusza „Wesela”*, I.B. „Gazeta Krakowska”, 21 czerwca 1991

O tym, że Andrzej Wajda po raz kolejny podchodzi do inscenizacji legendarnego *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, wiedzieli w Krakowie wszyscy. W pewnym momencie usłyszałem od Tadeusza Bradeckiego, czyli dyrektora Starego Teatru, że Wajda chciałby mnie gościnnie obsadzić w roli Jaśka. Ale od razu zaznaczył, że to jeszcze nieoficjalne, bo może się okazać, że za dzień lub dwa obsadzi w tej roli na przykład Gérarda Depardieu. Po kilku dniach „tajna” informacja się potwierdziła. Zaczęliśmy próby na deskach gościnnego wtedy dla mnie Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej. Wajda podszedł do mnie od razu i powiedział, że z mojego udziału w spektaklu cieszy się najbardziej. Zdziwiłem się, bo przecież na tej samej próbie byli najwspanialszy aktorzy krakowscy: Jurek Trela, Janek Peszek, Krzysiek Globisz, Ania Dymna i wielu innych. A poza tym nie dość, że Jasiek to postać drugoplanowa, to jeszcze w tekście Wyspiańskiego jest młodym

chłopakiem, a ja dobiegałem wtedy czterdziestki. Zupełnie nie wiedziałem, jak tego Jaśka grać. Reżyser powiedział jednak, że widział mnie w *Scenariuszu dla trzech aktorów*, gdzie czytałem z gazety recenzję o swojej grze. Było to dla niego trochę bezczelne i niespodziewane, ale ostatecznie mu się spodobało. I chciałby w swoim *Weselu* właśnie takiego Jaśka. Żeby ludzie pomyśleli, gdy wychodzę na scenę: „A ten po co przyszedł? Tak było ładnie i jakiś się przyplątał!” Sugestia Wajdy mi wystarczyła. Miałem być dziwnym Jaśkiem, no to byłem.

JASIEK (Andrzej Grabowski)

I

*Zdobyłem se pawich piór,
nastroiłem pawich piór:
pawie pióra ładne,
pawie pióra kradne:
postawie se pański dwór!*

II

*Zdobęde se pański dwór,
wywleke se złoty wór:
złoty wór wysypie
ludziskom przed ślipie:
nakupie se pawich piór!*

Fragment *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego

Śpiewając te słowa pod koniec pierwszego aktu, zaciągałem się papierosem, chamsko wypuszczałem dym w stronę publiczności i wybiegałem ze sceny. Wajdzie przypadł ten pomysł do gustu, a moją rolę doceniono na Opolskich Konfrontacjach Teatralnych „Klasyka Polska”. W 1993 roku dostałem za nią nagrodę, równoległe

z Gustawem Holoubkiem, który grał wtedy Jana Kazimierza w *Mazepie* z warszawskim Teatrem Ateneum.



Spektakl *Wesele*. Od lewej: Katarzyna Aleksandrowicz, Andrzej Grabowski, Artur Dziurman, Marta Kalmus

Wesele rzadko kiedy bywa inscenizacyjną rewolucją i wielu reżyserów się na tym wyłożyło. A inscenizacja Wajdy, choć nie była czymś nadzwyczajnym, to jednak był to solidny kostiumowy spektakl – ze scenografią Krystyny Zachwatowicz, muzyką Stanisława Radwana i fantastycznymi kreacjami aktorskimi – który w Polsce odniósł ogromny sukces. Wkrótce zaczęliśmy jeździć z *Weselem* po świecie. Nazwisko Wajdy otwierało nam wiele drzwi do zagranicznych teatrów. Jednak na miejscu okazywało się, że widownia, pomimo znakomitej obsady aktorskiej, nie bardzo wie, o co chodzi. Po wesołym wstępie, w którym całą obsadą tańczyliśmy krakowiaka, następował ciąg scen mówionych, czy to

w dialogach, czy w monologach, ale jednak mówionych, i to językiem poetyckim. Coś, co dla Polaka było wielkim narodowym dramatem – w Paryżu, Mediolanie, Lizbonie czy w Halle okazywało się kompletnie niezrozumiałe. Tym bardziej że graliśmy przecież po polsku. No to jak sztuka miała wzbudzać euforię? Przed wyjazdem do Wilna doszło do spięcia pomiędzy mną a Wajdą. Miałem akurat inne zobowiązania w tym samym czasie i powiedziałem, że nie mogę zagrać w Wilnie, na co Andrzej oburzony odrzekł: „Więc to tak?! Do Paryża pan jechał, a do Wilna już nie chce?!”. On bardzo się cieszył na ten wyjazd. Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się, że Wajda pochodzi z Suwałk i spektakl w niedalekim Wilnie był dla niego sprawą osobistą. Ostatecznie pojechałem.

Wielcy reżyserzy, a Wajda niewątpliwie takim był, miewają swoje kaprysy – warto nauczyć się z nimi żyć. Wkrótce Tadeusz Bradecki zaproponował mi etat w Starym Teatrze. Przyjąłem to z radością, bo jednak granie w teatrze narodowym w tamtych czasach to była nobilitacja dla każdego aktora.

Kiedy po czterdziestce rzuciłem palenie, musiałem coś zmienić w roli – brakowało mi tego wypuszczenia dymu. Szukałem innego sposobu na „dziwnego” Jaśka. Wymyśliłem sobie, że będę w takim razie wykonywał słynny gest Kozakiewicza. W praktyce wyglądało to różnie, czasem o tym pamiętałem, czasem nie. Pewnego razu podczas przerwy w spektaklu zostałem zawezwany przez żonę Wajdy Krysię Zachwatowicz. Od razu zorientowałem się, że grałem przecież bez kamizelki. Cholera, opieprzy mnie za to i będzie miała rację. Wchodzę do pokoiku i już mam przepraszać, kiedy ona rozgniewana zwraca się do mnie per „pan”. Musi to być poważna sprawa, pomyślałem, bo przecież jesteśmy na „ty”. Okazało się, że na widowni są jej goście z Warszawy i pokazanie

im ręki zakrzywionej w łokciu z drugą, wiadomo jak, było skandalicznym zachowaniem. Kompletnie zdębiałem, wróciłem na scenę i zbagatelizowałem temat. Minęło kilka dni, wzywa mnie dyrektor Bradecki: „Andrzej, idź przeproś Krysę, bo Wajda chce zdjąć przez Ciebie *Wesele!*” Okazało się, że mój gest Kozakiewicza był strasznym afrontem dla Wajdy i Zachwatowicz. Obrazili się na mnie, zagrozili zdjęciem spektaklu i rozsiewali w Warszawie złe opinie na mój temat, o czym dowiedziałem się od kolegów i brata. A przecież gdyby ona mnie zawołała i powiedziała: „Andrzej, nie rób tego, nie podoba mi się to!” To powiedziałbym: „Masz rację, nie będę” – i po sprawie. Tymczasem taka niepotrzebna zadyma! Niedługo potem, kiedy w 1997 roku dyrekcję Starego Teatru objęła Krystyna Meissner – protegowana Wajdy i Zachwatowicz – w teatrze zrobiła się dziwna atmosfera. Zaczęło się mówić o tym, że będzie zwalniać aktorów i zdejmować sztuki. Wówczas dużą popularnością cieszyła się komedia Fredry *Gwałtu, co się dzieje* w reżyserii Anny Polony. Już długo graliśmy ten spektakl, a frekwencja zawsze dopisywała. I kiedy na zebraniu całego zespołu artystycznego Krystyna Meissner ogłosiła, że tak wzięty spektakl zdejmuje, nie wytrzymałem i powiedziałem: „Kochani, skoro dyrekcja zdejmuje spektakl, którego nie widziała, to ja się pytam: kto rządzi tym teatrem?”

Po kilku dniach zostałem zaproszony na rozmowę do dyrekcji. Jurek Bińczycki przekonywał mnie, że pewnie Meissnerowa chce mi zaproponować jakąś nową rolę. Może tak, pomyślałem, bo choć nigdy nie byłem gwiazdą Starego Teatru, to jednak miałem swoją solidną pozycję w zespole. Wymianę zdań z panią dyrektor pamiętam do dziś.

– Panie Andrzeju. Czy pan wie, jakim ja byłem wielbicielem pańskiego talentu?

– Dlaczego mówi pani w czasie przeszłym? – zapytałem zdziwiony.

– Reżyserzy się skarżą. Nie chcą z panem pracować. Proponuję w tej sytuacji, żeby pan odszedł z teatru – te słowa były dla mnie jak grom z jasnego nieba.

– O nie. Pani dyrektor, ja pani tego nie ułatwię. Będzie mnie pani musiała wyrzucić!



Spektakl *Wesele*. Rok 1991

Razem ze mną wywalono jeszcze kilku kolegów. Niektórzy walczyli o swoje prawa w sądzie pracy, nawet wygrali sprawy i zostali przywróceni do Starego Teatru. Ja miałem szczęście, bo w moim ukochanym Teatrze Słowackiego czekał już na mnie z otwartymi ramionami dyrektor Bogdan Hussakowski.

Dwa lata po tym zejściu zostałem Ferdkiem Kiepskim. Dziś myślę sobie, że prawdopodobnie gdybym wciąż grał wtedy w Starym Teatrze, to mógłbym tej roli nie przyjąć. Może pomyślałbym, że aktorowi teatru narodowego nie wypada grać w takim idiotyzmie?

Dzisiaj obok mojego krakowskiego mieszkania, w tym samym domu mieszka Krysia Zachwatowicz i często się widzimy. Tamte niesnaski sprzed lat już dawno minęły i nikt nie ma do nikogo urazy. W Starym Teatrze bywam rzadko. Ale premiery spektaklu *Czekając na Turka* w reżyserii Mikołaja, na podstawie książki Andrzeja Stasiuka, którego uwielbiam, nie mogłem sobie odpuścić. I nie żałuję.

MIKOŁAJ

– *Mikołaj! Tylko pilnuj Andrzeja!*

– *Jasne, mamo!*

– *I nie zgub nowych slipek, bo ciotka drugich nie uszyje!*

Te polecenia naszej mamy, wykrzykiwane, kiedy szliśmy się kąpać nad rzekę albo na gliniankę, świetnie oddają charakter mojej relacji z bratem Mikołajem.

Urodził się sześć lat przede mną. Odkąd pamiętam, musiał być opiekunem niesfornego dzieciaka, którym byłem ja, kiedy on chciał mieć już swoje życie i własne towarzystwo. Podpatrywałem go, marząc o tym, żeby jakoś wkraść się w jego świat. Gdy ja byłem na etapie infantylnych piosenek w stylu *Zielony mosteczek ugina się*, on słuchał Radia Luxembourg, w którym wówczas królowały dźwięki Brendy Lee, Paula Anki czy Ricky’ego Nelsona. Spaliśmy w jednym łóżku, a po jego stronie na nachliku – tak nazywaliśmy nocny stolik – błyszczało magiczne oko odbiornika Preludium. Mama co wieczór wpadała do pokoju i upominała go, żeby zgasił radio. Posłusznie je wyłączał do momentu, aż drzwi za mamą się zamknęły. Zawsze dbał o wygląd, nosił dopasowane koszule, układał fryzurę i smarował się kremem. Ciocia Marysia mówiła na niego „picuś-glancuś”. Kiedyś dostał wręcz hysterii – rodzice kupili mu marynarkę z nakrywanymi kieszeniami, a on chciał z wpuszczanymi, bo takie były wtedy modne. Uparł się i nie nosił jej.



Mikołaj i Andrzej – 1995 rok

Imponowało mi to, że wiedział, czego chce. W latach 50. kąpaliśmy się w rzece w zwykłych majtkach. W sklepie tekstylnym kupowało się to, co było, ale nie Mikołaj! Mój brat u Marysi, naczelnej krawcowej w Alwerni, zamówił sobie do kąpali specjalne slipy – nie mam pewności, czy używaliśmy już słowa „kąpielówki”. Gdzie on je podpatrzył? Myśmy w ogóle nie wiedzieli, co to jest, ale Marysia je uszyła, więc Mikołaj stał się jedynym w Alwerni posiadaczem kąpielówek. Ale jak zadać szyku w modnych slipach, nie będąc opalonym? Podkreślę, że Mikołaj był świetnie zbudowanym chłopakiem. No więc pewnego dnia mój zaradny brat wraz z kolegami postanowił wysmarować się ropą naftową. Natarli się tym dziadostwem i łazili po Alwerni cali brązowi, jakby przylecieli właśnie z Brazylii. Śmierdzieli przy tym niemiłosiernie, ale komu to przeszkadzało?

Mikołaj to moje przeciwieństwo. W szkole był bardzo pilny, a ja niekoniecznie. Lubił przewodzić w stadzie, miał naturę hegemon, dlatego spełnia się jako reżyser i dyrektor teatrów. Ja nie mam talentów przywódcy. Jeszcze w liceum w Wadowicach – tym samym, do którego wcześniej uczęszczał nasz najstarszy brat Wiktor, a dawniej Emil Zegadłowicz i Karol Wojtyła – angażował się mocno w kółko dramatyczne. Godzinami potrafił o tym opowiadać, choć ja jeszcze niewiele z tego rozumiałem. Mieszkał wtedy na stacji i ciągle zapraszał rodzinę na jakieś premiery do swojej szkoły. Jego decyzja o tym, że będzie zdawał do szkoły teatralnej, była zupełnie naturalna. Jednak ojciec próbował mu wybić ten pomysł z głowy, bo uważał, że aktorstwo może być doskonałym hobby. Chemik, nauczyciel, lekarz – to są prawdziwe zawody, ale nie aktor. Dziwiłem się mocno, bo przecież sam przechwalał się zawsze, jak to na studiach grał w Teatrze Słowackiego z samym, uwaga, Juliuszem Osterwą! Jak sądzę, to Osterwa grał, a nasz tata tylko stał obok niego w tym samym czasie na scenie i trzymał halabardę. Ale widać ta aktorska „współpraca” wywarła na nim duże wrażenie. Poza tym chętnie zajmował się amatorską działalnością teatralną. Odgrywał postać kultowego sołtysa Kierdziołka i na wzór Jerzego Ofierskiego wkładał wymięty kapelusz i zaczynał monolog, bardzo się przy tym bawiąc: „Cię choroba! Telewizyjka jest jak młoda dziewczucha. Popatrzysz, zara się do niej zapalasz, ale w pracy przeszkadza. A radio? Radio jest jak żona. Trzeszczy, trzeszczy nad uchem... a ty robisz swoje. I jakoś bez tego trzasku życie jest niepełne”

Nie mogę powiedzieć, że wynieśliśmy z domu jakieś tradycje aktorskie, ale zabawy w teatrzyki były częstą formą spędzania wspólnego czasu. Kiedy na święta Bożego Narodzenia przyjeżdżał do nas mój ukochany wujek Antoni, zwany Kolą, cała rodzina

bawiła się w teatr, urządzając w Alwerni tradycyjne herody, czyli jasełka. Wujek Kola grał Heroda. Śmierć z nieodłączną kosą z tektury odgrywał wujek Franek, a my z kuzynem Wojtkiem byliśmy za tak zwanych palantów. Nieśliśmy za Herodem płaszcz zrobiony z kapy na łóżko, a później w scenie, kiedy śmierć podrzynała mu gardło i zalegał na podłodze, podnosiliśmy jego ciężką nogę do góry i śpiewaliśmy: „O! Herodzie okrutniku!” A wujaszek Kola tylko mrugał do nas porozumiewawczo okiem i z cicha prosił: „Chłopcy, tylko nie za wysoko, bo się straszliwie objadłem”.

Mikołaj nie dostał się za pierwszym razem do szkoły teatralnej. Wykryli u niego jakąś wrodzoną wadę zgryzu, która psuła mu dykcję. Jednak to facet, który łatwo nie odpuszcza. Cały rok pracował jako laborant w zakładach chemicznych i próbował skorygować swoją wadę. Za drugim razem dostał się bez żadnego problemu i od razu został prymusem. Szybko zaczął działać w Teatrze Koła Naukowego PWST i realizować własne pomysły na spektakle. Reżyserował wtedy *Apetyt na czereśnie* Agnieszki Osieckiej i *Dozorcę* Harolda Pintera – pomysły niezwykle ambitne, więc jego notowania u profesorów rosły.

Coraz bardziej interesowało mnie jego życie studenckie. Odrobinę tego smaku mogłem poczuć, kiedy przyjeżdżał do Alwerni z przyjaciółmi z roku. Przez nasz dom przewinęli się wspaniali ludzie: Henryk Talar, Jurek Trela, Zygmunt Józefczak, Ula Popiel i Marian Dziędziel z Halinką Wyrodek, jego późniejszą żoną. Mama ich gościła z otwartymi ramionami, a dla mnie był to powiew wielkiego świata. Tych równych chłopaków oraz ponętnych dziewczyn, ich absurdalnych żartów i poważnych sporów mogłem słuchać bez końca. Podobała mi się ich zaradność, która przewijała się w opowieściach o chałturach lub zdawaniu

egzaminów. Ale przede wszystkim mieli siebie – i ja też tak chciałem. Aż w końcu się udało, wkradłem się do jego świata, przyjeżdżając do Krakowa na egzaminy do PWST. I wtedy stało się coś dziwnego. Mikołaj zaczął pracę jako aktor w Teatrze im. Słowackiego, a ja poczułem, że już mnie wypuścił spod swojej kurateli. Dziś wiem, że nie do końca tak było, bo on jednak czuwał nade mną, tak jakby przygotowywał grunt pod wspólne przyszłe działania.

Po powrocie z Tarnowa poznałem dzięki niemu Bogusława Schaeffera i przyłączyłem się do grupy MW2, nie mając kompletnie pojęcia, w co się pakuję. Musiałem wykonywać wszystko na polecenie brata, często bez zrozumienia, na zasadzie „tak masz zrobić i koniec!”. A to wcale nie było dla mnie proste, bo jestem zadziorny i lubię stawiać na swoim. Tymczasem musiałem opanować cały *Kwartet* w ciągu kilku prób, i to w języku angielskim, którego nie znałem. Było mi ciężko, tym bardziej że teksty Schaeffera to jedna wielka abstrakcja.

Kiedy Mikołaj zaczął kierować Teatrem Słowackiego, w którym byłem aktorem, pozwalał sobie na dużo więcej w stosunku do mnie niż do innych aktorów. A ja nie pozostawałem mu dłużny i potrafiłem wypowiedzieć słowa, jakich do dyrektora na ogół się nie mówi. Potrafiliśmy być dla siebie bardzo wredni w obecności kolegów z teatru. Czasem trzeba było zerwać próbę, w innym wypadku Mikołaj musiałby wyrzucić mnie z teatru. Dziś myślę, że te nasze tarcia były potrzebne, dobrze, że mieliśmy odwagę doprowadzania do nich i umiejętność przekłucia ich na efekt twórczy.

Kiedy w Teatrze STU zacząłem grać *Audiencję V*, Krzysiek Jasiński zaproponował, żebym zrobił coś więcej. Wpadłem wtedy na pomysł wystawienia *Scenariusza dla trzech aktorów*.

Przyszedłem z tym do Mikołaja i Janka Peszka, mówiąc: „Zróbmy to, będzie Schaefferowi miło”. I to był strzał w dziesiątkę! Nasza zawodowa współpraca z Mikołajem znów zaczęła nabierać tempa. Ponadto stała się lepsza – twarde „warunki” zostały określone w Słowackim. Po sukcesie *Scenariusza* mój brat wpadł na pomysł, żeby zrobić arcydzieło amerykańskiej dramaturgii, czyli *Kto się boi Wirginii Woolf* Edwarda Albeego – w wersji rodzinnej. W tej sztuce dołączyły do nas małżonki. Mikołaj i jego żona Iwona Bielska grali małżeństwo starych, George’a i Marty, a ja ze swoją ówczesną żoną Anką Tomaszewską – małżeństwo młodych, Nicka i Żabci. I tak dwa małżeństwa grały dwa małżeństwa prowadzące ze sobą okrutną grę. Co prawda, oni wówczas byli za młodzi, a my za starzy do tych ról, ale Mikołaj, reżyserując spektakl, nie skupił się na różnicy pokoleń, tylko chciał pokazać odmienne postawy życiowe niezależnie od wieku.



Opis obyczajów... w Teatrze Telewizji. Rok 1990. Od lewej: Anna Tomaszewska, Mikołaj Grabowski, Iwona Bielska, Andrzej Grabowski

I wreszcie przyszła pora na *Opis obyczajów, czyli jak zwyczajnie wszędzie się miesza złe do dobrego* według książki księdza Jędrzeja Kitowicza. Mikołaj wziął na tapetę tekst, który był przekleństwem studentów polonistyki, tak nudny, że nie mogli przez niego przejść. Kitowicz opisywał po prostu obyczaje w Polsce – kościelne i świeckie. Mikołaj nadał jednak temu całkowicie nowatorską formułę, powstał prawdziwie żywy teatr. Tu też zagraliśmy naszą rodzinną czwórką, ze wsparciem Uli Popiel, Jurka Golińskiego i Janka Frycza. Niesłuchanie się bawiliśmy podczas tego spektaklu. Dosłownie wchodziliśmy w publiczność – kładliśmy się na widzach, przytulaliśmy ich i oblewaliśmy wodą! No cuda z nimi wyczynialiśmy, a oni skręcali się ze śmiechu. Że podbiliśmy tym całą Polskę, chyba nie muszę dodawać.

I nam serce ustaje ze wstydu, gdy widzimy – w mistrzowskim wykonaniu! – scenki: „O sejmach”, „O zajazdach publicznych”, „O sądach konsystorskich”, „O trybunałach”... Patrzymy i myślimy: Rany boskie! Gdzież my jesteśmy? – A w Polsce – odpowiada nam Mikołaj Grabowski. – W Polsce.

Fragment recenzji Barbary Koś. „Słowo Ludu”, 1997



W Grecji z Mikołajem i Jankiem Peszkiem. Rok 1979

Te trzy jakże różne spektakle wystarczyły, żeby teatr Mikołaja się ukształtował i by także ukształtował mnie jako aktora. Do dziś czerpię z tamtych doświadczeń. To, że teraz potrafię, a nawet uwielbiam stać na estradzie przed mikrofonem, mówić prosto w oczy do publiczności i nie bać się tego, to jest zasługa teatru Mikołaja Grabowskiego. Za to, że wciągnął mnie w spektakle Schaefferowskie, gdzie ogromnie ważną formą wyrazu była improwizacja, będę mu dziękował do końca życia. Dziś w ogóle nie boję się być w pracy nieprzygotowany, a niektórzy aktorzy, jak nie będą znali tekstu na blachę, to nie wyjdą na scenę czy przed kamerę. Ja uwielbiam być zaskakiwany, gdy ktoś mi inaczej zagra, nagle zmieni sytuację, dlatego nie przepadam za próbowaniem

scen filmowych. Zazwyczaj wskakuję w nie spontanicznie i gram z rozpędu, z chęci. Wtedy to jest prawdziwe, żywe, a nie wyłącznie techniczne.

Nie waham się przyznać, że Mikołaj był motorem i aniołem stróżem mojej aktorskiej drogi. Dosłownie mnie w nią pchnął. Palcem wskazał, w którą ścieżkę idziemy. „Tędy do czegoś dojdiesz – mówił. – Bo jak pójdziesz w tamtą stronę, to ci nie wyjdzie, ty nie jesteś takim aktorem. Coś cię tam zastopuje”. Dziękuję Bogu, że przez całe życie „pływamy w tej samej gliniance”. Mikołaj buduje tratwy, a ja z nich skaczę na główkę. Tylko proszę, nie mówcie o tym naszej Mamie.

CZASAMI CIEPŁO POMYŚLĘ O TYCH MOICH ZIELONYCH DRESACH

Zaczął się od spotkania we Wrocławiu z Okiłem Khamidowem, reżyserem tadżyckiego pochodzenia, facetem po moskiewskiej szkole filmowej, który nie wiedział wtedy jeszcze, że przez następne siedem lat będzie dowodził ekipą filmową ponad trzystu odcinków *Kiepskich*. Praktycznie w ciemno i bez żadnego castingu zaakceptował mnie jako przyszłego – uwaga – Ludwika Kiepskiego. Wymieniliśmy uściski dłoni, dostałem kopertę ze scenariuszami trzech pierwszych odcinków i umówiliśmy się na nagrania za kilka dni.



Na planie serialu *Świat według Kiepskich* z Ryszardem Kotysem i Okielem Khamidowem. Rok 2007

Kiedy po powrocie do Krakowa przeczytałem scenariusz pierwszego odcinka, zrobiło mi się trochę niedobrze. Ale cóż, zawsze sobie w takich sytuacjach powtarzam, że gram różne role, bo to mój zawód, nie hobby. Pieniądze z tego małe, ale zawsze. Poza tym byłem przekonany, że taki serial nie może chwycić i z pewnością zniknie z anteny, zanim się pojawi – tyle z tego będzie. Zgodnie z umową po paru dniach pojechałem na Dolny Śląsk. Producenci poprosili mnie, żebym przywiózł ze sobą na nagrania stare fotografie rodzinne, które wzbogaciłyby scenografię. Niestety, nie jestem typem chomika archiwizującego swoją przeszłość i w ogóle zdjęcia się mnie nie trzymają. Sam nie robię, a jak już mam, to komuś oddam. Wygrzebałem jednak portret ze sztuki Zofii Kossak-Szczuckiej pt. *Gość oczekiwany*, na

którym wyglądam jak swój dziadek. Mam przedziałek na środku głowy, poważne wąsiska i zdobiony krawat pod białym kołnierzykiem – dziewiętnastowieczny właściciel manufaktury jak malowany. Portret ten do dzisiaj wisi w salonie Kiepskich. Pierwszego dnia na planie stanąłem sobie obok tego mojego „przodka” i pomyślałem: ciekawe, jak by ten mój dziadek miał na imię? I przyszło mi do głowy, że mógłby się nazywać Ferdynand Kiepski! Dlaczego nie? I dlaczego ja nie mam mieć na imię Ferdynand – tylko Ludwik? Co to w ogóle za imię, Ludwik? A Ferdynand Kiepski – to coś znaczy! Był przecież arcyksiążę Ferdynand I oraz wymyślony przez Ludwika Kerna pies, który bardzo chciał zostać człowiekiem – Ferdynand Wspaniały. Do dziś z sentymentem wspominam czołówkę serialu animowanego na podstawie książki Kerna – czytał ją Edward Dziewoński.

*Już nieraz w filmie czy w teatrze
pies pierwszorzędne role grał,
tego wrażenia nic nie zatrze,
jak babcię Kocham – hau, hau, hau!
Pies nawet czasem od człowieka
o wiele lepszy w roli jest,
bo żaden człowiek nie zaszczeka
tak, jak zaszczekać umie pies.*

Poza tym połączenie Ferdynanda z Kiepskim to jak sacrum i profanum w jednym worku, o co właśnie scenarzystom i pomysłodawcom serialu chodziło. Mieliśmy już nakręconych kilka scen, ale nikt jeszcze nie zwrócił się do mnie po imieniu. Pobiegłem do Okiła i mówię mu, że nie chcę mieć na imię Ludwik, tylko Ferdynand. Poparł mnie od razu Rysiek Kotys, tłumacząc, że będzie mógł się fajnie tym imieniem bawić: „Panie

Ferdku, panie pierdku itd.” Okił, wiedząc, że mamy tylko kilka dni na zrobienie aż trzech odcinków, powiedział, że jemu to obojętne, byle iść z tematem do przodu i nie tracić czasu na zbędne dyskusje. Scenarzyści mieli później do mnie duże pretensje za tę samowolkę. Widać przyzwyczaili się do tego „Ludwika”. Jednak to Ferdynand wszedł w krew narodowi i dzisiaj nikt nawet sobie nie wyobraża, że głowa rodziny Kiepskich może nie mieć na imię Ferdynand. Bo przecież to imię jest wspaniałe – mimo że kiepskie.



Na planie serialu *Świat według Kiepskich* z portretem „dziadka” Kiepskiego. Rok 2004

Planem produkcji pod nic nikomu niemówiącym tytułem *Kiepskich świat* stała się stara wrocławska kamienica przy ulicy Podwale. Tytuł serialu został wkrótce zmieniony na *Świat według Kiepskich*, ale Krzysiek Skiba dostał zamówienie na piosenkę tytułową trochę wcześniej, stąd w czołówce Big Cyce śpiewają: „Pa, pa, pa, pa, pa, pa, to jest właśnie Kiepskich świat”.

Z powodu ograniczonej przestrzeni na planie panował spory chaos. Każde ujęcie wymagało przerzucania kamer, świateł, kabli, a do tego jeszcze kolorowi muzycy z Big Cyca przyjechali nakręcić czołówkę. Chłopaki wprowadzili iście rockandrollowy klimat, co świetnie wpłynęło na integrację świeżo zebranej ekipy filmowej. Podczas rozmów między scenami wyczułem dużą niepewność wśród aktorów co do powodzenia serialu. Słyszałem nawet, że moja rola była wcześniej proponowana bardzo znanym aktorom, ale odmawiali po przeczytaniu scenariusza. Może gdybym przeczytał, zanim się zgodziłem, to też bym odmówił?

Krytycy nie przebierają w słowach, nazywając sitcom „największą głupotą, jaką kiedykolwiek widzieli”. Z kolei zwolennicy nie potrafią ukryć swojej fascynacji i uwielbienia dla serialowych bohaterów. Pierwsi widzą w „Świecie według Kiepskich” prosty humor, drudzy wyłapują niuanse językowe i inteligentną satyrę na niemal wszystkie aspekty życia codziennego. Kto zaśmiewał się przy humoreskach Stefana Wiecheckiego, smakował wykwintną ironię Jaroslava Haška czy po raz kolejny sięgał po „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego, jest zdolny odkryć głębokie warstwy parodii i ironii, na której zbudowano ten serial.

Fragm. artykułu Pawła Łepkowskiego „Świat według Kiepskich”:
Osiemnaście lat dobrego humoru

„Rzeczpospolita”, 18 marca 2017

Pamiętam, jak po pierwszych zdjęciach szedłem z Darkiem Gnatowskim, czyli serialowym Boczkiem, przez wrocławski rynek.

- Zobaczysz, Andrzej, za parę miesięcy będą nas tu zaczepiać.
- Coś ty, zwariował?
- Zobaczysz.

Tymczasem dzień po emisji trzeciego, pilotażowego odcinka *Kiepskich* Polsat bez wahania zlecił następne dziesięć, a w trakcie ich realizacji pojawiło się zamówienie na kolejne trzydzieści. Później rok w rok kręciliśmy po kilkadziesiąt odcinków serialu. Aktorzy pozwalali się z teatrów i poświęcili swoje życie zawodowe tylko temu serialowi. W pewnym momencie jego oglądalność doszła do 8 milionów widzów. W 2001 roku Tomek Kurzewski, twórca marki ATM i człowiek, który ma łeb do interesów, przeniósł produkcję do nowo wybudowanego studia filmowego w Bielanych Wrocławskich. Układ mieszkania rodziny Kiepskich w nowym miejscu został precyzyjnie odwzorowany, łącznie z tapetami, futrynami, meblami, dywanami i wszystkimi bibelotami. „Świętej pamięci dziadek Ferdynand” zawisł dokładnie w tym samym miejscu. Wprawne oko znajdzie tylko jedną różnicę pomiędzy kamienicą na Podwalu a studiem – jest nią szerokość korytarza. W studiu został on poszerzony, co bardzo ułatwiło pracę operatorom. Dziś ATM ma kilka studiów filmowych w Polsce. W jednym z nich, na Wale Miedzeszyńskim w Warszawie, nagrywamy kolejne edycje *Tańca z gwiazdami*.



Na planie serialu *Świat według Kiepskich* z Ryszardem Kotysem i Dariuszem Gnatowskim. Rok 2004

Po kilku miesiącach spełniła się przepowiednia Darka, a dla mnie zaczęło się przekleństwo. Bywało, że kiedy przyjeżdżałem do jakiegoś miasta, żeby zagrać swój program kabaretowy, to ustawiały się dosłownie komitety powitalne – oczywiście na cześć Ferdka! Pamiętam, jak w Łodzi, już po występie, musiałem uciekać ze sceny w eskorcie ochrony. Przemknąłem do jakiegoś pomieszczenia, gdzie panowie ukrywali mnie dobre pół godziny. Siedziałem sam na taborecie w półmroku i tylko współczułem Beatlesom i Stonesom. Ludzie ciągle się dobijali i nie mieli zamiaru odejść. Wreszcie ktoś podstawił mój samochód pod drzwi na zapleczu, dał mi kluczyki i powiedział: „Uciekaj!”. Pobiegłem w te pędy, ale rozweselony tłum rzucił się za mną. Pomachałem im tylko na do widzenia, wskoczyłem niczym Bruce Willis w *Szklanej*

pułapce do auta i ruszyłem przed siebie. Dwóch zdesperowanych fanów uczepiło się klamek. Szaleństwo jakieś! Autentycznie zacząłem się bać. Całe szczęście nie pourywali klamek, ale było mi głupio, bo widziałem w lusterkach, jak od nich odpadali – zjawisko dla mnie zupełnie nowe, dziwne i niezrozumiałe. Innym razem, w Gorlicach, po moim występie na scenę wszedł znany zespół – gwiazda wieczoru – a ja, opuszczając imprezę, musiałem przejechać autem prawie pod sceną. Kiedy tłum mnie zobaczył, zespół kompletnie przestał się liczyć. Publika zbiegła się wokół mojego wozu, byleby dotknąć choć karoserii – jakby to miało zapewnić szczęście na przyszłe lata. Czułem się niemal jak papież. Ale na szczęście to mija. Nowe gwiazdy wypierają stare o wiele szybciej, niż te stare mogłyby się spodziewać. Obecnie coraz rzadziej zdarza mi się słyszeć za plecami: „Ty, Ferdek! Kurna! Chono na browara!”

Do pewnego momentu nie znosiłem *Kiepskich*, bo ciągle nie byłem przekonany, czy widzowie odbierają nasz serial tak, jak byśmy chcieli. Czyli żeby dostrzegli tę nadgłupotę wynurzającą się z głupoty, która jest tutaj tylko środkiem wyrazu, a nie szczytem możliwości naszego dowcipu. Dowodem tego niezrozumienia była okropna i niesprawiedliwa reakcja mojego środowiska na *Świat według Kiepskich*. Pamiętam telefon od Izy Cywińskiej.

– Andrzej! Rany boskie, w jakim ty gównie grasz! Co ty robisz?

– Iza, ja jestem tylko aktorem. Daj mi jakąś ambitną rolę, bardzo chętnie zagram. Znasz mnie.

– Bycie aktorem do czegoś zobowiązuje, a tu...

– Iza, a w ogóle obejrzałaś cały odcinek *Kiepskich*?

– Skąd! Nawet nie zamierzam. Oglądałam trzy minuty. Wystarczy na zawsze.

– To może spróbuj obejrzeć, może w to wejdiesz? Myślę, że trzeba zobaczyć kilka odcinków, żeby zrozumieć, że ta głupota nie

jest tam przypadkowa. To serial i dla ambitnych, i nieambitnych. Jednym wystarczy jajca z powodu kopa w cztery litery, drudzy widzą w nim absurdalną ironię i lusterko, w którym dobitnie odbijają się cechy Polaków.

W mieszkaniu Kiepskich

Ksiądz (gra Igor Przegrodzki): Mnie się wydaje, że to tylko jakiś grzyb.

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Sam ksiądz jest grzyb! To jest Matka Boska Kiepska!

Borysek (Kazimierz Ostrowicz): Tutaj korona, tutaj berło, tutaj nos, oczy... Matka Boska Kiepska jak nic!

Ksiądz (Igor Przegrodzki): Silencjum! Ja tu jestem ksiądz i znam się najlepiej. Mówię wam, że to jest naturalne zjawisko, a nie jakiś cud nadprzyrodzony. Dajcie wodę z mydłem, to się okaże.

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Po moim trupie!!! Nikt Matki Boskiej nie będzie namydlał!

Ksiądz (Igor Przegrodzki): Róbcie, co chcecie, ale ostrzegam – obrazoburstwo czynicie! Ja umywam ręce!

Paździochowa (Renata Pałys): Ludzie, cud się stał!

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Jaki cud? Gdzie?!!!

Paździochowa (Renata Pałys): Matka Boska Paździochowa pojawiła się na ścianie!

(Przechodzą z mieszkania Kiepskich do Paździochów)

Listonosz (Bohdan Smoleń): Matka Boska Paździochowa we własnej osobie i w tym samym miejscu co Matka Boska Kiepska. Tyle że nieco bledsza.

Paździuch (Ryszard Kotys): Cuda czyni! Kluczyk od wozu zgubiłem wczoraj, a tu jak raz znalazłem pod szafą.

Paździuchowa (Renata Pałys): A mnie portfel z pieniędzmi się gdzieś zapodział, jak raz patrzę, a w torebce go mam. Jak to wytłumaczyć?

Listonosz (Bohdan Smoleń): Od tych rzeczy ona jest! Chwała! Chwała na wysokościach!

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Cicho! Matka Boska Kiepska większe cuda czyni! Wodą leczy kolki bolesne!

Paździuchowa (Renata Pałys): Nasza większe rzeczy znajduje!

Paździuch (Ryszard Kotys): Fluidem leczy i z biegunki pier yyy permanentnej i żonę z erotomanii wyleczyła.

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Matka Boska Kiepska lepsza! Pierwsza była!

Paździuchowa (Renata Pałys): Nasza łaskawsza i ładniejsza.

Ksiądz (Igor Przegrodzki): Silencjum, narodzie! Przecież jest tylko jedna, w niebie i w sercu! Żadna Paździuchowa i żadna Kiepska.

Babcia Kiepska (Krystyna Feldman): Ksiądz wie swoje, a ja swoje! Kto w Matkę Boską Kiepską wierzy, niech na moją stronę przejdzie!

Paździuchowa (Renata Pałys): A kto w moją, niech na moją!

Ksiądz (Igor Przegrodzki): Idźcie wszyscy do wszystkich diabłów! Nie będę tracił czasu na takie herezje. Muszę się jeszcze nauczyć kazania na niedzielę. Ale ostrzegam! Będzie długie i nudne! A obecność wszystkich obowiązkowa.

Fragment drugiego odcinka serialu *Świat według Kiepskich* pt. *Wiera czyni cuda*

W 2005 roku, kiedy serial ma na koncie ponad dwieście odcinków i nadal osiąga świetne wyniki oglądalności, na

stanowisko osoby odpowiadającej za ramówkę Polsatu wchodzi świętej pamięci Waldemar Dziki i decyduje o zdjęciu *Kiepskich* z anteny, bo są mało ambitni. Po roku przerwy, kiedy na antenie regularnie emitowano tylko powtórki serialu, okazało się, że zgodnie z teorią Ferdka „prawa handlu są bezprawne” – ATM dostało zlecenie na wyprodukowanie czterdziestu nowych odcinków. Tymczasem Polsat, chcąc się dowiedzieć, kto faktycznie ogląda *Kiepskich*, zlecił badania rynku. Okazało się, że dość dużą widownię stanowią osoby z wyższym wykształceniem. Bardzo się ucieszyłem i mój stosunek do *Kiepskich* zaczął się zmieniać. Może jest tak, jak mówił mi kiedyś Skiba – ludzie z niższej warstwy społecznej nie chcą oglądać patologii i wstydzą się tego, co mają na co dzień. Wolą seriale typu *Dynastia* czy *Moda na sukces*, ponieważ chcą bajek o pałacach, bogaczach i ich problemach miłosnych. Chcą zobaczyć, jak ona nieszczęśliwa płacze, siedząc na milionach, a on ją zdradza z pokojówką czy inną niewolnicą. A Ferdek ma jednak swój narodowy honor. Jeżeli się obraża, to mówi: „Panie Paździoch, pan jesteś gnida, pan jesteś padalec, pan dobrze o tym wiesz!”. Po kilku latach nawet Iza Cywińska, będąc gdzieś na wakacjach, obejrzała kilka odcinków *Kiepskich* i powiedziała mi, że to jednak fantastyczny serial, lepszy od kina moralnego niepokoju.

Po siedmiu latach emisji „Świat według Kiepskich” uznać można za trwałą ikonę polskiej popkultury. Wielu odstrasza ją wulgaryzmami, dosadnością i głupkowatymi żartami. Często balansują na granicy dobrego smaku, jeszcze częściej ją przekraczają. On (bezrobotny, z piwem, przed telewizorem) o niej: „głupia baba”. Ona (zaharowana salowa, przeważnie w papilotach) do niego: „ty jełopie durnowaty”, „idioto”. Do tego dwoje nierozgarniętych dzieci i babcia, tym bardziej

akceptowana, im bliżej wypłaty renty. Oto rodzina Kiepskich. Warto odłożyć uprzedzenia na bok, bo ze wszystkich rodzin polskiej telewizji ta jedna ma coś ważnego i ciekawego do powiedzenia.

Fragment artykułu Mateusza Halawy *Kiepscy nie tacy kiepscy?*
„Polityka”, 4 stycznia 2007

Absolutną gwiazdą serialu była Krysia Feldman, która zgodziła się zagrać babcię z tych samych powodów co ja – aktorstwo to zawód, a nie hobby. Rozpoczynając przygodę z serialem, miała 83 lata. Była niesamowicie zwinna i gibka – chciałoby się powiedzieć „jak na swoje lata”, ale nie – ona była nie do zdarcia! Kręciliśmy odcinek pt. *Gumowy interes*, w którym Ferdek zainspirowany znalezionymi na śmietniku starymi dętkami, kaloszami, szlauchami i kondomami wymyśla interes życia. Będzie produkował ferdygumki, czyli zabawki dmuchane, które opchnie dzieciom na plażach całej Europy! Rodzina jest zachwycona, prócz babci oczywiście, którą Kiepski zmusza do dmuchania dętek samochodowych. W pewnym momencie babcia w odwecie oblewa Ferdka supersilnym klejem i przypadkowo skleja się z nim plecami. Zaczynam biegać po pokoju, a małeńka Feldmanowa macha rękami i nogami w powietrzu. Wtedy mnie krew zalewała, że muszę to grać, ale niedawno widziałem ten odcinek i szczerze się ubawiłem. Krysia, choć świetnie sobie radziła, to zawsze protestowała przed takimi karkołomnymi scenami. „Ja się nie godzę!” – pokrzykiwała. Raz wspólnie oprotestowaliśmy treść odcinka. Powiedzieliśmy, że nie będziemy tego grać i już. Pomysł był taki, że Kiepscy jadą na urodziny Jana Pawła II do Watykanu. To był odcinek z pierwszej serii, kręconej jeszcze w 1999 roku. Dzisiaj są dowcipy o papieżu, wielu też ma do niego pretensje, ale

wtedy – kult żyjącego jeszcze Jana Pawła II był olbrzymi. Powody naszej niezgody były różne. Krysia protestowała, bo była praktykującą katoliczką – wręcz ortodoksyjną. Kiedy kręciliśmy odcinki w niedzielę, musiała mieć przerwę i trzeba było ją zawieźć do kościoła. Dla niej nie było takiej możliwości, żebyśmy naśmiewali się z Jana Pawła II. Ja z kolei uważałem, że jeszcze za wcześnie na taki mocny żart. Gdyby to był setny odcinek serialu i ludzie zaakceptowaliby to, co robimy, wtedy byłoby wiadomo, że nie wyśmiewamy Jana Pawła II, tylko ludzi, którzy stawiają mu pomniki koszmary, których on nie chciał, co często podkreślał. W rezultacie scenariusz został całkowicie zamieniony na historię, w której Kiepscy wybierają się na Festiwal Piosenki Radosnej Duchem i Ciałem do Częstochowy. Po wielu perypetiach z repertuarem i stylami muzycznymi decydujemy się na kapelę punkową pod nazwą Kanalia i dajemy ostrego czadu. Z czerwonym irokezem na głowie, agrafką w nosie, zielonymi wąsikami i w koszulce z flagą brytyjską drę się wniebogłose do mikrofonu niczym „Siczka” z KSU śpiewający *Jabol punk*:

Noł future!

Noł future!

Gdy życie ci zbrzydło

I stało się piekłem

Wsadź łeb do sedesu

I nakryj się dekle

Gdy żona cię nudzi

A babka dobija

To kup flaszkę w sklepie

I zalej se ryja

*Pit, nipy i regony
Wszystko papier popieprzony
Urzędowe te wezwania
Papier tylko do zesrania*

Piosenka z serialu *Świat według Kiepskich*, odcinek 13 pt. *Kiepscy dają czadu*, 1999

Być może dlatego wiele lat później zadzwonił do mnie prawdziwy „Siczka” z prawdziwego KSU i zaproponował, żebym zaśpiewał z nimi piosenkę *Po drugiej stronie drzwi* na jubileuszowej płycie. Co prawda kiedy zjawiłem się w studiu, okazało się, że płyta ma być akustyczna, ale poszedłem do pomieszczenia za szybą, spędziłem tam piętnaście minut i piosenka była nagrana. Później dałem się jeszcze namówić na kilka wspólnych występów z KSU – już nie akustycznych, ku uciesze publiczności, być może pamiętającej tamte punkowe wariactwa w *Kiepskich*.

Nie zapominajmy jednak, że Ferdek ma w sobie drzemiący i zupełnie niewykorzystany potencjał. Wystarczy przypomnieć sobie, że był kreatorem mody, detektywem, pisarzem, grabarzem, fryzjerem, a nawet kandydatem na prezydenta. Próbował sklonować żonę i skonstruował perpetuum mobile. Surrealistyczne sytuacje sprawiają, że łatwiej przełknąć nam wyśmiewane przywary.

Fragment artykułu „*Świat według Kiepskich*”: *Czego nauczyli nas Kiepscy?* – ze strony Swiatseriali.interia.pl, 12 czerwca 2014

Scen poszczególnych odcinków nigdy nie nagrywamy chronologicznie, robimy to obiektami. Kiedy wchodzimy do

kuchni, to skręcamy wszystkie sceny kuchenne, a potem przenosimy się do pokoju, na korytarz itd. Bez trudu pamiętałem konteksty wszystkich sytuacji, kiedy mieliśmy wyprodukować pierwsze trzy odcinki. Teraz mam do nagrania siedemnaście scen w kuchni i gdy po raz szósty jem kaszanke, to mimo że smaczna, już nie mogę na nią patrzeć, a reżyser krzyczy: „Andrzej, pochłaniaj z apetytem!”, poza tym muszę jeszcze pamiętać, czy akurat jestem porytowany, wesoły, czy może wystraszony – wszystko to jest ogromnie wyczerpujące. Psychicznie człowiek odlatuje. Do tego przecież trzeba się totalnie otworzyć, schować wstyd i przestać robić z siebie durnia, udając, że nie jest się durniem. Oglądałem takie sitcomy, gdzie aktor grał durnia, ale cały czas „mrukał okiem” do widza, że on tylko tak udaje, przecież normalnie jest bardzo inteligentny. To nie może tak wyglądać – ludzie szybko się połapią, że coś jest nie tak. Na szczęście ja nie uczę się tekstu. Czytam sobie przed sceną i gram. Tylko w nowych filmach muszę się trochę pouczyć – choć też nie zawsze. W *Kiepskich* jest mi o wiele łatwiej, ponieważ ten niegramatyczny język Ferdka, przekręcanie słów również wymyśliłem ja. Stworzyłem postać, która już sama gra. Wymagało to jednak kilku lat pracy. A spotykam się czasem z komentarzami, że zrobienie takiego jajcarskiego serialu to czysta przyjemność. „Ty masz dobrze! Powygłupiacie się trochę, piwa się napijesz, najesz się tych kiszek. Żreć nie umierać!” – piszą rozbawieni internauci.

W ogóle odnoszę wrażenie, że ci, którzy znają mnie jedynie z serialu *Świat według Kiepskich*, myślą, że ja mieszkam na ulicy Ćwiartki 3/4 we Wrocławiu, jestem bezrobotny i piję wódkę lub browary na okrągło. Kiedy widzą mnie za kierownicą, to się dziwią, dlaczego pijany jadę samochodem – takie pomieszanie z poplątaniem. Oczywiście potrafię to jakoś okiełznać w swojej

głowie i myślę o tym w kategoriach komplementu. Jeżeli o aktorze mówią, że to prawdziwa postać, a nie aktor, to znaczy, że zagrał idealnie.



Na planie serialu *Świat według Kiepskich*. Rok 2007

W ostatnim czasie serial kręcimy krótszymi seriami niż kiedyś, po pięć, góra sześć dni, ale i tak w mojej głowie dzieje się coś, co dotyka wiele osób z tej branży. Cały dzień obracam się jednak na planie, wokół mnie dziesiątki ludzi pracują po to, żebym mógł jak najlepiej zagrać: „Panie Andrzeju, zapraszam, poprawimy makijaż”. „Podłóżcie mu poduszkę pod plecy”. „Andrzej, a może to, tamto...”. I zawożą mnie w końcu do hotelu. I jestem sam. Cisza. Nie wiadomo, co robić. Wtedy przychodzą myśli depresyjne. Po co to wszystko? Przecież ja żyję w jakimś złudnym świecie, a ten prawdziwy jest okropny. Jestem w jakimś hotelu, większość życia spędzam w hotelach! Mam tego dosyć. Jutro znowu muszę wstać i zagrać te wszystkie sceny. I z jednej strony się cieszę, już bym chciał wstać i wynieść się z tego pokoju, ale z drugiej – chcę od wszystkiego odpocząć. Muszę odpocząć. Może coś przeczytam, ale

jak czytać, kiedy w głowie mam cały czas głos Ferdka? Czasem zejść do restauracji. Tam czasem ktoś przyjdzie i do czegoś namówi.

W Ferdynandzie Kiepskim, jego żonie, sąsiadach, dzieciach i znajomych odbija się obraz społeczeństwa polskiego końca lat 90. XX wieku i pierwszych dwóch dekad nowego stulecia. Jak każda karykatura, tak i „Świat według Kiepskich” jest przedstawieniem przerysowanym, ukazującym świat szydlerczo wypaczony. Ale to właśnie owo przejawienie najbardziej nas w serialu urzeka.

Fragment artykułu Pawła Łepkowskiego „Świat według Kiepskich”:
Osiemnaście lat dobrego humoru
„Rzeczpospolita”, 18 marca 2017

Już nie pamiętam, od którego momentu zacząłem lubić Ferdka. Nigdy go nie pokochałem, ale teraz patrzę na niego z wielkim sentymentem. Szczególnie wtedy, gdy nie kręcimy – obecnie jestem w trakcie realizacji kolejnego sezonu, więc sentyment trochę mi przeszedł. Ale dobrze wiem, że jak skończę i miną dwa, może trzy tygodnie, to nagle sobie ciepło pomyślę o tych moich zielonych dresach, o tym fotelu, na którym siedzę już ponad dwadzieścia lat, o tym łóżku, o tych podkoszulkach, białych skarpetkach, Maryjkach na ścianach, które cały czas są takie same. Zmieniali się scenarzyści, reżyser jest już trzeci z rzędu, większość naszej ekipy postarzała się o dwadzieścia jeden lat – to połowa mojego zawodowego życia. Kiedy zaczynaliśmy, Rysiu Kotys był prawie w tym wieku, co ja teraz, miał sześćdziesiąt siedem lat. Nie ma z nami Bohdana Smolenia, którego nawet już bardzo chorego przywożono na wózku, sadzano na krześle przed kamerą, żeby

choć powiedział swoje kultowe: „Ale jaja!” Zależało nam, żeby mimo wszystko jakoś go zająć.

Z uśmiechem wspominam świętej pamięci Kazimierza Ostrowicza, serialowego Boryska. Urodził się pod Lwowem osiemnaście lat przed wybuchem wojny. Swoje nazwisko zawsze tak wyniośle wymawiał – jakby wielkimi literami. Pocieszne było, jak nigdy nie rozumiał, że scenę trzeba powtórzyć, zrobić dubla, czasami nawet na wszelki wypadek. I wtedy z tym lwowskim, cudnym zaśpiewem zdziwiony wyjaśniał.

- Przecież ja już to zagrałem.
- Tak, panie Kazimierzu, ale jeszcze zrobimy powtóreczkę.
- Po co? Jak ja to już zagrałem?

Był w tym szczery i autentyczny, broń Boże złośliwy. Nie ma już Igora Przegrodzkiego, który bardzo dużo z nami grał, nie ma Leosia Niemczyka i nie ma Jurka Cnoty, który od pewnego czasu grał z nami emeryta Kopcińskiego, straszną mendę. Nie zapomnę, jak w jednym odcinku stał w kolejce po pasztetówkę, nie mogliśmy sceny skończyć ze śmiechu. Nagle zmarł. Bardzo mi szkoda, bardzo lubiłem Jurka.

W końcu nastąpiło wyciszenie w naszym organizmie, który się nazywa *Świat według Kiepskich*. Przyjeżdżamy i rozjeżdżamy się. Powtórki sześciuset nakręconych odcinków lecą we wszystkich kanałach Polsatu każdego dnia. Dzięki temu dla wielu widzów Feldman i Smoleń nadal żyją. A Grabowski? Oprócz tego Ferdka to chyba niewiele w życiu zagrał?



Na planie serialu *Świat według Kiepskich*. Rok 2008

POSPRZĄTAĆ PO SOBIE I ZNIKNAĆ

Wężyk, 9 kwietnia 2020

Drogi Jaśku.

Pandemia koronawirusa i wszystkie zakazy z nią związane zatrzymały mnie w domu pod Warszawą. Moja ukochana utknęła w Krakowie, więc siedzę na tej mojej wicherze już od dwóch tygodni zupełnie sam. Trochę spaceruję, czytam i porządkuję różne sprawy. Jak zgłodnieję, to coś ugotuję, pogapię się w telewizor i dzień zleciał. W Wielką Środę pojawili się robotnicy, żeby uporządkować ogród. Fajnie było popatrzeć wreszcie na żywych ludzi i wymienić uśmiechy. Nie narzekam, bo przecież bez przerwy pracuję z ludźmi, więc trochę odpoczynku od nich dobrze mi robi.

Usiadłem sobie wczoraj w salonie na Twoim krześle. Popatrzyłem na nas z Twojego miejsca w moim domu, podjadając szarlotkę od sąsiadów. I wiesz co? Ta nasza przyjaźń to jakaś przedziwna historia. Nawet nie wiem, kiedy i gdzie się zaczęła.



Z przyjacielem Janem Nowickim. Kowal. Rok 2009

Bo przecież nie stało się to w Giżycku, gdy jako szesnastolatek spędzałem wakacje na obozie żeglarskim wraz z przyjaciółmi Mikołaja – ekipą studentów krakowskiej PWST. Pewnego dnia przyjechałeś do nas w odwiedziny – piękny dwudziestodwuletni amant, elokwentny, dowcipny, przystojny, otoczony wianuszkami kobiet. Całą noc przy akompaniamencie szklaneczek opowiadałeś o teatrze, o filmie, o wspaniałych rolach. Ja co prawda nie uczestniczyłem w biesiadowaniu, za to z uwagą słuchałem każdego Twojego słowa. Z upływem czasu i płynów towarzystwo się wykruszało, aż w pewnym momencie Ty – słynny Jan Nowicki – perorowałeś już tylko do gówniarza, któremu dopiero się puszczał wąs pod nosem. Wtedy podeszła do nas Halinka Wyrodek i powiedziała: „Dajże mu spokój! Przecież on jeszcze matury nie ma. Nie jest aktorem”

Na co Ty, tłumacząc chyba sam siebie, wbiłeś we mnie przenikliwy wzrok i rzekłeś: „Nie jest, ale będzie!”

Kiedy wylądowałem w Krakowie, nasze ścieżki wcale nie były zbieżne. Może jakieś znaczenie miało to, że mijaliśmy się czasami w Piwnicy pod Baranami? Może energia tamtego miejsca obudziła się w nas po latach? Tę Piwnicę, która istniała za czasów Twojego przyjaciela Piotra Skrzyneckiego, wspominam najczulej. To było miejsce magiczne, artystowskie. Małeńka ostoja wolnego słowa. Tam właściwie można było wszystko mówić i ze wszystkich się śmiać oraz mieć nadzieję, że „mury kiedyś runą”. Fantastyczni ludzie. Wspaniałe recitale Ewy Demarczyk – to wszystko działało jak magnez! Tylko przyjść i posiedzieć. Wtulić się w atmosferę. Posłuchać Piotra, który pięknie wszystkich witał, z imienia i nazwiska. Kiedyś ze sceny powiedział: „Witamy aktora Andrzeja Grabowskiego” – było to dla mnie absolutne wyróżnienie, czułem się jak w siódmym niebie. Nie wiem, czy Ci o tym wspominałem, ale dostałem kiedyś propozycję występów w Piwnicy pod Baranami. Poszedłem na pierwszą próbę i było tak fantastycznie rozrywkowo, że wróciłem nad ranem, prawie na czworaka. Po drugiej próbie z podobnym finałem wystraszyłem się, że któregoś dnia już stamtąd nie wyjdę. Zrezygnowałem. Chyba słusznie. A może otarcie się o Piotra Skrzyneckiego przybliżyło mnie do Ciebie? Kto to wie?

Zobacz, Jasiek – nigdy nie było żadnych wyraźnych powodów, byśmy się zaprzyjaźnili. Graliśmy w innych teatrach – w sumie żadnych wspólnych zawodowych tematów nie mieliśmy. A może właśnie to miało znaczenie? Wystarczyło raptem jedno, może dwa spotkania, podczas których zauważyłeś we mnie kogoś innego, niż wcześniej myślałeś, a ja w Tobie kogoś innego, niż ja myślałem. I nawet przestało mieć dla mnie znaczenie, że kiedyś tam wylałeś na

mnie wiadro pomyj za Ferdka w jakimś felietonie. Ale muszę Ci powiedzieć, że bardzo mnie zaskoczyłeś, kiedy na festiwalu filmowym w Tarnowie, w kinie wypełnionym po brzegi publicznością, przeprosiłeś mnie, żeś coś takiego napisał, i jeszcze się przyznałeś, że sam doświadczyłeś trudu zagrania w kilku odcinkach sitcomu. Naprawdę nie musiałeś tego robić, Janeczku. Ale widać chciałeś.

Obaj wiemy, że mocno łączy nas pochodzenie z małych miejscowości. Ty z Kowala pod Włocławkiem, a ja z Alwerni koło Krakowa. Takie miasteczka mają to do siebie, że tam właściwie zawsze jest tak samo. Jest jedna piękność i jeden facet, który się w niej kocha. Jest zawsze jeden podgłupiasty i chłopaki, które chodzą i podglądają dziewczuchy. Jest jeden aptekarz, jeden lekarz, dentysta, naczelnik poczty i ksiądz. Wszyscy wiedzą o sobie wszystko. Nic się nie da ukryć. Jak tam wyrastaliśmy, tak poszliśmy sobie z tych Kowali i Alwerni w świat – szczerzy i prawdziwi. A duże miasta komplikują życie. Są ludzie, którzy się wstydzą pochodzenia z prowincji, a my nie, bo kręgosłup „prostej wiochy” to cenny skarb.



Z Jankiem na planie teledysku *Młodości, wróc*. Rok 2018

Ja dziś z moją Alwernią jestem związany tylko sentymentalnie i mówić o niej mogę jedynie w kategoriach przeszłości, ponieważ nie mam tam już swoich kątów. A Twój Kowal jest wciąż żywy dla Ciebie. Wszystko, co dla Ciebie dziś ważne, odbywa się właśnie w Kowalu. Mieszka tam Twoja siostra, stoi dom, w którym się wychowałeś, i właśnie tego, że jesteś z nim związany realnie, bardzo Ci zazdroszczę. Pamiętasz, niedawno przejeżdżałem obok Kowala i zadzwoniłem do Ciebie tylko po to, żeby Cię pozdrowić z Twoich okolic. Akurat byłeś u siostry, podjechałem, zjadłem kurę i rosół, który ugotowała Hanka, i pojechałem dalej ze swoimi sprawami na głowie, ale i ze słoikiem ogórków, które sam zakisiłeś i mnie obdarowałeś. Dlatego wciąż biorę sobie z tego Twojego miejsca na ziemi, ile mogę i na ile Ty mi pozwalasz. Dziękuję Ci, że mogłem być świadkiem na Twoim ślubie z Małgosią. Dziękuję, że

na scenie w kowalskiej remizie mogłem Wam zaśpiewać piosenkę *Jestem jak motyl*. Dziękuję wreszcie za zaproszenie na Twoje osiemdziesiąte urodziny. Czekam na kolejne!

Mam wrażenie, że nasze spotkania są jakby z innej epoki. Dzisiaj inaczej się spędza czas, o czym innym się mówi, a my ciągle pozostajemy w tych szczęśliwych latach młodości. Mając swoje poglądy, nie rozumiemy współczesnego świata, nie rozumiemy tej muzyki, która się pojawia, malarstwa, teatru. A może nie chcemy zrozumieć? Ja przestałem chodzić do teatru, bo się boję, że znowu zobaczę koleżankę ze studiów, która wyskoczy mi przed nos na golasa, a wśród widzów ten fakt wzbudzi ogromną ciekawość i pewnie podziw, bo jest gruba i stara. Ja tego nie chcę. Wolę pozostać w tamtym świecie. W tym, który już minął i którego nigdy już nie będzie. Ale w którym znajduję Ciebie. Pozbawionego ironii i cynizmu, serdecznego ciepłego przyjaciela. Czy na pewno „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”? Kiedy uświadamiam sobie, ile piękna zostało już wymyślonego i zapisanego, myślę sobie, że to wspaniały cytat, ale dla młodych. Wystarczy otworzyć skrzynię przeszłości i dostrzec, że nie ma już Andrzeja Wajdy, nie ma Janusza Głowackiego, Wojtka Młynarskiego, Jonasza Kofty, niedawno odszedł Jurek Gruza. Nie ma Piotra Skrzyneckiego, nie ma Wieśka Dymnego i... Ale to przecież oni pozostawili urok, czar i estetykę. Młodzi też zapewne znajdą swojego Czechowa, Gogoła i Felliniego. A kiedy ich idole zaczną opuszczać ten świat, znów powiedzą: „kończy się jakaś epoka”. A to gówno prawda, Jasiu. My już o tym wiemy. Po prostu robi się miejsce dla następnego człowieka. Tak się dzieje i już.

Powiedziałeś kiedyś, Janeczku, że sztuką jest wziąć kapelusz, założyć płaszcz i umieć wyjść. Umieć powiedzieć: „Adieu!”. Posprzątać po sobie i zniknąć. A żeby odejść, trzeba mieć dokąd,

dlatego wybudowałeś sobie grób, zasadziłeś tam drzewa i dbasz o to swoje miejsce jak Twoja mama o lakierki do trumny, które przez czterdzieści lat czekały w odpowiednim miejscu. Nie była z tego powodu smutna. Rodziła dzieci, gotowała obiady, a buty stały, dawały świadectwo przemijania i klasy człowieka, który wie, że jest tylko chwilą na tym świecie – jak w Twoim wierszu, który mówię na swojej pierwszej płycie.

Koniec

Miłosierna ręka

Miłosierdziem ścieka

Ostatnim olejem

Zalewa cię złość

Przerywany oddech

Skrzep w sercu człowieka

Para w lustreczku

Marznąca na kość

Nie buntuj się, zaśnij

Z tamtej strony mgły

Świecą ci, co zgaśli

Dzisiaj gaśniesz ty

W piekle albo w niebie

Zamienisz się w kamień

I w proch się obrócisz

I w pył wieków amen

Nad skałami Petry

Chłodny mrok zapadał

*Skaleczony gołąb
Namysłą się, waha*

*Po omacku szuka
Bo gdzieś wzrok postradał
Gniazda Boga Ojca
Złotych grzęd Allaha*

*Szkoda pustych słów
To truchło, nie ptak
Przecież zaraz nów
Przemieni go w ślad*

*A potem, gdy plamę
Ogień słońca zmyje
Ludzie będą milczeć
Tylko wilk zawyje*

*Tam, gdzie noc głęboka
Świecą wilcze ślepia
Brzuch matki, wiadomo
Brzuch suki, rzecz święta*

*Jego mlekiem syta
Trójka przez sen szczeka
Chcą rosnąć, krwi pragną
Trzy wilcze szczenięta*

*Niech noc się nie kończy
Niech będzie czarny dzień
Stygnąca krew łączy
I wpada najdłuższy dzień*

*Na ludzi i wilka
Bo z poranną rosą
Gdzie niósł razy kilka
Dziś jego poniosą*

Dobrze jest mieć Ciebie.

Czekam na spotkanie z Tobą, przyjacielu. Jak tylko to paskudztwo wirusowe przeminie, przyjedź wraz ze swoją wspaniałą Anią, która – jak mówisz – jest dla Ciebie dobra i dla której Ty jesteś dobry. Porozmawiamy, pośpiewamy i pośmiejemy się. Ty pewnie powiesz jakiś wiersz, a ja zagram na gitarze. Napijemy się czegoś i zjemy, co lubimy.

Twój Andrzej



Na planie filmu *Pitbull*. Na zdjęciu Rafał Mohr, Andrzej Grabowski, Krzysztof Stroński, Marcin Dorociński, Janusz Gajos

PITBULL

MAKING OF

To mógł być 2002 rok, a więc szczyt popularności serialu *Świat według Kiepskich*. Mieszkałem jeszcze w Krakowie. Któregoś dnia zadzwonił do mnie facet. Przedstawił się, ale nazwiska nie zapamiętałem, brzmiało dość egzotycznie. Mówił bardzo szybko i dużo. Zrozumiałem, że będzie robił film i potrzebuje aktora do roli policjanta. Przez chwilę myślałem, że to żart, bo od jakiegoś czasu – można by rzec: z kiepskich przyczyn – propozycje filmowe umarły śmiercią naturalną. Z drugiej strony może facet robi komedię i potrzebuje „głupola” do jakiegoś epizodu? Kiedy już wszystko z siebie wyrzucił, a w słuchawce wybrzmiał „znak zapytania”, zgodziłem się na kawę w Warszawie, nie do końca wierząc w poważne zamiary oferenta.

Kilka dni później usiadłem z dwudziestopięcioletnim chłopakiem w jednej z warszawskich knajp. Miał na głowie czapkę bejsbolówkę, a pod jej daszkiem amerykański uśmiech. Nazywał się Patryk Vega i nie miał na koncie żadnego filmu fabularnego. Nie istniał, ale mówił tak przekonująco, jakby jego film był już realizowany. Temat policjantów był mu bardzo bliski. Wcześniej realizował serial dokumentalny *Prawdziwe psy* o kryminalnych z Komendy Stołecznej Policji. Nie mógł w nim pokazać wszystkiego, żeby nikomu nie zaszkodzić, więc wymyślił sobie fabułę inspirowaną prawdziwymi bohaterami i wydarzeniami z ich życia.

– Panie Andrzeju, oto scenariusz filmu noszącego roboczy tytuł *Pitbull*. Proszę go przeczytać, zastanowić się i dać mi odpowiedź.

– Dużo pan ryzykuje, obsadzając pierwszego komedianta w kraju w tak poważnej roli.

– Ja nie trzymam się utartych schematów i uprzedzeń. Raczej idę pod prąd i sam wyznaczam standardy.

– Biorę tę rolę.

Po kilku tygodniach ponownie do mnie zadzwonił. Powiedział, że mu przykro, ale producenci nie zgadzają się na mój udział w filmie. W przyczynie tej decyzji nawet się nie zagłębiał. „Wyznaczasz standardy” – pomyślałem. Wziąłem głęboki oddech i podziękowałem za zainteresowanie moją osobą.

Minęły dwa lata. Dzwoni telefon.

– Dzień dobry, panie Andrzeju! Nie zebrałem wtedy wystarczających środków na realizację *Pitbulla* i projekt poszedł w odstawkę. Ale teraz mam już kasę i sam decyduję o obsadzie. Wracam do pana z tą samą propozycją. Bierze pan?

– Pewnie, że biorę.

Rola „Gebelsa” była dla mnie dużym wyzwaniem. Zwykle pracuję tak, że najpierw wyobrażam sobie film ze mną w określonej roli. Czasami nie potrafię wcisnąć siebie w postać, którą mam zagrać, wtedy obsadzam innych aktorów – najczęściej Gene’a Hackmana. Kiedy uznam, że Gene daje radę, podglądam go w różnych scenach i staram się ukraść jego pomysły. To działa. Tak było też z „Gebelsem”. Dostrzegłem, że musi być zupełnie inny od postaci, które do tej pory grywałem. Nie tylko mentalnie i psychicznie, ale również fizycznie. Postanowiłem, że ogolę się na łyso – to znaczy tak postanowił Hackman – ale coś mi jeszcze nie grało, więc zgoliłem wąsy. Na planie okazało się, że nie tylko ja

kombinuję z nowym wizerunkiem, Marcin Dorociński tak się wczuł w rolę „Despera”, że nawet upiłował sobie ząb.

Pierwszego dnia kręciliśmy ogólną scenę z udziałem głównych bohaterów w kultowej warszawskiej knajpie Lotos na rogu Chełmskiej i Belwederskiej – miała ona otwierać potem cały film. Przedziwne uczucie, bo ani ja, ani Patryk nie byliśmy pewni, że dobrze gram mojego glinę. A pierwsza scena w filmie to bardzo ważny moment, bo później trzeba zachować konsekwencję i postać musi być przynajmniej podobna do tego, co się już zagrało.

Patryk nie jest z wykształcenia reżyserem filmowym, więc robił film na zasadzie intuicji. Bywało, że operator zwracał mu uwagę, że pewnych rzeczy się tak nie kręci. Nie takie są standardy. No, ale mówić Patrykowi o standardach, to jak naginać leszczynę z piosenki Młynarskiego: „Jak ją za bardzo przygiąć w lewo, to w prawo się odgina”. Zatem nie dość, że kręcił po swojemu, to jeszcze jako reżyser był bardzo wymagający. Gdy nagrywaliśmy scenę, w której ja przyjmuję w samochodzie łapówkę od prokuratora, to wszystko ograne było na dużych zbliżeniach na twarze, prawie bez słów. Chcieliśmy pokazać zażenowanie policjanta, którego sytuacja życiowa zmusiła do desperackiego kroku. „Gebels” nie wiedział, co w takiej chwili robić, ani jak się zachować, więc wycedził tylko: „Dobre sajgonki tu są” – jakby natychmiast chciał wyrzucić z siebie myśl o tym, co za chwilę nastąpi. W filmie ta scena trwa może z minutę, nam jej nagranie zajęło półtorej godziny.

Jestem Patrykowi bardzo wdzięczny za tę rolę. Po latach zrozumiałem, jak bardzo jej potrzebowałem, żeby przełamać wizerunek Ferdynanda Kiepskiego. Kiedy Patryk jeździł z *Pitbullem* po Stanach, zdarzyła się ciekawa sytuacja. Po premierze w Chicago Patryk opowiadał na lawinowo zadawane pytania widzów.

– No dobrze, wiadomo, że gra tam Gajos, Stroiński, Dorociński, ale kto to jest ten łysy? – zapytał ktoś z sali.

– Znać go wszyscy doskonale, to Grabowski.

– Jak to Grabowski? Który Grabowski?

– Ten, który gra Ferdka Kiepskiego – wyjaśnił dobitnie Vega.

I muszę przyznać, że był to dla mnie największy komplement. Zmienić się fizycznie można, jednak mi bardzo zależało, żeby pokazać psychikę „Gebelsa”, jego specyficzną mentalność, sposób zachowania i mówienia. Jeżeli mnie się to wszystko udało zagrać i ktoś tam w Stanach mnie nie rozpoznał, to również jest to ogromna zasługa Patryka. Dlatego lubię grać w jego produkcjach i on też to lubi – przynajmniej tak mówi.

Andrzej Grabowski jest aktorem, który jest miłością mojego życia. Uwielbiam z nim pracować, bo to artysta mający niesamowite spektrum możliwości. Budzi sympatię, nawet jeśli gra postaci negatywne. Nie ma wielu aktorów w jego wieku, którzy byliby tak lubiani przez młodą publiczność.

Patryk Vega

WYGRAĆ ŻYCIE

Nawiązując do słów Marka Twaina o rzucaniu palenia, czasami sobie żartuję. „Wziąć ślub? To łatwe. Robiłem to ze sto razy!” Bowiem z Anią Tomaszewską, moją pierwszą żoną, z którą przeżyłem ponad dwadzieścia lat, „żeniliśmy się” na scenie wielokrotnie. A to podczas *Poskromienia złościcy* Williama Szekspira, który to spektakl miał swoją tarnowską premierę w 1978 roku, a to na deskach Teatru Słowackiego w *Tangu* Sławomira Mrożka. Nic nie wskazywało na to, że zostaniemy prawdziwym małżeństwem. Poznaliśmy się jeszcze w Szkole Teatralnej, ale nigdy poza przyjaźnią nic nas nie łączyło. Zbliżył nas do siebie dopiero ponury czas stanu wojennego. W 1982 roku wzięliśmy ślub cywilny, kilka miesięcy później połączył nas w kościele ksiądz profesor Józef Tischner, którego znałem z fantastycznych wykładów z filozofii na krakowskiej PWST. Jeszcze po skończeniu studiów uczęszczałem na nie jako wolny słuchacz. Z Anią szybko stworzyliśmy rodzinę, bo już w czerwcu 1983 roku urodziła się Zuzia, nasza pierwsza córka. Osiem lat później na świat przyszła Kasia, nasza druga córka. Dziś obie są aktorkami i szczęśliwymi żonami.

Kiedy Zuzia była dzieckiem, myślała, że wszyscy ludzie na świecie są aktorami. Nie ma w tym nic dziwnego – całe jej najbliższe otoczenie było przecież zawsze związane z teatrem. W wieku pięciu lat zobaczyła mnie w telewizyjnej adaptacji baśni Andersena *Krzesiwo*. Byliśmy wtedy w Alwerni, Zuzia siedziała na moich kolanach i z zaciekawieniem patrzyła w ekran. Nagle, kiedy

mnie jako żołnierza zaatakowały zjadłe psy, zaczęła straszliwie płakać i krzyczeć: „Tata!!!” I nie pomogło tłumaczenie, że przecież ja tu siedzę. „Ale tam też!” – odpowiadała, po czym tuliła mnie mocno, płakała i długo jeszcze chlipała.

Przed maturą powiedziała, że chce zdawać do Akademii Teatralnej w Warszawie. Wtedy zdębiałem kompletnie. Nie spodziewałem się, że tak nieśmiała istotka może wybrać ten zawód. Kiedy zabraliśmy ją, by zagrała w niemieckim serialu *Und das sol unsere Kirche sein?*, nie dało się jej do niczego namówić. Na hasło „uśmiechnij się do kamery” reagowała płaczem. Można powiedzieć, że była przeciwieństwem materiału na kuglarza. Jednak nie chciałem negować jej decyzji. To był jej świadomy wybór, który musiałem uszanować. W końcu ja też byłem nieśmiałym dzieciakiem i chyba przeszło mi to bardzo późno. Moja ostrożność wynikała raczej z tego, że nasza rodzina nie jest dobrym przykładem, bo nam się jakoś powiodło. Młodym, wchodzącym w ten zawód może się wydawać, że wszystkim aktorom się tak udaje, co nie jest prawdą. Znam aktorów, którzy zakładają warzywniaki albo pracują przy rozwożeniu paczek w firmach kurierskich.

Jest taki kawał, który w krzywym zwierciadle pokazuje życie aktorów. Zdzisio Maklakiewicz rozmawia w nim z mamą.

– A co wy w teatrze robicie, synku?

– We wtorek próbujemy, gramy, a potem idziemy z koleżankami na wódkę. W środę rano przychodzimy na próbę, potem gramy i idziemy do SPATiF-u. W czwartek tak samo jak w środę. W piątek coś próbujemy, gramy i znów...

– Synku, i wy tak cały tydzień?

– Nie, mamusiu! Poniedziałki mamy wolne.

Zapewniam, że tak to nie wygląda. W poniedziałki aktorzy, którzy zarabiają minimalną pensję, kombinują, jak gdzieś dorobić. To nie jest łatwe życie. Nie zrozumie tego człowiek spoza branży, który nie przeżył tych upadków, a także uniesień, które są jednak w tym zawodzie o wiele rzadsze.

Moja druga córka Kasia jeszcze w liceum wybrała się na warsztaty teatralne. Spodobało jej się, a nawet stwierdziła, że nieźle sobie radzi na scenie. Po kilku latach poszła w ślady siostry. Znowu poczułem wątpliwości, które pozostawiłem dla siebie. Chciałem, żeby robiła to, co lubi, zamiast wypominania, że mogła zostać aktorką, mieć udane życie, a ja jej to odradziłem i dziś jest nieszczęśliwa, wykonując zawód, którego nie cierpi.



Andrzej Grabowski z żoną Anną Tomaszewską i córkami Kasią i Zuzią. Rok 2002

Nie chciałem się wtrącać do przygotowań na egzaminy obu córek, bo – po pierwsze, nie mam żadnych talentów dydaktycznych, po drugie, mnie zawsze szkoda tych młodych ludzi, którzy chcą być aktorami. Często mają wyobrażenie o aktorstwie rodem z XIX wieku, stroją nadmiernie miny, udają coś. Uważają, że skoro mają jako tako ustawiony głos, potrafią śmiać się i płakać na zawołanie, to są już świetnymi aktorami. A to nieprawda. W teatrze im mniej się udaje, tym jest się lepszym aktorem.

Zawsze mówiłem córkom, że jak będą miały rolę, z którą nie będą mogły sobie poradzić, to mogą przyjść do mnie i poprosić o pomoc. Co prawda nie jestem dziewczyną, na dodatek młodą, niemniej zawsze mogę im coś doradzić. Do tej pory takiej sytuacji nie było, nawet kiedy występowaliśmy razem w *Chorym z urojenia*. Najpierw grałem z Zuzią, a kiedy zaszła w ciążę, zastąpiła ją Kasia. Przyznam, że doznawałem dziwnego uczucia, kiedy na scenie moja rodzona córka, stojąc nade mną jako Arganem, wołała: „O Boże, o Boże, ojciec umarł!”

Obie mówiły mi później, że kiedy grają ze mną, to kątem oka widzą, jak obserwuję i oceniam ich grę. To przypomniało mi, że kiedy grałem na jednej scenie z moim bratem Mikołajem, czułem dokładnie to samo. To są niuanse, które można rozpoznać tylko, gdy jest się w bliskich relacjach z osobą, z którą się gra. Czasem wystarczy niezamierzony grymas, żeby bliski odczuł krytykę. Mikołaj zawsze dawał mi takie „niewidoczne” znaki, żebym wiedział, czy idę w dobrą stronę na scenie. Robił to w dobrej wierze. Prawdopodobnie Zuzia i Kasia odbierają moje reakcje podobnie, mimo że ja nie jestem wszechwiedzący i nie wiem na pewno, czy coś jest dobre, czy złe.

Każdy aktor musi być po części egoistą i egocentrykiem, bo inaczej nie mógłby wyjść na scenę. Musi pokazać pewność siebie, bez względu na poziom swoich umiejętności. Gorzej, gdy ten egocentryzm przenosi się ze sceny na prawdziwe życie – trudno wtedy zbudować trwałą relację. Jeżeli jednak potrafimy dostrzec go w sobie, to już jest dobrze. Utwierdził mnie w tym przekonaniu mądry dominikanin Jan Andrzej Kłoczowski. Kiedyś po spektaklu rozmawiałem z nim o sztuce, w której mnie widział, a potem zeszło na sprawy wiary. Przyznałem się, że nie uczestniczę w sakramentach, mimo że jestem wierzący. I choć ubolewam nad tym i chciałbym być bardziej albo lepiej wierzący, to są takie grzechy, których nie żałuję, w tym nieprzestrzegania szóstego przykazania. Ksiądz się zmartwił i zmieniliśmy temat. Po paru dniach spotkałem moją koleżankę z teatru, dobrą znajomą mojego rozmówcy, która powiedziała: „Andrzej. Spotkałem Kłoczowskiego. Nie wiem, o co mu chodziło, ale prosił, żeby ci przekazać, że jeżeli żałujesz, że nie żałujesz, to już jest dobrze”

Przyznam, że zdecydowanie wolałbym teraz być w czterdziestoletnim stażu małżeńskim, w szczęśliwym związku z jedną żoną. Niestety, tak się nie zdarzyło. Mój zawód nie pomaga w utrzymaniu małżeństwa. Nie jest to oczywiście zasadą, bo znam wielu aktorów, którzy są ze sobą od wielu lat i są szczęśliwi, jak choćby Teresa i Janek Peszkowie. Moje małżeństwa nie przetrwały jednak próby czasu. Najbardziej zabolął mnie drugi rozwód, z którego tabloidy urządziły dramatyczny spektakl na oczach czytelników całej Polski. Do dziś trudno mi o tym publicznie mówić. Bogu dziękuję, że mam dość grubą skórę i jestem na to wszystko uodporniony, bo aktor musi mieć świadomość, że jest narażony na krytyczne recenzje czy kąśliwe uwagi innych. One niekiedy zabolą, bo nie jest przyjemnie, gdy włoży się całe serce w

premierę spektaklu, który za chwilę może być przez kogoś zmiążdżony. Bo ktoś skończył wydział wiedzy o teatrze i wie lepiej, lepiej się zna. To często jest dla aktora jak strzał w pysk. Dlatego od dwudziestu lat nie czytam recenzji. Tym bardziej tych w internecie, bo tam wszystko przeważnie schodzi na politykę. Nie potrzebuję tego.

Mam sześćdziesiąt osiem lat i całkiem niedawno otworzyłem swoje serce na nową miłość. Dziś nie jest dobry moment, żeby ją bardziej opisać, ale opowiem anegdotę. Kazimierz Górski, nasz wielki trener, mówca taki sobie, kiedy już nie był selekcjonerem kadry narodowej, został zaproszony do komentowania meczu. Nasza drużyna przegrywała do przerwy 2:0. Wtedy dziennikarz zapytał: „Panie Kazimierzu, co by pan doradził naszym piłkarzom?” Na co Górski odpowiedział swoim pięknym, zaciągającym tembrem głosu: „Mnie się wydaje, panie redaktorze, że należy strzelić kontaktową bramkę. Potem wyrównać, no i myśleć o wygraniu meczu”. Podobnie podchodzę dziś do nowego związku: trzeba strzelić kontaktową bramkę, potem wyrównać, no i myśleć o wygraniu życia.

Szaławiła

*Jeszcze we łbie mi zielono, moja śliczna
Jeszcze we łbie mi wiatr hula, ma liryczna
Jeszcze mówią o mnie świszczypała
Jeszcze mówią o mnie szalawiła*

*I co z tego, że twarz mi się marszczy
Że na ciele trochę pomarańczy
Przecież w sercu wspaniałe wspomnienie
Przecież w ciele dawne uniesienie*

*Jeszcze w Bieszczady pójdziemy
W potoku się znów umyjemy
Jeszcze pogonimy motyle i muchy
Bez ubrań, bez wstydu, bez skruchy*

*Znajdę w życiu jeszcze coś fajnego
Znajdę w życiu jeszcze coś pięknego
To nie koniec, muszę w to uwierzyć
Życie moje będziemy się mierzyć*

Słowa: Andrzej Grabowski
Piosenka z płyty *Łagodnie*